

CHINA MIÉVILLE



OSTATNIE DNI NOWEGO PARYŻA

„Oszałamiająca powieść...
Dowód niezwykłego talentu!”

„The Guardian”

China Miéville

OSTATNIE DNI
NOWEGO PARYŻA

Przełożyła
Krystyna Chodorowska

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO



China Mieville
Ostatnie dni Nowego Paryża

Tytuł oryginału
The Last Days of New Paris

ISBN

Copyright © 2016 by China Miéville
This translation published by arrangement with Del Rey, an imprint of Random House, a division of Penguin Random House, LLC
All rights reserved
Copyright © 2018 for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań

Redaktor
Robert Cichowlas

Autorem wszystkich ilustracji w tekście jest China Miéville

Ilustracja na okładce
Jędrzej Chełmiński

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 8522519
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział pierwszy: 1950

Rozdział drugi: 1941

Rozdział trzeci: 1950

Rozdział czwarty: 1941

Rozdział piąty: 1950

Rozdział szósty: 1941

Rozdział siódmy: 1950

Rozdział ósmy: 1941

Rozdział dziewiąty: 1950

Posłowie

Podziękowania

Przypisy

Dla Rupy

Reakcje na surrealistyczne dzieła sztuki bywają różne,
ale najbardziej żałośni są ludzie, którzy pytają:

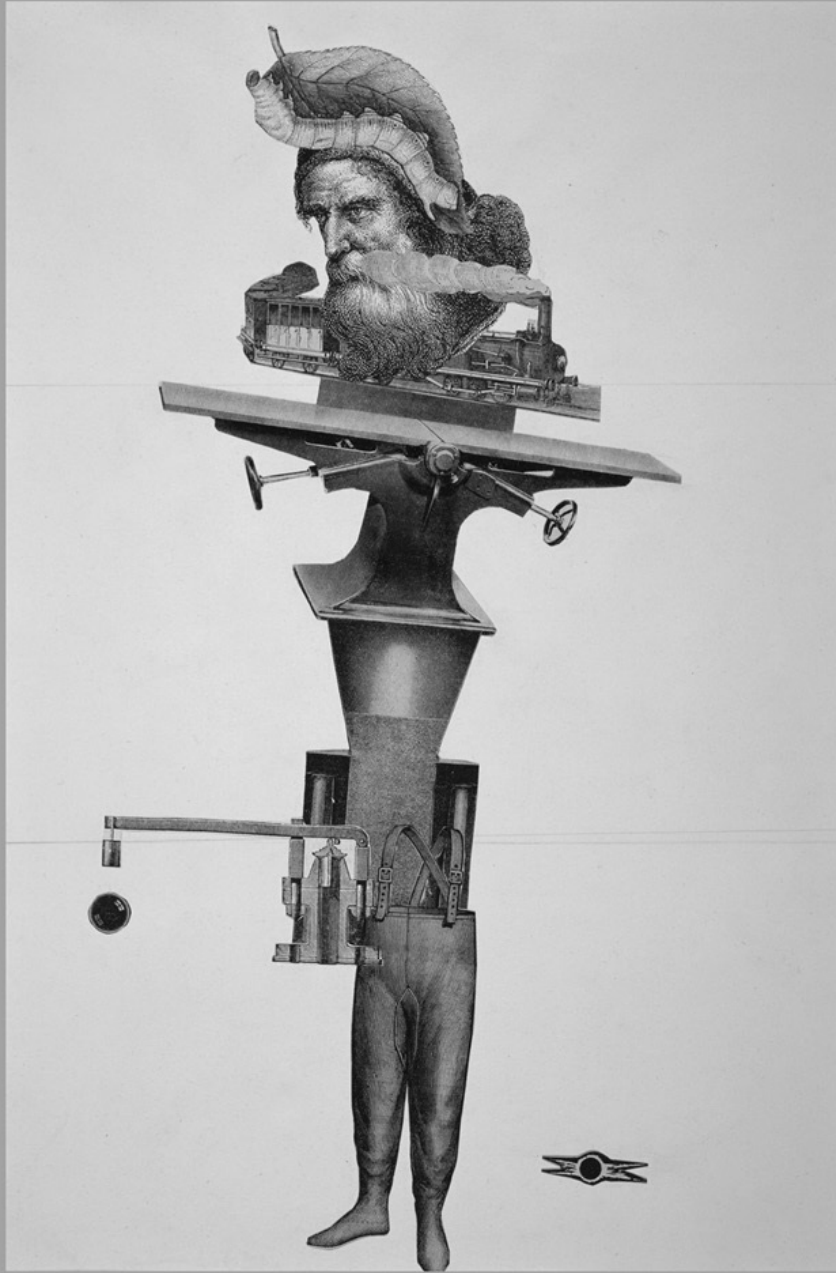
„Jak ja mam to rozumieć?”.

Innymi słowy:

„Co tata kazałby mi o tym myśleć?”.

GRACE PAILTHORPE

O wielkiej roli wyobraźni



Wyrafinowany trup, André Breton, Jacqueline Lamba, Yves Tanguy
(1938)

Rozdział pierwszy: 1950

Ulicę oświetlały latarnie. Za murem rozdartego miasta strzelali naziści.

Za barykadą i rzędem manekinów krawieckich, ustawionych w nieruchomej parodii kankana, Thibaut zauważył zielone mundury Wehrmachtu, szare mundury paradne, czerń SS i błękit Kriegsmarine — wszystkie podświetlone ogniem z broni. Coś nadjeżdżało ulicą, lawirując pomiędzy ciałami, z piskiem gumy, pędząc wprost w stronę Niemców.

Dwie kobiety na tandemie? Nadjeżdżały szybko, na wielkich kołach.

Żołnierze strzelili, przeładowali i uciekli, bo nadjeżdżający pojazd nie upadł ani nie zwolnił pod ich ostrzałem. Zazgrzytał łańcuch.

Thibaut dostrzegł wreszcie, że była tam tylko jedna kobieta. Postać widoczna obok niej wyrastała wprost z roweru jak galeon dziobowy, sterczący w górę tam, gdzie powinna znajdować się kierownica. Wystawała z metalu. Miała cofnięte ramiona, jej ręce zakrzywiały się na końcach jak gałązki koralowca. Wyciągała szyję i otwierała szeroko oczy.

Thibaut przełknął ślinę, usiłując wydobyć z siebie głos. W końcu krzyknął: — Przecież to Vélo!¹

Natychmiast zjawili się jego towarzysze. Przyciskali twarze do okna, wpatrzni w ponurą scenę.

Amatorka bicykli. Mknęła poprzez Paryż na swych kołach o grubych szprychach, śpiewając piosenkę bez słów. *Mój Boże*, pomyślał Thibaut. Na siodełku jechała kobieta. To nie powinno się wydarzyć. A jednak widział ją wyraźnie: jedną ręką ścisnęła nadgarstek Vélo, drugą ścigała skórzany pasek owinięty wokół szyi centaury.

Vélo poruszała się szybciej niż jakiegokolwiek auto, koń czy diabeł, jakiego

Thibaut widział w życiu. Kluczyła pomiędzy fasadami, unikając pocisków. Przedarła się przez ostatni rząd ludzi i figur. Uniosła przednie koło i wjechała na barykadę, pokonała kolejne piętra gipsu, kamienia, kości, drewna i betonu.

A potem wzbiła się w powietrze, ponad żołnierzami, wysokim łukiem, na chwilę jakby zastygła, aż w końcu pokonała niewidzialną przeszkodę pomiędzy okręgiem dziewiątym i dziesiątym i wylądowała ciężko, już po surrealistycznej stronie ulicy.

Vélo odbiła się, okręciła na kołach i ześlizgnęła na bok. Zatrzymała się i spojrzała w okno kryjówki Main à plume, prosto w oczy Thibauta.

—

Wypadł z pokoju jako pierwszy. Zbiegł po strzaskanych schodach, prawie spadając z nich na chodnik, na ciemną ulicę. Serce mu zadrżało.

Pasażerka leżała na bruku, tam gdzie zrzucił ją wierzchowiec. Vélo stała nad nią na tylnych kołach niczym spłoszony koń.

Spojrzała na Thibauta oczami bez źrenic. Miały taki sam kolor jak jej skóra. Manifa naprężyła grube ramiona i zerwała pasek z szyi. Pozwoliła mu opaść na ziemię. Zakołysała się na wietrze.

Karabin Thibauta zwisał mu bezużytecznie w rękach. Kątem oka zobaczył, jak Élise ciska granat ponad barykadą, w razie gdyby Niemcy próbowali się przegrupować. Wybuch zatrzęsł barykadą, ale Thibaut nawet się nie poruszył.

Vélo pochyliła się, padając znów na oba koła. Ruszyła w jego stronę, ale zmusił się, by stać spokojnie. Najeżdżała z warkotem kół. Adrenalina uderzyła mu do żył, przygotowując go na pewne zderzenie, aż w końcu, w ostatniej chwili, zbyt szybkiej dla ludzkiego oka, Vélo przechyliła się w bok, mijając go tak blisko, że ubranie Thibauta załopotało, szarpnięte powiewem.

Ze śpiewem kół rowerowa istota zagłębiła się pomiędzy potrzaskane budynki Cité de Trévisé, pomiędzy ruiny i cienie, aż stracili ją z oczu.

W końcu Thibaut odetchnął. Gdy już trochę opanował dreszcze, odwrócił się i podszedł do pasażerki.

Kobieta umierała. Podziurawiły ją kule, których Vélo nawet nie zauważyła. Jakaś moc na tym potężnym skrzyżowaniu ulic sprawiła, że rany natychmiast się zasklepiły i zaschły, ale krew wciąż wylewała jej się z ust, jakby musiała znaleźć jakieś ujście. Kobieta zakaszła i spróbowała coś powiedzieć.

— Widziałeś to?! — wołała Élise. Thibaut ukląkł i położył dłoń na głowie kobiety. Partyzanci zebrali się wokół. — Jechała na Vélo! Jak ona to zrobiła? Jak nią kierowała?

— Nie za dobrze — zauważyła Virginie.

Ciemna sukienka cyklistki była brudna i podarta. Apaszka rozwinęła się i leżała teraz na ziemi, obramowując jej twarz żywym kolorem. Kobieta marszczyła brwi, chyba w zamyśleniu. Jakby rozważała jakiś problem. Thibaut pomyślał, że zapewne są w podobnym wieku. Patrzyła na niego proszącym wzrokiem.

— To... to... — wykrztusiła.

— Chyba mówi po angielsku — zauważył ktoś.

Cédric zbliżył się, próbując odmawiać jakieś modlitwy. Virginie natychmiast go odepchnęła.

Umierająca kobieta chwyciła Thibauta za rękę.

— Weź — szepnęła. — On nadszedł. Wolf. Gang. — Chwytała powietrze małymi łykami. Thibaut przysunął ucho do jej ust. — Doktor. Ksiądz.

Zorientował się, że już nie patrzy na niego, lecz ponad nim. Skóra go mrowiła, czuł na sobie uwagę Paryża. Odwrócił się.

W oknach najbliższego budynku powoli rozwinął się ruchliwy świat kropel zwiniętych jak embriony i siatka zadrapań. Gąszcz ciemnych barw, wyraźnie widocznych na czarnym tle. Kształty zagrzechotały. Stukały o szybę. Burza

manif przybyła ze środka, by oglądać śmierć tej kobiety.

Gdy wszyscy patrzyli na czarną wizję za oknami, Thibaut poczuł dotyk umierającej na swojej dłoni. Chciał ją uścisnąć, ale ona nie szukała pocieszenia. Rozwarła mu palce i włożyła coś w dłoń. Thibaut od razu wiedział, że to karta do gry².

Gdy znów spojrzął, kobieta już nie żyła.

Thibaut był lojalnym członkiem Main à plume. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego wsunął tę kartę do kieszeni, nie pokazując jej nikomu.

Na bruku obok drugiej ręki zmarłej widniały znaki. Napisała coś palcem na ziemi, paznokieć miała mokry od tuszu, który jakimś cudem się tam znalazł, dostarczony przez miasto w tej ostatniej godzinie próby. Nakreśliła dwa słowa.

FALL ROT.

—

Teraz, wiele miesięcy później, Thibaut kryje się w wejściu do kamienicy i wsuwa rękę do kieszeni, by znów dotknąć tamtej karty. Na własne ubranie wciągnął niebiesko-złotą damską piżamę.

Niebo wrzeszczy. Dwa messerschmitty nadciągają tuż pod warstwą chmur, ścigane przez dwa hurricany. Ich płaty eksplodują pod ogniem Brytyjczyków. Nurkujące myśliwce spadają. Jeden z niemieckich samolotów nagle zawraca pięknym łukiem i w powietrzu rozkwita chmura ognia. Trafiony samolot RAF-u rozpada się w powietrzu, jak rozplecione dłonie, jak rzucony całus, i spada w welonie ognia, zmieniając jakiś niewidoczny dom w stertę gruzu.

Drugi z messerschmittów zawraca w stronę Sekwany. Dachy znów drżą i tym razem drżenie dobiega z dołu.

Coś wychodzi z wnętrza Paryża.

Błada więc, szeroka jak drzewo, kostropata i pokryta jaskrawymi liśćmi. Rośnie. Na gałęziach drżą skupiska pąków i owoców wielkości ludzkich

głów. Rozkwita na tle nieba.

Niemiecki pilot leci wprost na te kwiaty, jakby zauroczony, pijany roślinnością. Długie pnącze wspina się na wysokość domu i chwyta samolot. Jednym szarpnięciem ściąga go poniżej dachów, na ulicę, gdzie znika z oczu.

Nie ma wybuchu. Samolot ginie w trzewiach miasta.

Pozostałe myśliwce gorączkowo się rozpraszają. Thibaut przygląda się ich ucieczce i czuje, że serce mu zwalnia. Gdy w końcu decyduje się wyjść na zewnątrz, niebo jest już czyste.



Thibaut ma dwadzieścia sześć lat, jest szczupły, twardy i silny. Nerwowa agresja i zaciśnięte zęby są bardzo charakterystyczne dla nowych paryżan. Jego wzrok bezustannie wędruje z prawa na lewo. Włosy i paznokcie przycina krótko. Mruży oczy, ale nie tylko z podejrzliwości — po prostu nie ma okularów, a podejrzewa, że by mu się przydały. Pod kolorową damską piżamą nosi brudną, pocerowaną koszulę i ciemne spodnie na szelkach. Stroju dopełniają znoszone czarne trzewiki. Już od dawna się nie golił. Skóra łuszczy się i śmierdzi.

Ci piloci musieli być naprawdę szaleni. W paryskim powietrzu pełno jest powodów, dla których nie należy latać.

Są tu znacznie gorsze rzeczy niż ogrodowa rosiczka, która schwytała messerschmitta³. Paryskie kominy są wiecznie oblegane przez podekscytowane ptasie chmury burzowe. Kości nadmuchane jak sterowce. Stada przedsiębiorców i dam w staromodnych płaszczach, latających na skrzydłach nietoperzy, wykrzykujących niekończące się monologi na temat ofert specjalnych, oblepiających śmigła samolotów własnym, wątpliwego pochodzenia mięsem⁴. Thibaut widywał jedno-, dwu- i trójwymiarowe geometrie⁵, skrzydlate kule, wielkie, upiorne wrzeciona i wysokie okno z czarną zasłoną, lecące jak ożywione trupy ponad dachami domów, ścigając

zabłąkany bombowiec Heinkel Greif, by wreszcie unicestwić go śmiertelnym dotykami.

Thibaut potrafi nazwać większość manifestacji, jakie spotyka — jeśli tylko mają nazwy.

Jeszcze przed wojną dołączył do ruchu, który je zrodził, krytykowanego wówczas przez malkontentów jako passé.

— Nie obchodzi mnie moda! — wykrzyknął w twarz swojej rozbawionej matce, wymachując publikacją świeżo zakupioną u zaprzyjaźnionego sklepikarza przy rue Ruelle, który odkładał mu wszystko, co miał na ten temat. — Tu chodzi o wyzwolenie!

Zdarzało się, że sklepikarz — Thibaut zrozumiał to dopiero później — przyjmował od swego młodego, rozentuzjasmowanego, lecz niedoświadczonego klienta drobne, właściwie śmieszne sumy w zamian za prawdziwe perełki. Ostatnia paczka, którą wysłał, dotarła do Thibauta dwa dni przed ostateczną wyprowadzką z domu.

Później, gdy patrzył na niemieckich żołnierzy wkraczających do miasta, na długie kolumny wojska przy Łuku Triumfalnym, te ostatnie materiały zdawały mu się ponurym kolażem, propagandowym ostrzeżeniem.

Kroczy teraz szerokimi, opuszczonymi ulicami okręgu szesnastego, z dala od własnego terenu, z uniesionym karabinem, złoty rąbek spódnicy powiewa na wietrze. Słońce wybiela ruiny. Jakiś kot, cudem jeszcze niezjedzony, wybiega spod spalonego niemieckiego czołgu, by znaleźć sobie inną kryjówkę.

Chwasty porastają stare auta i podłogi kiosków. Otulają szkielety poległych. Wielkie słoneczniki wyrastają, gdzie popadnie⁶, a trawa pod stopami pełna jest roślin, które nie istniały przed wybuchem: jedne wydają dźwięki, inne się ruszają. Kwiaty zakochanych — płatki w kształcie podłużnych oczu, rysunkowe serca bijące w pyskach zielonych węży

tworzących łodygi⁷ — kołyszą się, patrząc na przechodzącego Thibauta.

Gruzy i zieleń zostają w tyle, a niebo otwiera mu się nad głową, gdy dociera do rzeki. Thibaut wypatruje potworów.

Na płycznach i w błocie wokół Île aux Cygnes ludzkie dłonie pełzają wokół spiralnych muszli⁸. W Sekwanie stado rekinów wzbija brudną pianę pod Pont de Grenelle. Kłębią się, zanurzają i wypływają, szarpiąc końskie truchło. Na grzbiecie każdego z nich, tuż przed płetwą grzbietową, znajduje się wgłębienie z ławeczką wioślarską⁹.

Thibaut przechodzi po moście ponad nimi. Zatrzymuje się w połowie drogi. Żołnierski nerw każe się ukryć, a jednak sam zmusza się, by stać i patrzeć. Ogląda zmienione miasto.

Szczerby ruin, powalone domy. Na tle płaskiego, jasnego nieba na północnym wschodzie wyłania się sylwetka wieży Eiffla. Spiczasty wierzchołek nadal jest na swoim miejscu, na Pont d'Iéna i Quai Branly, ponad uporządkowanymi ogrodami, ale w połowie drogi do ziemi metal nagle znika. Nic nie wiąże budowli z gruntem. Po prostu wisi jak ucięta. Stado odważnych, nielicznych już paryskich ptaków przelatuje ponad kikutami filarów, czterdzieści pięter nad ziemią¹⁰. Półwieża rzuca długi cień.

Gdzie teraz są komórki Main à plume? Ile z nich ocalało?

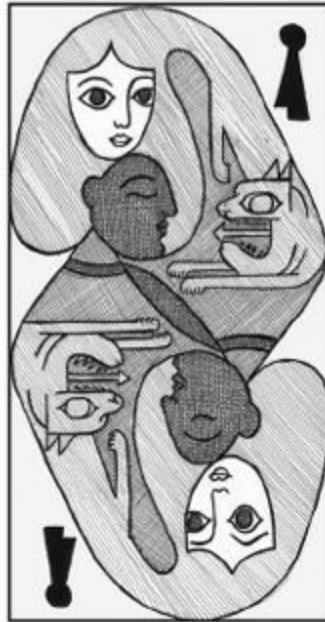
Kilka miesięcy po incydencie z Vélo Thibaut otrzymał — można by rzec — wezwanie do akcji, o ile dało się jeszcze wtedy kogokolwiek wezwać. Miejska sieć kontaktów przyniosła mu zaproszenie. Słódko od dawnych towarzyszy.

— Powiedzieli mi, że ty tu rządzisz — stwierdził młody łącznik. Thibautowi wcale się to nie spodobało. — Przyjdiesz tam?

Pamięta teraz, jak bardzo ciążyła mu w kieszeni ta karta. Czy ktoś o niej wiedział? Czy po to go wezwali?

Na spodzie narysowano bladą kobietę spoglądającą na widza dwukrotnie,

symetrycznie. Jej jasne włosy zmieniają się w dwa wielkie koty otulające ją wokół. Pod każdą z twarzy widać niebieski profil, chyba że to także jest część kobiety. W prawym górnym rogu i w lewym dolnym nakreślono czarną dziurkę od klucza.



— Daj spokój — odpowiedział łącznikowi. — Czego oni ode mnie chcą? Ja tylko chronię dziewiąty okrąg.

Jakiś czas później dotarła do niego wiadomość o nieudanym wypadzie, zakończonym straszną porażką. Z plotek poznał nazwiska poległych: cała lista jego nauczycieli.

Żegnajcie, myśli w końcu, teraz, wiele tygodni później. Piżama powiewa na wietrze.

—

Thibaut miał piętnaście lat, gdy nadeszła S-plozja.

Przeciągły dźwięk jak wycie odległej syreny, gdzieś nad rzeką, a potem fala cienia i ciszy; przez chwilę młody Thibaut dyszał ciężko i mrugał niewidzącymi oczami, a miasto czało się w tle, coś się w nim wyłaniało, formowało z jego nieświadomości. Sen nadszedł z dołu. Najładniejsze miasto

świata było obecnie pełne własnych nieładnych wizji — okropieństw z otchłani.

Thibaut nie miał wojowniczej natury, ale nienawidził najeźdźców i nie chciał zginąć, więc nauczył się walczyć. Paryżanin z urodzenia, został wciągnięty wprost w apokalipsę, w której — jak się wkrótce dowiedział — miał swój udział.

Pierwsze dni były pełne szaleństwa, ataków niemożliwych sylwetek i źle złożonych kości. Naziści i żołnierze ruchu oporu zabijali się nawzajem w panice, próbując poskromić objawienia, których nie potrafili zrozumieć. Drugiej nocy po S-plozji przerażeni żołnierze Wehrmachtu, próbując zabezpieczyć perymetr, zagonili Thibauta, jego rodzinę i wszystkich sąsiadów do otoczonej drutem zagrody na ulicy. Stali tam, ściskając torby, do których wrzucili w pośpiechu, co tylko się dało, podczas gdy żołnierze miotali obelgi i kłócili się ze sobą.

Potem usłyszeli ogłuszające wycie, zbliżające się coraz szybciej. Thibaut wiedział już, że coś się zmanifestowało.

Wszyscy krzyczeli. Spanikowany oficer wymachiwał bronią na wszystkie strony, aż w końcu wymierzył ją w stłoczonych cywilów. Wystrzelił.

Jakiś żołnierz próbował go powstrzymać, inni się dołączyli. Odgłos rzezi mieszał się z wyciem manifa. Thibaut patrzył, jak jego ojciec pada na ziemię, a po nim matka, próbująca osłonić syna własnym ciałem, a potem sam upadł, nie wiedząc, czy nogi odmówiły mu posłuszeństwa, czy też udawał martwego, żeby przeżyć. Słyszał krzyki i głos manifa, coraz bliższy, a następnie odgłosy walki.

Aż w końcu, gdy już umilkły wrzaski i strzały, Thibaut powoli podniósł głowę znad morza trupów, jak foka wynurzająca się z wody.

Patrzył na metalową kratę. Wizjer w hełmie rycerza. Był zbyt duży i znajdował się tylko o kilka centymetrów od jego twarzy. Rycerz w hełmie

spojrzał na niego. Thibaut mrugnął, a metal zadrżał. Tylko on i ten stwór. Niemcy zginęli lub uciekli. Manif drgnął, ale Thibaut siedział bez ruchu. Czekał, aż istota go zabije, ale ona tylko patrzyła, nie wyrządzając mu krzywdy. Pierwsza z wielu, które tak później robiły.

Stwór zakołysał się ponad stertą zwłok i gruzu. Wyprostował się. Mógł mieć siedem, osiem metrów. Niemożliwy kompozyt wieży i człowieka, miał wielką tarczę, zupełnie nieproporcjonalną, w miejscu korpusu i pozbawione dłoni ręce, które przy reszcie cielska zdawały się niemal filigranowe; lewe ramię było pokryte gzami. Znów zawył, jękiem skrzypiących zawiasów. W końcu, gdy głos umilkł, olbrzym odszedł powoli na trzech kończynach. Jedną nogę miał wielką, męską, w ostrodze, a dwie inne kobiece, z butami na wysokich obcasach¹¹.

Zapadła cisza. Thibaut, dziecko wojny, wyczołgał się w końcu z hekatombi pośród gruzów, przypadł do ciał rodziców i zapłakał.

Często wyobrażał sobie, jak tropi i znajduje tego Niemca, który pierwszy otworzył ogień, ale nie mógł sobie przypomnieć jego twarzy. Nie pamiętał też tych, którzy zabili jego rodziców. Prawdopodobnie zginęli w szalejącym chaosie, zastrzeleni przez własnych towarzyszy albo przygniecenii cegłami, gdy manif zwalił fasadę budynku.



Przy rue Giroux mur rozpada się leniwym strumieniem. Odłamki cegieł toczą się po nierównym zboczu, a spod nich wynurza się młoda kobieta, twarz ma brudną i zakrwawioną, włosy zmierzwione. Nie widzi Thibauta. On patrzy, jak kobieta przygryza paznokieć, a potem ucieka.

Jedna z tysięcy uwięzionych. Naziści nigdy nie pozwolą, by Paryż zaraził resztę Francji. Wszystkie drogi zostały odcięte.

Gdy stało się jasne, że manify, nowe istoty władające nowymi mocami, prędko stąd nie znikną, Rzesza — zanim zdecydowała się na tę kwarantannę

— usiłowała je najpierw zniszczyć, a następnie wykorzystać. Próbowali też wystawić przeciwko nim swoich mniej kapryśnych sojuszników. Z pomocą własnej manifologii udało im się nawet wywołać kilka istot: niekompetentne statuetki, weltgeista Céline, zgrzybiałą apatię, na wpół świadomy pył i stan wyczerpania, infekujący domy jeden po drugim¹². Jednak sukcesy okazały się nieliczne, trudne do utrzymania i opanowania.

Teraz, wiele lat później, Thibaut ma wrażenie, że liczba manif zaczyna się zmniejszać. Że nadciąga kolejna epoka powybuchowego miasta.

Oczywiście, Paryż wciąż wrze. Wystarczy poobserwować. Enigmarelle, szykowny robot wytaczający się z wystawy muzealnej¹³, o ramionach otwartych do śmiertelnego uścisku. Śniący kot¹⁴, wielki jak dziecko, niezdarnie chodzący na dwóch nogach, spoglądający rozumnym wzrokiem. Będziesz spotykać takie widoki, myśli Thibaut. Jeszcze przez jakiś czas.

Idąc tak, ostrożnie, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, przez chwilę można zostać całkiem samemu i nagle trafić na ciąg okien i cegieł w uliczce nietkniętej wojną, by przez sekundę uwierzyć, że jest się znów w dawnym Paryżu.

Nie tęsknię za niczym, powtarza sobie Thibaut. Ani za życiem sprzed wojny, ani za niedawnym, względnym bezpieczeństwem dziewiątego okręgu. Osamotnieni naziści w dziesiątym nigdy nie zdołali przejąć tych ulic ani zmienionych krajobrazów, z którymi się przeplatały łąki szakwii, wygładzone alpejskie wyżyny jak zwisające kotary¹⁵, domy pełne zastygłych pokoi wypełnionych zegarami, miejsca, w których geografia odbijała się sama od siebie jak w lustrze. Okręg dziewiąty cały był zbudowany z niepokornej sztuki, zbyt buntowniczy, by ktokolwiek zdołał nim zawładnąć. Nie tolerował nikogo, prócz partyzantów sztuki — ocalałych surrealistów, żołnierzy nieświadomości. *Main à plume*.

Nie tęsknię za niczym, Thibaut zaciska rękę na broni.

Każde drzewo na brzegu rzeki reprezentuje inną porę roku. Zielone i suche liście tuż obok siebie. Thibaut ma ochotę zobaczyć tory kolejowe. Drogę na zewnątrz. Pod jedną z latarni panuje noc¹⁶. Thibaut opiera się o nią, siada na chodniku i przez dłuższy czas patrzy w gwiazdy.

Czy ja wciąż zasługuję na to miejsce? Przybyli w nieodpowiedniej chwili i w nieodpowiedni sposób. Wyzwolenie się spieprzyło. Ale jeśli on, Thibaut, nie potrafi w tym odnaleźć choć iskry radości, to może jest nie lepszy niż ludzie Stalina? Albo pachołkowie de Gaulle'a, wrogowie prawdziwej wolności.

Nie jestem taki jak oni, myśli sobie. Nie jestem.

Wstaje i znów wkracza w światło dnia, oddala się od maleńkiej manify latarni, a wtedy ulica znów rozbrzmiewa wyciem.

Thibaut reaguje odruchowo, kryjąc się za kikutem filaru. Unosi broń. Wojna nauczyła go, jak stać absolutnie nieruchomo. To wycie nie brzmi jak głos człowieka ani — jest tego pewien — manifa.

Czeka, pilnuje oddechu, nasłuchuje ciężkich kroków. Coś powoli nadchodzi. Thibaut wzdycha, patrząc na karabinek, i poprawia chwyt.

Widzi rozkołysane cielsko, podobne do wielkiego byka. Boki ma zakrwawione i lśniące tęczowo jak benzyna na wodzie. Znad czoła wyrasta mu rząd długich, szarych rogów, niektóre są połamane. Znów ryczy, ukazując ostre kły drapieżnika.

Nie porusza się sennym ruchem manif, lecz dudniącym, rwanym krokiem, od którego drży ziemia. Nie poprzedza go aura czegoś znajomego, co Thibaut nauczył się wyczuwać — nawet jeśli towarzyszyło czemuś, czego jeszcze nigdy przedtem nie widział. Ten stwór rozmazuje się i kapie, wywołując mdłości. Krew skwierczy i dymi, padając na chodnik iskrami. Bestia potrząsa głową, a wtedy z rogów padają krople, mokre, rozbryzgujące się na bruku. Thibaut czuje skurcz wnętrza i od razu wie, że patrzy na resztki manifa.

Diabły i żywe dzieła sztuki nie mogą się ścierpieć i ilekroć się spotkają, wybuchają straszliwe walki. Sztukateria kapiąca z rogów demona jest świeża.

W ciągu tych dni, które nastąpiły po S-plozji, niemieckie wojska i nowo przybyłe manify czasem łączyły siły przeciwko intruzom, takim jak ten, żołnierzom podziemnych batalionów.

Niektórzy z kolegów Thibauta, kierowani prostym pragmatyzmem, próbowali jakoś zrozumieć te upadłe, żenujące wytwory. Czytali złe książki, polowali i szukali. Wyciągali informacje od schwytanych niemieckich okultystów i księży-specjalistów z nowo utworzonej diecezji Alescha. Co bardziej nieustraszeni z nich podsłuchiwali wyrykiwane rozmowy demonów, składali strzępy plotek, pogłosek o dziwnych paktach pomiędzy Rzeszą i Piekłem. Élise mogłaby mu powiedzieć, co to za demon, a Thibaut modli się, choć nie do Boga, prosząc, by ta istota przypadkiem na niego nie spojrzała, bo wie, że to diabeł i do tego wielki.

Jak większość z nich, jest oszalały z bólu, ale przy takich rozmiarach żadne obrażenia czy choroby nie są w stanie przeważać walki na korzyść Thibauta. Ma wprawdzie w kieszeniach kilka drobiazgów na piekielnych, ale dalece niewystarczających. Ta bestia go zabije.

Jednak monstrum z trudem oddała się, kołysząc się na nieokreślonej liczbie nóg, nie patrząc w stronę Thibauta. Zostawia za sobą szlak płonącej krwi i porozrywanej ziemi.

Thibaut czeka, aż potwór skręci gdzieś w bok, zniknie mu z oczu, a potem czeka jeszcze dłużej, a w końcu nie słyszy już nic. Dopiero wtedy pochyla się z ulgą, przyglądając piżamę. *Nawet ona, myśli, trącając obrąbek, nie zdołałaby mnie ocalić. Powinienem zejść z ulicy, myśli i szyderczo dodaje: Może pojedę metrem.*

Myśli o swoich zmarłych. O nieudanym planie, o ataku, z którego sam się wypisał.

Wydobywa z torby ołówek i stary, szkolny zeszyt, wielokrotnie poskładany. Jego własne zapiski wojenne.

Nie jestem żadnym, kurwa, dezserterem. To misja jest bezcelowa. Nie jestem dezserterem.

—

Thibaut miał niecałe siedemnaście lat, gdy kierując się opowieściami ocalałych paryżan, odgłosami strzałów i szlakiem nadpalonych, powykręcanych szczątków niemieckich patroli, a także intuicją, która czasem mu coś podpowiadała, znalazł w ruinach kryjówkę *Main à plume*.

Wymachiwał jakimiś świstkami, drżąc z nerwów tak bardzo, że strażnicy wprowadzający go do środka aż się uśmiechnęli, ale bez złośliwości.

— To wy, prawda? — powtarzał, pokazując nazwiska na zadrukowanych stronach. Wciąż się śmiali, gdy powiedział: — Chcę do was dołączyć.

Sprawdzili go. Gdy powiedział, że nie umie strzelać — jeszcze nigdy przedtem nie trzymał w ręku broni — zażartowali, że w takim razie będzie strzelał automatycznie. To prawie jak pisanie automatyczne, dodali, nadal chichocząc.

— Wiesz, kto powiedział, że „najprostszy akt surrealistyczny to strzelać w tłum na chybił trafił”?

Wiedział i to im się spodobało.

Potem nastąpiły inne pytania. Wskazywali na różne przedmioty spośród gratów walających się po piwnicy, pytając go, czy to surrealistyczne dzieła sztuki, czy zwykłe śmieci. Thibaut patrzył na ich ustawienie i mamrotał odpowiedzi szybciej, niż myślał. Krzesło na szponiastych łapach nie było niczym szczególnym, puste pudełko po cygarach i szczotka do włosów były surrealistyczne i tak dalej. Tylko raz się poprawił, nie pamiętał już, z jakiego powodu. Gdy skończył, patrzyli na niego z większą uwagą.

Gdy jeden z egzaminatorów zdjął but, by pomasować palce, Thibaut

zareagował odruchowo, w porywie brawury, która nie była jeszcze wtedy tak dla niego charakterystyczna. Wyrwał but zaskoczonemu mężczyźnie, podniósł świeczkę, którą wcześniej uznał za zwykły obiekt, i włożył do skórzanego trzewika.

— Teraz jest surrealistycznie — oznajmił. Spojrzenia pytających — artystów, urzędników i kustoszy przeobrażonych w partyzantów — nie umknęły jego uwadze.

— Chcesz walczyć, rozumiem — powiedział w końcu człowiek w jednym bucie, zerkając na niego z ukosa. — Ale teraz... dlaczego w ten sposób? Dlaczego z nami? Widzisz, co się dzieje z miastem. Myślisz, że nie ma teraz ważniejszych rzeczy niż poezja?

Thibaut prawie wykrzyczał odpowiedź.

— Nie uciekamy przed poezją w rzeczywistość. Ale nie uciekamy też przed rzeczywistością w poezję. — Otaczający go ludzie zamrugali. — Nikt nie może powiedzieć, że nasze działania są zbędne — recytował dalej. — A jeśli tak, to odpowiemy, że zbędne zakłada istnienie koniecznego.

Rozpoznał to pytanie, jego ostatni egzamin. Zarówno ono, jak i jego własna odpowiedź pochodziły z przemówienia Jean-François Chabruna, rzecznika franc-tireurs, surrealistycznych dysydentów, tych, którzy byli jeszcze w Paryżu, gdy nadeszli naziści. Przepowiednia, obietnica napisana po jednym kataklizmie, a przed nadejściem kolejnego. Przechowywali ją od tamtej pory. A Thibaut był jej wierny.

Wie, że nigdy nie będzie dobrym strzelcem, a w walce wręcz jest co najwyżej przeciętny. Został przyjęty przez Main à plume z uwagi na swoje spojrzenie, umiejętność dostrzegania powiązań, synchroniczności, którą umiał zauważyć i przywołać. Nauczyli go, jak przewodzić to, co określali jako *disponibilité*, jak być odbiornikiem. Jak wykorzystywać przypadki obiektywne.

Na strychach chylących się domów, w mieście, które stało się strefą ognia i terenem łowieckim niemożliwego, Thibaut uczył się wszystkiego, co musiał wiedzieć o przetrwaniu i poezji od Régine Raufast, Edouarda Jaguera, Riusa, Dotremonta i samego Chabruna; techniki, które miał później zabrać ze sobą, po zakończeniu szkolenia, gdy pełen wdzięczności miał ruszyć własną drogą, by dołączyć do innych i werbować kolejnych. W jego obecności Jacques Hérold podpalił czarny łańcuch¹⁷.

Żyjąc w postwybuchowym miazmacie, wszyscy paryżanie wykształcili sobie niewidzialne mięśnie, które napinały się w obecności manif. U Thibauta były wyjątkowo silne.

Uwięzieni surrealiści natychmiast zorientowali się, czym są postacie zrodzone z eksplozji. Nie diabły — te tandetne widziadła, o nich praktycznie nie rozmawiali. Ale ci inni... tych znali. Pierwsi ich rozpoznali, spróbowali opracować strategię dla dalszego życia i miejskiej partyzantki, która okazywała im należny szacunek. Członkowie Main à plume byli im winni nie tyle posłuszeństwo, co lojalność. Nie była to może ta insurekcja, której wyczekiwali, jednak wciąż dostrzegali w niej przebłyski czystego surrealizmu. Manify były konwulsyjnie piękne i realne. Przybyły. Poeci, artyści, filozofowie, aktywiści ruchu oporu, zwiadowcy i dywersanci z konieczności stali się żołnierzami.

Teraz, w samotności, Thibaut pije za wolność Paryża prosto z hydrantu, na placu, który zaścielają potrzaskane cegły, niczym zwiędłe kwiaty.

—

Kilka miesięcy temu zwiadowcy w dziewiątym zameldowali, że widziano demony w karnierze nieopodal rue de Clichy. Thibaut i jego towarzysze spojrzeli po sobie przerażeni.

— Nie było z nimi niemieckich treserów — powiedziała Virginie. Była jedną z najnowszych rekrutek surrealistycznego ruchu oporu; pełna zapału,

ale młoda i niedoświadczona. — Są dzikie. Jak bardzo to pilne? Czy musimy...?

— Nie miałaś z nimi wcześniej do czynienia — zauważył Thibaut. — Inaczej byś wiedziała.

Rzecz w tym, wyjaśnił jej, że diabłów nie dało się opanować ani trochę bardziej niż drzazgi w zainfekowanej ranie albo reakcji alergicznej. Moc dziewiątego okręgu jak dotąd sprawiała, że trzymały się z dala, nie licząc pojedynczych, ciężko stąpających intruzów. Ale teraz, gdy już się tam zagnieździły, jeśli nie zostaną natychmiast wygonione albo zniszczone, szybko mogły zmienić cały okręg w bagno krwi i wiecznego cierpienia. Surrealiści musieli przygotować egzorcyzmy.

Było w tym coś ekscytującego, podobnie jak w niektórych akcesoriach: relikwach magii, zawstydzających myślicieli oświecenia. Jednak inne elementy trąciły już klerykalizmem i partyzanci z obrzydzeniem przyjęli do wiadomości, że okazały się tak skuteczne w walce. Thibaut i Élise niechętnie spakowali do torby zestaw krucyfiksów, dzwonek i butelek wody święconej i zanieśli ojcu Cédrikowi. Élise zażartowała nawet, jaka to ironia, że właśnie ona — wnuczka rabina — musi się zajmować takimi rzeczami. Stary ksiądz odprawiał przypadkowe rytuały, a oni płacili mu należność w żywności i papierosach.

— Nadstaw drugi policzek, ojczy — powiedziała Élise, widząc jego minę. — Jeśli chcesz, możesz sobie znaleźć jakieś inne owieczki do wypasania. A póki co jesteśmy skazani na to małżeństwo z rozsądku. Chcesz sobie iść? Tam są drzwi.

Musiał przyznać, że ich towarzystwo zapewniało mu większe bezpieczeństwo niż odwrotnie. Surrealiści nie znosili jego profesji, a on ich wojującego ateizmu, ale wszyscy wiedzieli, że w walce z demonem dobrze mieć do pomocy księdza.

— Dlaczego tak jest? — spytał Thibaut, gdy znów wyszli. — Jak myślisz, czemu to w ogóle działa? Przecież to wszystko bujda.

— Może diabły kochają rytuały równie mocno jak ludzie — odparła.

Mimo wszelkich drwin i niechęci, ekipa Thibauta miała dla swojego księdza trochę niechętnego szacunku: jak by nie patrzeć, należał przecież do ruchu oporu. W tym mieście jego tradycyjne zajęcie stało się formą buntu. W przeciwieństwie do wielu duchownych, nie uznał nowego Kościoła Paryskiego ani jego przywódcy Roberta Alescha.

W ciągu kilku miesięcy poprzedzających rekonfigurację Abbé Alesch dał się poznać jako żarliwy przeciwnik nazistów. Kilku jego bliskich towarzyszy wiedziało również, że należał do tajnej sieci Jeannine Picabii zwanej réseau Gloria. Był ich kurierem i jako ksiądz mógł bez przeszkód poruszać się po wszystkich obszarach miasta, przenosząc wiadomości i kontrabandę. Jego towarzysze z Glorii mówili do niego „biskupie”, a on wysłuchiwał ich spowiedzi.

Był podwójnym agentem. Wkrótce po S-plozji wydał swoich towarzyszy nazistom, co zakończyło się śmiercią praktycznie wszystkich. Alesch, informator SS, otrzymał za to nie trzydzieści srebrników, lecz dwanaście tysięcy franków miesięcznie.

Tylko dwójka działaczy, Suzanne Dechevaux-Dumesnil i jej kochanek, Irlandczyk Beckett, zdołała uciec z masakry Glorii. Rozgłosili wieść o zdradzie Alescha, ale on się nie ugiął. Zbudował własną teologię zdrady, katechizm kolaboracji zarówno z Niemcami, jak i z tymi drugimi, najeźdźcami z dołu. Rzym go odrzucił, a on odrzucił Rzym. Ogłosił się biskupem własnego, führerskiego kościoła.

Przynajmniej w tej jednej kwestii — nienawiści do Alescha — Cédrik i surrealiści byli całkowicie zgodni.

O zmierzchu wyszli na dachy, z bronią nabitą pociskami, którym

wcześniej udzielono sardonicznego błogosławieństwa. W Paryżu należało być gotowym do walki z dziełami sztuki i demonami piekieł jednocześnie — nie mówiąc już o nazistach — więc woleli być gotowi na wszystko.

Thibaut dobrze radził sobie z manifami. Miał wiedzę, potrafił użyć kateksji albo broni specjalnie zamanifestowanej przeciwko nim.

A ludzi, na szczęście, można było zabić praktycznie wszystkim.

Partyzanci przedzierali się przez las kominów. Pośród porzucanych cegieł, martwych wron, dachówek i przepełnionych rynsztoków Thibaut dostrzegał wahadła i sylwetki ukręcone ze sznurków. Szczątki surrealizmu, ulotna świadomość. Na krawędzi dachów wyrastały drzwi. Mgliste sylwetki, przechodzące zbyt blisko, na które starał się nie patrzeć.

Potem słaby odgłos krzyku. Zbliżyli się ostrożnie. Rozglądali się po rozległym niebie, szukając źródła dźwięku. Zaglądali w pęknięty świetlik magazynu, jakby to była szklana kula.

Daleko w dole mężczyzna w luźnej szacie wił się w powietrzu, zawieszony ponad zakurzoną podłogą. Miotał się wśród potworów.

Bestia z trąbą zamiast nosa i rybimi oczami wymachiwała pałąk w brutalnym rytmie. Beznoga istota o skrzydłach nietoperza uderzała go kolczastym, pokrytym przyssawkami ogonem. Szmaciane zwierzęta żuły palce mężczyzny i orały go rogami.

— O Boże — szepnęła Virginie. — Chodźmy!

Partyzanci zacisnęli zęby w obrzydzeniu i szybko wycelowali broń. Jaszczurza, lalkowata istota warczała, a włochata, świniopodobna maskara śliniła się pomiędzy kolejnymi atakami.

— Zaczekaj! — Thibaut uniósł rękę. — Patrzcie! Spójrzcie na jego ubranie.

— Odejdź, Thib — ponaglił go Pierre, celując poprzez szkło.

— Zaczekaj. On już raz się tak poruszył — szepnął Thibaut. Mężczyzna

znów krzyknął. — Słuchaj. — Słabnący krzyk rozpląnął się w ciszy, po czym zabrzmiął znowu. — Spójrz na te diabły. Spójrzcie na niego.

Wzrok mężczyzny był rozkojarzony i pusty jak zastygły beton. Jego jasna szata i poszarpana broda były dokładnie zniszczone. Jęczał i wił się tym samym ruchem, a jego głos nie cichł ani nie potężniał, zaś krew wciąż kapiała na ziemię, tworząc kałużę, która wcale się nie powiększała.

— Te diabły wyglądają zbyt zdrowo — powiedział w końcu Thibaut. — Powtarzają się jak zdarta płyta. Wiecie dlaczego? To nie są demony. A to, co pożerają, nie jest człowiekiem.



Zmieniające się ulice Paryża dudniły teraz echem twardych, piekielnych stóp. Wynurzyły się ze ścieków, gdy nadszedł wybuch. Rozerwały drzewa i wyskoczyły na świat jak manify, choć w niczym ich nie przypominały i prawdopodobnie to nie one spowodowały eksplozję. Tak jakby wybuch nie był powodem ich narodzin, a jedynie pretekstem. Wypłynęły na światło dzienne chodnikami roztopionymi niczym lawa, wynurzyły się z rykiem z mgnienia bólu. Olbrzymy z pajęczynami zamiast twarzy, generałowie o twarzach krabów zakutyh w szczęki. I inni. Odziani byli w zbroje i złoto. Siali zarazę i wrzeszczeli, upojeni piekielnym szalem.

Ale nawet demony czasem jęczały pomiędzy rykami. Pocierały własną skórę, gdy myślały, że nikt nie patrzy. Zabijały i torturowały, ale nie z własnej potrzeby. Były niespokojne. Śmierdziały nie tylko siarką, lecz także chorobą. Czasem płakały z bólu.

Demony Paryża ani na chwilę nie milkły. Krzyczały w setkach języków, wyły i wykrzykiwały opisy swoich głębinowych miast, waliły szponami w swoje herby, symbole domów z otchłani, oraz wołały do swoich ofiar, że przybyły z samego Piekła i należy się ich bać.

Nadeszły jednocześnie, ramię w ramię z nazistami i ich sojusznikami

z Vichy, patrole czarowników, robiąc wspólne wypadki, pociski i bomby z jednej strony, ślina i wrząca krew z drugiej. Przekaz był jasny: manify nie miały panów, ale Rzesza świadomie wezwała te istoty, by wygrać wojnę. Współpraca nie zawsze przebiegała gładko. Zdarzało się, że nawet podczas walki z wrogami ich tarcia kończyły się wzajemną masakrą; naziści i demony rzucali się sobie do gardeł, podczas gdy ich ofiary ze zdziwieniem przysłuchiwały się ich agonalnym wrzaskom.

Jeśli ktoś patrzył uważnie, mógł dostrzec, że diabły były teraz równie zahukane, co ich wojskowi treserzy, tak zagubione w Paryżu jak wszyscy inni. Przybyły, ale nie odchodziły. Ktoś ukryty w pobliżu ich legowisk — a najodważniejsi lub samobójczo usposobieni szpiedzy czasem tak robili — mógł nawet usłyszeć, jak szlochają z tęsknoty za Gehenną, z której najwyraźniej wygnano je na zawsze.

Widać było, że onieśmiela je żywa sztuka tego miasta. Jeśli nie miały przewagi liczebnej, uciekały w popłochu. Jeśli zaś miały — atakowały nerwowo.

— To tutaj — powiedział Thibaut tamtej nocy na dachu. — To nie są demony. To manify.

Żywe obrazy. Wizje demonów i ich ofiary. Nie były nawet rozumne, jak większość żyjącej, paryskiej sztuki, lecz zapętłone.

— Nie! — odparł Pierre, podnosząc karabin. — Pierdolona bzdura! — dodał i znów wycelował. Ale nie wystrzelił, a jego towarzysze patrzyli na powtarzającą się scenę, aż w końcu Élise delikatnie pchnęła lufę karabinu w dół.

—

Thibaut szepcze do tych, którzy odeszli.

Jest już noc, ale on idzie dalej. Potrzebuje chłodnego powietrza i mroku, by zabarwić nimi krawędź białych paryskich ścian, jak smugą tuszu. A zatem

kroczy zrujnowanymi ulicami aż do wschodu księżyca, a potem idzie dalej, pozwalając, by nieświadomość pociągnęła go w stronę jednego z gnijących domów. Szuka schronienia.

Prześpię się z godzinę, myśli. Dwie, może trzy, nie więcej.

Dotyka palcami drewna i unosi głowę. Popycha drzwi. Kroki chlupoczą na mokrym dywanie. Thibaut idzie z uniesioną bronią.

Z gzymsu nad kominkiem w dużym pokoju jakiś senny ssak spogląda na niego małpimi oczami¹⁸. Na jego widok wykrzywia się w grymasie. Krew ścieka z zakrzywionych pazurów. W kałuży na podłodze leży utopiona kobieta. Thibaut patrzy na jej nakrapiane łopatki i wtedy, z nagłym skurczem intuicji, wie, że zwierzę czeka, aż ciało zgnije.

Nocą powinien być cicho — zwłaszcza teraz, w tę ostatnią noc — ale przepelnia go wściekłość porażki. Celuje w mięsożerną małpiatkę.

Stworzenie zatrzymuje się z wahaniem, jak wszystkie manify w jego obecności. Thibaut strzela na chybił trafił, na modłę surrealistów.

Później czeka. Broń dymi. Nic się nie pojawia. Podchodzi do martwej kobiety i chce ją odwrócić, ale nie może; chowa twarz w dłoniach i zastanawia się, czy będzie płakać. Teraz już na pewno nie zaśnie.

—

Od nieudanego ataku na rzekome demony minęły dwa dni. Thibaut jadł śniadanie — czerstwy chleb — gdy Virginie położyła przed nim książkę.

— Co to? — spytał.

Przekartkowała, zatrzymując się na obrazku potwora z trąbą i drugiego z kolczastym ogonem, cała horda małych diabłat. Rozpoznał je. Otaczały tego samego świętego Antoniego, którego widział kilka ulic dalej.

— To obraz Schongauera — powiedziała.

— Skąd to wzięłaś?

— Z biblioteki.

Thibaut potrząsnął głową nad jej głupotą czy też może odwagą. Okraść bibliotekę! Książki nie były bezpieczne.

— Posłuchaj — mówiła dalej — Ten manif? Czy może obraz? Chyba nie utworzył się samodzielnie. Za daleko od jądra S-plozji.

W fali płodnego wstrząsu eksplozji zmanifestowały się nie tylko wizje surrealistów. Wraz z nimi narodziły się dzieła symbolizmu i dekadencji, dzieła przodków surrealizmu, duchy ich protokanonu. Obśliniony dziesięcionogi pająk Redona¹⁹ polował teraz na jednym końcu rue Jean Lantier, kłapiąc wielkimi zębiskami. Postać Arcimbolda z twarzą sklejoną z owoców przechadzała się po obrzeżach targu Saint-Ouen.

— Gdyby to był Dürer, to może — ciągnęła. — Albo Piranesi. Ale Schongauer? Jest ważny, ale chyba nie na tyle kluczowy, żeby się spontanicznie zmanifestować. Myślę, że ktoś to zrobił specjalnie.

— Kto? — spytał Thibaut. — I po co?

— Naziści. Może chcą przywołać demony, które będą ich bardziej słuchać. Myślę, że chcą mieć własne manify. Może ciągle próbują. — Spojrzeli na siebie. Do głowy napłynęły im wizje wrogów szarpiących obraz na stronach książek z pomocą wszelkich okultystycznych silników, jakie tylko zdołali zbudować.

— W końcu Führer jest artystą, prawda? — dodała ciężko Virginie.

Reprodukcje jego kiepskich akwarel, pełnych drżących linii, gładkich twarzy, pustych, ładnych, nijakich miasteczek, krążyły po okultystycznym Paryżu jako ciekawostki. Virginie i Thibaut wymienili pogardliwe spojrzenia.

—

Niezależnie od miejsca pochodzenia diabło-manify były słabe, nie miały nawet dość sił, by się w pełni objawić. Pewnie nadal tam są, myśli Thibaut. Wciąż pożerają swą bezwonną ofiarę.

Zbliża się do bulwarów Garibaldiiego i Pasteura. Za okiennicami widzi

migotanie świateł. W tych domach żyją małe społeczności. W każdym pokoju jedna rodzina, piecyki, w którym palą krzesłami, przejścia wykute w ścianach. Thibaut zasypia i śni, wciąż idąc bulwarem Haussmanna.

Śni mu się, że Élise pada na niego zalana krwią, spod której nie widać twarzy. Widzi Virginie, Paula i Jeana, i całą resztę, ale jest już za późno, by zrobić coś więcej, niż tylko tulić ich umierające ciała w mroku lasu.

Thibaut nie krzyczy, ale budzi się dość gwałtownie, wciąż idąc. Zmienia wyraz twarzy, znów przybierając pogardliwy miejski grymas.

—

Na skąpanym w świetle księżyca skrzyżowaniu Thibaut zwalnia kroku. Widzi dwa szkielety. Poruszają bezcielesnymi kończynami, wolno chodząc w kółko.

Thibaut zamiera. Martwe stopy grzechoczą.

Alain, najlepszy dowódca, jakiego ich komórka kiedykolwiek sobie wybrała, potraktowałby te kości Delvaux²⁰, roztrzaskując własną strukturę, z największym szacunkiem. Nie przeszkodziło to trzem kościotrupom zasztyletować go na śmierć własnymi odłamkami kości pewnego upalnego, czerwcowego dnia.

Thibaut cofa się powoli. Nie chce walczyć z manifi.

Niewidzialny organ, nowy mięsień, napina się, czując nagłą falę manifestującej energii. Napływa skądinąd. Thibaut się zatacza. Potem zgina się wóół, gdy fala znów nadciąga.

Słychać strzały. Szkielety nie reagują. Dźwięki dochodzą z północy, w bok od ścieżki Thibauta, ale za blisko, a jego wnętrzości wciąż się skręcają, gdy zrywa się do biegu, i ku własnemu zaskoczeniu widzi, że biegnie w stronę wystrzałów.

Przez granicę do okręgu siódmego. Dzwoni mu w uszach. Kolejny strzał. Czuć zapach żywicy.

Przy alei Breteuil rosną osiki. Ich gałęzie rozciągają się daleko, dotykają dachów domów. Wielki kompleks Les Invalides, rozbudowany i niegdyś pysznie zdobiony, jest teraz ukryty przed wzrokiem, porośnięty roślinnością. Latarnie z trudem przebijają się przez korzenie, a dachy przez listowie. Katedra Saint-Louis des Invalides jest pełna kory. Musée de l'Armée z wolna pustoszeje, w powolnym, roślinnym chaosie, przechowywane w nim bronie dzień po dniu są chwywane i wywlekane z gablotek przez ciekawskie pędy²¹.

Kolejny strzał: w górze rozpierzcha się stado nocnych stworzeń. Czyjś śmiech. Z lasu wybiega kobieta. Ma grube okulary, tweedowe spodnie i kurtkę uwalane leśnym runem. Dźwiga torby i jakiś sprzęt, wymachuje pistoletem.

Za nią rozlega się warczenie i ciężki oddech. Bestie wypadają spomiędzy drzew, biegnąc dziwnym, koślawym krokiem.

Thibaut widzi małe stoliki, płaskie korpusy blatów, sztywne, drewniane nogi, bijące ogony i rozjuszony pies pyski. Ujadają i gryzą powietrze. Zębate meble miotają się po nierównej ziemi.

Thibaut wydaje szybki syk, mija biegnącą kobietę, staje pomiędzy nią a jej prześladowcami. *Zawróć, myśli. Wszystkie manify tak robią.*

Ale one atakują. I nadbiegają kolejne.

Zszokowany, nieco zbyt wolno unosi broń. Strzela w tej samej chwili, gdy pierwsze zwierzę wybija się do skoku i stolik rozpada się w fontannie drzazg.

Teraz pozostałe rzucają się na niego, a jego bawełniany strój nagle staje się twardy jak metal. Thibaut bierze zamach. Piżama usztywnia mu rękę, zmieniając ją w broń, prowadząc szybko i mocno. Drewniany drapieźnik dopada go i gryzie, a ramię Thibauta spada na niego, łamiąc mu kręgosłup.

Stoi pomiędzy kobietą i wilczymi stołami, warcząc równie dziko, co atakujące stado. Stoliki posuwają się o krok. W napadzie twórczego szału Thibaut strzela najbliższemu prosto w pysk, a stwór pada, bryzgając krwią

i trocinami.

Z lasu dobiegają krzyki. Dostrzega dwie, trzy sylwetki w czarnych mundurach. SS-mani. Jakiś człowiek w ciemnym płaszczu krzyczy po niemiecku:

— Szybko! Ostrożnie! Te psy...

Krępy żołnierz strzela do niego z cienia. Thibaut wyje, ale pocisk odbija się od jego piersi. Napastnik marszczy brwi, a Thibaut unosi w tym czasie własny wysłużony karabinek i strzela, chybia i przeładowuje, podczas gdy Niemiec wciąż patrzy z głupią miną. Thibaut strzela znowu, tym razem z pomocą *disponibilité* i trafia we wroga.

Wilk-stoły gryzą. Jakiś Niemiec strzela z bata, przywołując je do siebie, a Thibaut łapie za końcówkę rzemienia. Owija mu się wokół ręki, która aż drętwieje, ale zaciska dłoń i trzyma mocno. Kobieta pada na kolana, wbija palce w ziemię; atakujący stół drży i cofa się powoli. Thibaut szarpie za bat i wymierza przeciwnikowi cios, z rozmachem posyłając go z powrotem w cień.

Niemcy stoją niezdecydowani. Stado wyje. Thibaut uderza ręką w drzewo tak mocno, by się zachwiało, demonstrując siłę swojej piżamy. Napastnicy wycofują się do lasu, w stronę korytarzy Les Invalides. Ludzie krzyczą w biegu, a stoły biegną ich śladem, obnażając zęby, aż wchłania ich mrok.

—

— Dziękuję ci — mówi kobieta. Zbiera upuszczone rzeczy. — Chodźmy.

Mówi po francusku z amerykańskim akcentem, ma wysoki, arystokratyczny głos.

— Co to, u diabła, było?! — wykrzykuje Thibaut. Człowiek, do którego strzelał, nie żyje. Surrealista przeszukuje mu kieszenie. — Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego!

— Mówią na to „wilk-stoły” — odpowiada kobieta. — Manifestacja dzieła

Braunera²². Musimy iść.

Thibaut patrzy, oszołomiony.

— Manifestacje Braunera mają lisie części — odpowiada w końcu. — Te stoły były od nich większe, ich futro było bardziej szare. Nie przypominały lisów, raczej jakieś mieszańce. Żołnierze mówili o nich „psy”. A poza tym wykonywały rozkazy. I jeszcze nigdy... — odwraca wzrok. — Nigdy nie widziałem takich manif, nawet wilk-stołów.

I rzuciły się na mnie. Nawet się nie zawahały.

Kobieta odzywa się dopiero po chwili.

— Proszę, wybacz. Oczywiście. Źle zrozumiałam.

— Wilk-stoły to padlinożercy — ciągnie Thibaut. — Jeden strzał powinien je spłoszyć.

Zwykle obżerały się nieprzytomnie, próbując wypełnić nieistniejące żołądki, zapychając sobie gardła, aż w końcu wyrzygiwały wszystko, krew, mięso i ślinę, a potem znów brały się do jedzenia.

— Wilk-stoły nie są zbyt odważne.

— Oczywiście. Widzę, że znasz się na manifach. Nie chciałam być niegrzeczna. Ale proszę... Musimy już iść.

— Kim jesteś?

Jest od niego o parę lat starsza. Okrągła twarz, wysokie, zaczerwienione policzki, krótko przycięte ciemne włosy. Unosi głowę, spoglądając znad korzeni drzew.

— Co tu robisz? — naciska Thibaut, a potem nagle myśli, że chyba wie.

— Jestem Sam — odpowiada. — Hej! — protestuje, kiedy Thibaut chwyta jej torbę i wywraca ją do góry nogami.

— Co ty wyprawiasz?

Ze środka wypada aparat, kilka rolek filmu i podniszczonych książek. Aparat jest dość nowy. Nie czuje ładunku manif. Żadnych surrealistycznych

obiektów. Patrzy na nią zdziwiony. Spodziewał się łupów zbieracza. Starych rękawic, wypchanego węża, zakurzonych przedmiotów, kieliszka do wina na wpół zanurzonego w zastygłej lawie, kawałków maszyny do pisania, książki porośniętej pąklami²³, obcęgów zmieniających wszystko, czego dotkną.

Myślał, że to szabrowniczka, sroka wojny. Zbieraczka artefaktów, jedna z tych, którzy przekradali się przez barykady, by szukać, zbierać i sprzedawać rzeczy powstałe podczas S-plozji. Baterie dziwnych energii. Rzeczy wykradzione spod kwarantanny nazistów, sprzedawane za kolosalne sumy na czarnym rynku. Manify kradzione na pęczki, podczas gdy Thibaut i jego towarzysze walczyli z diabłami, faszystami, zbłąkanymi dziełami sztuki i ginęli.

Miał chyba więcej szacunku dla swoich wrogów niż dla tych handlarzy. Spodziewał się, że znajdzie w torbie łyżkę porośniętą futrem²⁴, świeczkę, kamyk w pudełku. Mruga. Na przemian zwija i rozwija niemiecki bicz.

—

Sam ogląda aparat, szuka uszkodzeń.

— Co to miało być?

Thibaut trąca książki butem, jakby spodziewał się, że zmieni się w coś innego. Sam odpycha go na bok. „Minotaure”; „Documents”; „Le Surréalisme au service de la Révolution”; „La Révolution surréaliste”; „View”.

— Po co ci to? — pyta ścisłym głosem.

Kobieta otrzepuje okładki.

— Myślałeś, że jestem szabrowniczką? Jezu!

Patrzy na niego przez obiektyw aparatu, a on zasłania twarz ręką. Sam zwalnia migawkę, a Thibaut czuje coś we krwi. Patrzy na jej dzienniki, myśląc o tych, które kiedyś sam prowadził. Przestał wiele lat temu, gdy przerwał szkolenie. Dziwny hołd dla jego nauczycieli, stronice pełne ich

własnych prac.

Kobieta oddycha z ulgą.

— Gdybyś go zepsuł, bylibyśmy teraz w bardzo złych stosunkach.

Wiesza aparat na szyi i strzepuje piach z dużego notesu oprawionego w skórę. Następnie wyciąga rękę.

— Nie przyszedł tu, żeby kraść — mówi. — Przyszedł, żeby wszystko opisać.

—

Po śmierci rodziców, zanim znalazł tych, którzy stali się jego towarzyszami, Thibaut, który nie miał jeszcze szesnastu lat, długo włóczył się samotnie. Gdy dotarł na skraj miasta, z ukrycia obserwował grupy przerażonych, uwięzionych mieszkańców rzucających się na barykady wzniesione na granicy wybuchu. Zza nich niemieccy strażnicy bezlitośnie strzelali salwami pocisków, aż w końcu ludzie zrozumieli, że nie zdołają uciec. W ciągu tych pierwszych dni zdarzało się, że również niemieccy żołnierze nadbiegali z głębi miasta, wołając do swych pobratymców, by pozwolono im wyjść, a jeśli za bardzo się zbliżyli, do nich także strzelano. Jeśli się cofnęli, mówiono do nich przez głośniki, aby nie opuszczali skażonej strefy i czekali na dalsze polecenia.

Wrócił do niebezpiecznego Paryża. Spał, gdzie się dało, dni spędzał, szukając jedzenia, przecierał oczy i chował się przed potworami. Co jakiś czas przemykał na obrzeża, próbując znaleźć drogę ucieczki, ale nigdy mu się to nie udało. Miasto było odcięte.

W końcu pewnej nocy, podczas ulewnego deszczu, gdy schronił się w ruinach sklepu tabacznego i mechanicznie przeglądał swoje rzeczy, znalazł ostatni pakiet broszur i książek, który odebrał tamtego dnia, kiedy nastąpił wybuch. Przeciął owijający je sznurek.

Géographie nocturne, zbiór wierszy. *La Main à plume*, recenzje.

Surrealizm w okupowanym mieście. Napisane w podziemiu. Zobaczył ich nazwiska: Chabrun, Patin, Dotrement. Deszcz bębnił o szybę.

— „I ludzie śpiący — przeczytał Thibaut — działają i współdziałają z wydarzeniami świata”²⁵.

Otworzył drugi zeszyt na eseju *Chabruna État de présence*. Mowa w obronie poezji, pełna antyfaszystowskiej pasji. Nawoływanie, by pozostać wiernym swej idei, które Thibaut wyrecytował później członkom *Main à plume*, by zdać egzamin wstępny. Surrealistyczne świadectwo obecności. Przerzucił strony i pierwsze słowa, jakie przeczytał, były jednymi z ostatnich w tekście.

„Czy powinniśmy odejść? Zostać. Jeśli możesz zostać, zostań...”

Thibaut trząsł się, lecz wcale nie z zimna.

„My zostajemy”.

Rozdział drugi: 1941

Mężczyzna w filcowym kapeluszu homburg wyszedł na plac Feliksa Baretta. Wciąż jeszcze nie przyzwyczyił się do tego zgiełku. Racjonowanie benzyny sprawiło, że po ulicach jeździło coraz mniej samochodów, zewsząd słychać było turkot kół i stukot kopyt.

Miasto portowe, gorąca, bandycka metropolia, miasto wygnańców, zbiorowisko uchodźców, wydojone i pokonane. Rok 1941 i Francja dla Francuzów.

Varian Fry. Trzydziestoczteroletni, z zaciśniętymi ustami, cichy i skupiony, wyglądał dokładnie na tego, kim był: człowieka, który coś wiedział. Zmrużył oczy, patrząc na kolejkę przed biurem. Przyzwyczyił się do wyrazu straszliwej nadziei w ich oczach.

Alejki tętniły życiem, bary były pełne. Wokół rozbrzmiewały okrzyki w różnych językach. Góry spoglądały na wszystko z wysoka, a wiosenne powietrze było bardzo ciepłe. Kilka przecznic dalej kołysało się morze. *Powinienem teraz siedzieć na nabrzeżu, pomyślał Fry. Powinienem zdjąć buty i podwinąć spodnie. Rzucić kamyki do wody, żeby zirytować ryby. Powinienem zrzucić buty do wody.*

Widział sprzedawców oferujących wizy, informacje, kłamstwa. Marsylia czerwieniła się w upale.

W oknie piekarni wisiała popularna tabliczka *Entreprise Française*, obok portretu posepnego marszałka. Fry zdjął okulary, jakby nie chciał patrzeć na to barbarzyństwo.

— Mesje! Mesje!

Przez plac przebiegł młody człowiek w tanim garniturze. Na dziecinnej

twarży rysował się ciemny wąsik, brwi wyginały się tak wysoko, jakby je wyskubano, choć stan fryzury nie sugerował dbałości o wygląd.

— Mesje! — wydyszał.

— Mogę w czymś pomóc? — spytał Fry po francusku.

Mężczyzna zatrzymał się bardzo blisko, na jego twarzy pojawił się chytry wyraz. Mruknął coś niewyraźnie, brzmiało trochę jak *Oto, adoni*.

— Nie jestem Francuzem ani trochę bardziej niż pan — odparł Fry, tym razem w swojej rodzinnej mowie. — Czy to w ogóle było po francusku? Niech pan przestanie dręczyć ten biedny język. Jego rozmówca zamrugął.

— Przepraszam — wyjąkał. — Pomyliłem się. Pan jest Amerykaninem?

— Widział mnie pan w konsulacie.

— Tak.

Mężczyzna prawie podskakiwał, przestępując z nogi na nogę.

— Panie...?

— Jack Parsons.

— Przez chwilę wezmę to za dobrą monetę i uznam, że jest pan po prostu naiwny. — Kim był ten człowiek? Niezręcznym szpiegiem? Cwaniakiem i kombinatorem? — Zaczepiać kogoś na ulicy w Marsylii w obecnych czasach...

— Ach, tak. Przykro mi. — Skruszona mina Parsonsa, wydawała się szczerą. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia trzy lata. — Rzecz w tym... — zaczął mówić szybko. — Byłem tam przed chwilą i zobaczyłem, jak mija pan całą tę kolejkę. Próbuję wyjechać, wie pan? Ale tylko mnie wyśmiali. Powiedzieli, żebym wracał do Stanów.

— Jak pan tu w ogóle trafił?

Parsons odruchowo spojrział w stronę piekarni.

— „Francuska firma”? — przeczytał. — Tak jest tam napisane. Ale to chyba jasne. Niby jaka miałyby być?

— Chodzi o to, że nie jest żydowska — wyjaśnił Fry. Czy Parsons naprawdę mógł być tak nieuświadomiony? W cieniu pod pobliskim murkiem leżała sterta niemieckich gazet. — Pracuje pan dla Bingham?

Ze wszystkich amerykańskich dyplomatów w mieście Bingham był jedynym sojusznikiem Frya. Pozostali starali się utrzymywać przyjazne stosunki z Vichy. Wiedzieli, że Fry chętnie wywiózłby z Francji każdego uchodźcę, każdego antyfaszystę, każdego Żyda, związkowca, radykała, pisarza i każdego myśliciela. Ale musiał wybierać. Jego Komitet Pomocy Uchodźcom, nie bez żalu, skupiał się więc na artystach i intelektualistach.

Tak jakby piekarz, hydraulik czy przedszkolanka nie zasługiwali na naszą pomoc, myślał wielokrotnie Fry.

— Nie znam Bingham — odparł Parsons. — Ale niech pan posłucha. Zastanawiałem się, co to za szycha tak sobie wchodzi do środka, a potem zobaczyłem, co pan niesie. Te gazety...

Fry otworzył teczkę, z której wystawał kawałek ręcznie zszywanego pisma, które wziął ze sobą, by sobie poczytać w razie opóźnienia; niewielka broszura.

— To? — spytał i wyciągnął je trochę bardziej. Na okładce widniała poskręcana, ręcznie malowana postać. I nazwiska: Ernst, Masson, Lamba, Tanning i inni.

— Właśnie! Nie mogłem w to uwierzyć! Muszę z panem pomówić.

— Ach, zatem jest pan miłośnikiem sztuki? O to chodzi?

Marsylia pożerała naiwnych. Okoliczne hotele: Bompard, Levant, Atlantique były obozami, wyciskającymi pieniądze z uchodźców. Légion des Anciens Combattants terroryzował Żydów i lewicowców. Zaułki należały do gangsterów. *Ten Jack Parsons,* pomyślał Fry, *stanowi zapowiedź kłopotów, czy tego chce czy nie.*

Fry musiał ostatnio zabronić Mary Jayne Gold wstępu do kwatery głównej

KPU w willi Air-Bel, wielkim, zniszczonym domu na przedmieściach Marsylii. Przemógł swoją niechęć do tej kobiety, którą z początku uważał za znudzoną, bogatą turystkę, ale nawet szacunek, jaki sobie potem zdobyła, nie wystarczył, by jej później nie wyprosić. Jej przyjaciel stanowił zbyt ryzykowne towarzystwo. Raymond Couraud, zwany „Zabójcą” — Mary Jayne przekonywała ich bezskutecznie, że przywisko wzięło się tylko od jego zwyczaju bezlitosnego mordowania języka angielskiego — był młodym osiłkiem, rozgoryczonym i wściekłym dezserterem, który nie cierpiał prawie wszystkich przyjaciół Mary Jayne, przestawał z bandytami, raz włamał się do willi, a kiedyś okradł nawet samą Gold. Znosiła to zaskakująco cierpliwie.

— Wykaż trochę zrozumienia, Fry — powiedział kiedyś jego przyjaciel Serge. — Powinieneś zobaczyć mnie, kiedy miałem dwadzieścia lat.

— Mary Jayne i jej nostalgii de la boue to jej sprawa — odparł Fry. — Ale ten człowiek ma stąd zniknąć.

Fry wiedział, że powinien przerwać tę rozmowę, ale Parsons coś wymruczał, a on zastygł. Przybysz wpatrywał się w broszurę. Niektórzy ludzie potrafią przebyć cały ocean, by kupić dzieło sztuki. Mogą nawet przybyć na wojnę.

— Peggy o nas mówiła? — spytał Fry.

— Jaka Peggy? Chciałem porozmawiać o niej. — Wskazał nazwisko na okładce.

Fry spojrzał za jego palcem.

— Ithell Colquhoun²⁶?

— Trudno zapomnieć takie imię.

— Nie znam jej — odparł Fry. — Nie wiem o niej za wiele. A z całą pewnością nie mam na sprzedaż żadnych jej dzieł.

— Widzi pan, ja coś o niej wiem. I nie spodziewałem się, w żadnym wypadku, zobaczyć tutaj jej nazwiska. Dlatego chcę z panem pomówić.

Nie rozmawiaj z nieznanymi. Gestapo patrzy, komisja Kundta jest w mieście. Ale w głosie Parsonsa było coś, czemu nie mógł się oprzeć.

—

Café Pelikan była zatłoczona. Uchodźcy, intelektualiści, garstka marsylskich szumowin.

— Co pan wie o surrealizmie?

Jack Parsons potarł podbródek.

— To sztuka, prawda? Nic wielkiego. Czy ona się w tym specjalizuje? Znam ją trochę skądinąd. Panie Fry — Pochylił się. — Nie powinienem tu być. Jestem w drodze do Pragi.

— Nie może pan tam jechać. Wciąż nie jestem pewien, jak pan się tu znalazł.

— Po prostu... przyjechałem. I muszę jechać dalej. Mam zadanie do wykonania. Cała ta cholerna wojna. Jest dokładnie tak, jak pan mówił: w pewnym kontekście można sprawić, żeby słowa robiły różne rzeczy.

Naprawdę tak powiedziałem?, pomyślał Fry.

— Jestem tylko urzędnikiem... — zaczął.

— Bez żartów. Pan zawiaduje tym komitetem. Komitetem Pomocy Uchodźcom. — Fry rozejrzał się szybko, ale Parsons się nie przejmował. — Wszyscy w biurze o tym mówili. Wiem, że macie jakieś miejsce na przedmieściach, gdzie trzymacie artystów, próbujecie ich stąd zabrać...

— Niech pan mówi ciszej.

— Będę z panem szczery. — Parsons paplał dalej. — Muszę jechać do Pragi, bo jak się już tam dostanę, mogę sprawić, żeby pewne rzeczy zachowały się inaczej niż normalnie. Ale teraz wszyscy mówią mi, że nie da się tam pojechać. A zatem stoję, zastanawiam się, co teraz robić, i widzę pana z tą gazetą w ręku. Dlatego za panem pobiegłem. Bo nie wierzę w przypadki.

Fry lekko się uśmiechnął.

— Mam kolegę, który by się z panem zgodził. Mówił na to „przypadek obiektywny”.

— Aha, widzi pan? Ta osoba na okładce ma powiązania dokładnie z takimi rzeczami, jakie próbuję osiągnąć. Ithell Colquhoun. — W jego ustach zabrzmiało to jak dźwięk dzwonka. — Gdzie pan ją poznał?

— Przez kolegę. Tego samego, który podziela pańskie poglądy na temat przypadków. Odwiedziła go rok temu w Paryżu. To on złożył tę broszurę. Ta kobieta to jakaś malarka i pisarka. Nie wiem, jeszcze nie przeczytałem.

— Jak się nazywa pański kolega?

Z pewnym wysiłkiem Fry nie odpowiedział na pytanie. Za to zapytał:

— Skąd zna pan prace Colquhoun?

— Mój mentor ją znał. Zawsze wypowiadał się o niej bardzo pozytywnie. Dlatego teraz zastanawia mnie jedna rzecz. Jak mówiłem, mam coś do zrobienia w Pradze. Niestety, utknąłem tutaj. Co jednak, jeśli to wcale nie jest przeszkoda, ale okazja? Ten człowiek, dla którego mam dużo szacunku, no cóż, miał dużo szacunku dla Colquhoun. A jeśli ona jest jedną z tych surrealistów, to może oni dzielają jej poglądy. A w takim razie ja też. Dlatego chciałbym z nimi porozmawiać. Z pana kolegami.

— Ten kolega, który zna Colquhoun, nazywa się André — powiedział Fry po dłuższej chwili.

— Mój nazywa się Aleister.

— André Breton.

— Aleister Crowley.

Rozdział trzeci: 1950

— Thibaut — odezwała się łączniczka. — Powiedzieli mi, gdzie cię szukać. Mówili, że ty tu rządysz.

Kobieta była wyczerpana i obdarta, ale nie ranna. Uśmiechała się, jakby zadowolona, że przedarła się przez tak niebezpieczny teren, by go znaleźć.

Nie widział, jak zbliżała się do drzwi piwnicy, w której pracował, póki nie zawołała go po imieniu, na tyle cicho, by nie zaalarmować jego towarzyszy. Sięgnął po broń, ale ona zacmokała i władczo potrząsnęła głową.

— Jestem z Main à plume — oznajmiła, a on jej uwierzył. Prawdopodobnie wykorzystwała jakieś techniki z kanonu, fragment wiersza zacytowany w nowym kontekście, by otworzyć sobie niewidoczne przejście. Odłożył broń.

Znów się odezwała, nie podnosząc głosu:

— Przyszłam z daleka, z rue des Martyrs, z osiemnastego okręgu w Montmartre. Strasznie dużo różnego gówna snuje się pomiędzy ósmym a dziewiątym. Cieszę się, że cię znalazłam.

— Ja tu wcale nie rządzę.

— Cóż. Wydaje mi się, że jednak tak. W każdym razie to z tobą kazali mi rozmawiać.

— Oni? Kto?

— Wiedzieli, gdzie cię szukać. Oni... my chcielibyśmy, żebyś do nas dołączył. Mamy plan.

Mówiła niejasno, zdania były urywane, niemal kruche z podniecenia. Na skraju opanowanego przez Niemców centrum Paryża zbierali się towarzysze broni.

Thibaut dotknął karty w kieszeni.

— Daj spokój. Czego chcą ode mnie? — spytał i patrzył na jej zszokowaną minę, gdy w końcu powiedział jej, że on tylko chroni dziewiąty okręg.

—

Thibaut zwija i rozwija bat. Owinął go wokół rękojeści, by zrobić pałkę. Uderza nią w otwartą dłoń.

— To nie powinno działać — powtarza. — Nie są w stanie kontrolować manif. Nie powinni nawet tam być. Nikt nie powinien wchodzić w las. — Spogląda na dół, na swoją piżamę, chociaż Sam o niej nie wspomniała. Przez chwilę szuka słów. — Bezludnie lasy mieszają się z legendarnymi istotami skrytymi w gąszczu²⁷.

— Tak pisał Desnos. To nie jest ostrzeżenie. Właśnie dlatego tam weszłam.

— I co? Było warto? Ujrzyć te legendarne istoty? — pyta z goryczą, chcąc ją zawstydzić, ale ona tylko się uśmiecha i unosi aparat.

W ruinach Lycée Buffon stare klasy są puste, nie licząc kurzu i ptasich kości. Thibaut wymierza karabin w kobietę, ale ona wygląda, jakby wcale się nie bała. Stawia torby na podłodze, jak ktoś czekający na pociąg.

— Posłuchaj, Amerykanko — mówi Thibaut. Stara się, żeby zabrzmiało to groźnie. — Jestem stąd. Jestem z Main à plume.

Kłamca, myśli. Nie powinno mnie tu w ogóle być.

— Walczyłem z diabłami, manifami, nazistami i kolaborantami. Zabiłem ich wszystkich.

Karta z Marsylii wciąż tkwi w kieszeni jak tajny żeton rebelii.

— Dlaczego cię ścigali? Nigdy wcześniej nie widziałem takich wilkstołów ani manif, które słuchałyby nazistów.

— Nie? — pyta ona. — A aeropittura?

Mruga zdziwiony.

— One się nie liczą. Prawdziwe faszystowskie manify, takie jak te futurystyczne samolotowe istoty²⁸, są wciąż bardzo rzadkie. Poza tym one nie słuchają nikogo, ani faszystów, ani żadnych innych, po prostu... się tu kręcą...

— A fauves²⁹? — naciska kobieta. — Stara, zapomniana gwiazda?

Przez krótki czas pasterze sztuki podlegający kuratorom z Vichy i „Jeune France” próbowali opanować kiczowate postacie wychodzące z płócien Deraina, zawile i melancholijne linie szarego światła nakreślone ręką zwolennika Vichy. Istoty były jednak rozczarowująco słabe i trudne do kontrolowania. Thibaut już od dawna nie słyszał nic o prostackich, kolorowych figurach, ale gwiazda ponoć wciąż nawiedzała nocami niektóre ulice, promieniując zadziwieniem.

— Wilk-stoły są surrealistyczne! — krzyczy Thibaut. — Nie możesz ich porównywać z jakimś głupim amerykańskim wierszem, albo faszystowskim bazgrołem, albo tym Derainowskim chłamem...

— Widziałam już gorsze istoty słuchające rozkazów — odparła Sam. — Wielkie stwory wydarte wprost ze sztuki. Nie oszukuj się. Rzesza też potrafi czasem coś zamanifestować.

Thibaut mruży oczy.

— Mylisz się.

Kobieta wzrusza ramionami.

— Jak wywołam filmy, to ci pokażę.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Nie jesteś zbyt dobry w przesłuchaniach. Przechodzisz do kolejnego pytania, zanim odpowiem na poprzednie. Dlaczego mnie ścigali. Pamiętasz?

— Dlaczego?

— Nie, może jednak przejdźmy do następnego. Wiem to wszystko, bo na tym polega moja praca. Przybyłam tu przed paroma tygodniami z Nowego

Jorku. Jestem kuratorką i fotografką.

— Przeszłaś przez barykady? — pyta z niedowierzaniem Thibaut. — Z zewnątrz?

— Nie wygłupiaj się. Są na to sposoby. Na pewno sam to wiesz. Możesz wycelować ten karabin gdzie indziej? Przez pewien czas udawało mi się nie zwracać na siebie uwagi, przynajmniej tak myślałam. Ale w ósmym okręgu zdałam sobie sprawę, że mnie śledzą. Za pomocą tych... psów. Poszłam na południe przez Grand Palais. Musieli pójść za mną.

Czy ona w ogóle zdawała sobie sprawę, co mówi? Bulwar Hausmanna, Pola Elizejskie, de Friedland, Montaigne i George V — wszystkie te ulice w okolicach Łuku Triumfalnego, na styku szesnastego i siedemnastego okręgu to enklawa nazistów.

Są też, oczywiście, inne, choćby odcięty garnizon w dziesiątym okręgu, ci, którzy ostrzelali Vélo, oddzieleni od towarzyszy albo podzieleni umocnionymi liniami. Ale kwatera główna SS znajduje się w alei Hoche. W hotelu Majestique mieści się siedziba głównego dowództwa. Rue Lauriston jest siedzibą Carlingue, służb pomocniczych gestapo. Okoliczne ulice patrolują niemieccy oficerowie i najbardziej lojalni z ich piekielnych sprzymierzeńców.

Cały ten obszar jest objęty wojskową i demoniczną kwarantanną. Nieliczni paryżanie przebywający w środku są tam tylko po to, by obsługiwać miejscową mikrogospodarkę. Jeśli zabłądzą tam jakieś manify, są odpychane lub mordowane bez litości.

Bardzo rzadko ta czy inna grupa buntowników infiltruje lub urządza rajd — zuchwała kradzież, uwolnienie towarzyszy, jakiś spektakularny akt przemocy. Ostatni taki przypadek miał miejsce całe lata temu, a ofiarą rebeliantów padł sam Paryż.

De Gaulle, jak łatwo przewidzieć, był zszokowany przemianą Łuku

Triumfalnego. Gdy rozwiął się dym S-plozji, olbrzymia konstrukcja leżała na boku. Wewnętrzna powierzchnia krzywizny była mokra od wypływającej uryny. Olbrzymi pisuar³⁰.

Thibaut i jego towarzysze byli zachwyceni. Członkowie Wolnej Francji widzieli w tym groteskę. Wysłali zamachowców z bombami, by przekradli się obok sal tortur, baraków i kwater, gdzie niemieccy funkcjonariusze snuli dziwne, faszystowskie plany. Gdy nadszedł świt, żołnierze Wolnej Francji uruchomili zapalnik, a wtedy przewrócony Łuk eksplodował w chmurze dymu, obryzgując ulice odłamkami i sikami.

Odłamki wciąż leżą tam, gdzie upadły. De Gaulle twierdził, że musiał ocalić honor Francji.

Thibaut wie, że był to tylko zwód, mający odwrócić uwagę od ich wcześniejszego, nieudanego ataku na Drancy, obóz leżący poza oblężonymi kwartałami. Tajemnicze, zamknięte miasteczko w kształcie podkowy, ku zawstydzeniu Wolnych Francuzów, odparło wtedy ich atak.

A teraz ta turystka twierdzi, że weszła i wyszła z tej kontrolowanej strefy.

— Robiłam zdjęcia — dodaje.

— Zdjęcia czego?

— Wszystkiego. Ostatnio na przykład robiłam *Propaganda-staffel*.

Budynek cenzury, gdzie faszystowskie władze nadzorowały to, co pozostało ze sztuki i propagandy w mieście, gdzie sztuka stała się łowcą. Czyli w sumie całkiem sporo. Sam otwiera torbę i wyjmuje rolkę ciasno zwiniętego filmu.

— Żeby dawać świadectwo.

Podaje mu film i kiwa głową, jakby dając pozwolenie. Thibaut rozwija lekko rolkę, chcąc, by przeniknęło przez nią światło latarni za oknem. Zamknięte ulice w negatywie. Czołgi przy piramidzie w parku Monceau, jadące w szyku, strzelając do wielkiej, sierpogłowej ryby. Manif Lama

pływający gwałtownie w powietrzu. Ludzka kolumna. Thibaut przygląda się uważnie. Kobieta ulepiona z dużych otoczków leży na trawie, sennie mocząc nogi w wodzie³¹.

Sam otwiera swój notes, ukazując ładne, porządne pismo.

— To książka — mówi. — Ostatnie dni Nowego Paryża.

Thibaut zastyga.

— Co? — pyta w końcu.

— Przybyłam tu, żeby to wszystko zapisać. — Kobieta spogląda na niego pytająco. — Chyba nie wierzysz, że to się długo utrzyma? Nie może. Nie powinno. Ale kiedy się wreszcie skończy, to wciąż będzie tragedia. Nie sądzisz, że ta historia zasługuje, by ją zapisać?

Thibaut odwija kolejne zdjęcia, nerwowo spoglądając na miejsca, których nigdy nie widział — choć to przecież jego miasto. Jest tego tak wiele. Cały świat. Czy on naprawdę może się skończyć?

Patrzy uważnie na wszystko, co pokazuje mu Sam — materiały do eulogii. To jego miejsca.

— Tutaj trudno je będzie wywołać — mówi Sam. — Skończyły mi się preparaty. Reszta musi poczekać, aż stąd wyjdę.

Negatywy żołnierzy i diabłów, posterunków z karabinami maszynowymi, rzędy pojazdów, strefa nazistów. Embrion książki. Pierwszy i ostatni dziennik podróży.

— Będzie nam to potrzebne — mówi ona. — Jak już się wszystko skończy.

Thibaut patrzy na maleńkie biura ze swastykami na ścianach, blaty zavalone papierami. Zbliżenia tych dokumentów. Jak ona tam weszła?

Tam znowu Palais Garnier, schody z kości dinozaura³². Thibaut mruży oczy. Le Chabanais³³. Ściany olbrzymiej budowli rozpuściły się, wpuszczając światło poprzez żywicę stężałą wokół zawieszonych

w powietrzu sylwetek mężczyzn i kobiet, ich przepychu, powiewających szat i złożonych ozdób. Roślinna pacynka na sznurkach, włóknista i kwiatowa jednocześnie³⁴, z ludzką twarzą, pełznąca po bulwarze Edgar Quinet. Thibaut marszczy brwi na widok ludzkiego ramienia, resztek białej rzeźby. Zniszczona, ludzka twarz wysoka na sześć lub siedem stóp, zastygła w surowym wyrazie, leży na stercie gruzu. Chmury pyłu.

Potem rozmazana smuga, ciemnoszary bok. Krzywizna rozmiarów domu. Thibaut mruga.

— To Celebes — mówi.

Sam zabiera mu rolkę.

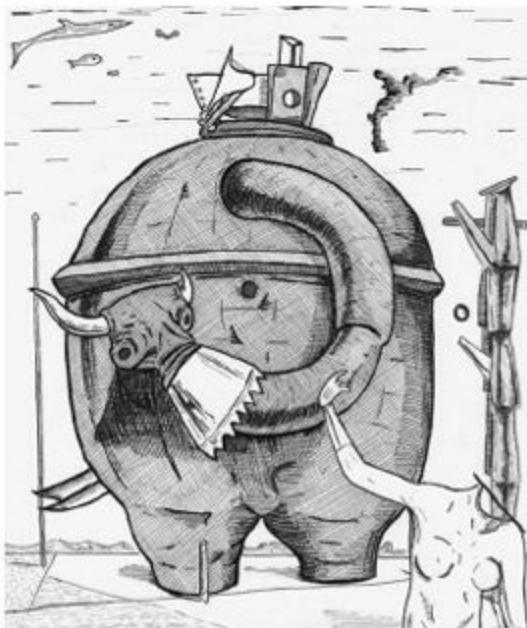
— Wystarczy.

— Ale to on! Widziałaś Celebesa!

Najsłynniejszy manif w Paryżu, słoń zwany Celebesem. Wielki i okrągły niczym kocioł rozmiarów magazynu, niosący na grzbiecie lektykę z geometrycznych kształtów, a jego rogata trąba kołysze się niczym mały pociąg.

— Nie wiem — odpowiada Sam. — Coś widziałam. Było bardzo szybkie. Zrobiłam zdjęcie i uciekłam. To tylko mgnienie.

— Jesteś tu, żeby robić zdjęcia? — mówi w końcu Thibaut, nieco szyderczo. Tak jakby przed chwilą ich nie oglądał. Patrzy tęsknie na film w ręce kobiety. — Zdjęcia do twojej książki?



Słońce nad Paryżem nie jest pustym okręgiem ani czarnym krążkiem³⁵, który promieniuje ciemnym blaskiem. Nie lśni jak wytarta palcami moneta, nie wydaje się rozmazane, jakby niebo było z pogniecionej papieru. Dzisiaj wygląda tak samo jak zawsze.

Thibaut i Sam maszerują przez piętnasty okręg. Sam mówi, że nigdy jeszcze nie widziała tych ulic, ale porusza się zdecydowanie, zaglądając do notatek. Chowają się, słysząc dźwięk strzałów, trzask demonicznego ognia albo stukot manifowych kopyt. Mijają łączące się tory kolejowe. Thibaut nie wie dlaczego, ale pozwala jej prowadzić.

Z dołu także słyszą dźwięki. W cieniu pod mostem wisi czarny dym, barwiąc brudną ziemię. Sam patrzy, Thibaut śledzi wzrokiem ruch. Cień porusza się pod wiatr. Nabiera kształtu.

Wyziwy, dymne istoty, których istnienie kształtuje się i rozwiewa w powietrzu³⁶.

Kłóca się bezdźwięcznie nad ciałem człowieka; szarpia jego ubrania, brudząc go sadzą, i podrywają z ziemi w podmuchach wiatru.

Potem zastygają, upuszczają swojego trupa. Powoli spoglądają na ich dwójkę, unosząc dymiące głowy. Thibaut widzi ich wahanie, gdy patrzą na niego bez oczu. Dostrzega moment, gdy je przełamują. Coś się zmieniło, przestało je powstrzymywać.

— Biegnij! — mówi.

—

Sam ustawia aparat w biegu. Thibaut krzyczy, próbuje ją ponaglać. Sięga ręką, ale kobieta odpycha go z zaskakującą siłą. Coś zmienia się w powietrzu, gdy wpadają do czternastego okręgu. Sam biegnie teraz z tyłu, a gdy Thibaut się obraca, widzi ją, jak klęczy w porywach wiatru. Trzyma aparat jedną ręką, drugą zaś opiera się o ziemię.

Wyziewy unoszą się w górę. Są już na moście. Thibaut czuje, że serce przyspiesza mu na sam widok. Poruszają się jak jedna — oddzielając się i łącząc na przemian — skłębiona masa nieczystości. Sięgają, nadchodzą.

Zanim zdąży zawrócić, by wyjść im naprzeciw, spróbować je wystraszyć, zrywa się wiatr. Przedziera się przez kłęb wyziewów, a one odrywają się od siebie i zaczynają rozwiewać. Nie mogą się uformować. Próbują utrzymać się w miejscu, ale wiatr dmie nadal, aż w końcu ostatnie pasma istot rozwiewają się w nicość, a ich dymne twarze krzyczą bezgłośnie.

Thibaut osłania oczy, póki wiatr się nie uspokoi. Następnie odwraca się do Sam. Jej twarz jest zupełnie nieruchoma.

— Masz je? — pyta. Wygląda na zdezorientowaną, więc pokazuje na jej aparat. Wciąż trzyma go uniesiony.

— Och, wydaje mi się, że tak.

Na rue Vercingétorix czuć zapach asfaltu. Sam prowadzi ich do czarnych drzwi.

—

Thibaut korzysta z dodatkowej siły, jaką daje mu pizama, by rozebrać

samochód na kawałki. Jest tak zardzewiały, że skorodowany metal ledwie jęczy. Układa części w stos. Sam wyjmując z torby trójnog, wycelowuje aparat w drzwi numeru 54 przy rue Château. Oka przysłaniają brudne firanki.

— No dobra — odzywa się Thibaut. — Co tam jest?

— Mam już sporo różnych manif. Końska głowa³⁷. Ta kamienna kobieta. Byłam też w Trocadero.

Zburzona hala koncertowa powróciła po S-plozji. Była pełna lwów. — Sam z wyraźnym podnieceniem opisuje dalej. — Ale muszę mieć ich jak najwięcej. Muszę złapać wszystkie. A jeśli mam rację — dodaje — dziś wieczorem narodzi się tu coś szczególnego.

— Skąd możesz wiedzieć?

Wskazuje na swoje książki.

— Umiem czytać między wierszami.

Mówi, że kiedy była dzieckiem, marzyła o tym, by zostać wiedźmą. Thibaut słucha i czuje się jak złotodziób. Kobieta pewnie zastanawia się, czemu w ogóle z nią poszedł.

Potem zaczyna opowiadać o tym, jak zafascynowała ją sztuka, która uczyniła Paryż tym, czym jest obecnie.

— Na początku były wizerunki potworów. Diabły i upiory. Wiedźmy, alchemia, magia. No i jestem tutaj. Zresztą nie byłam pierwsza. Przypomnij sobie Seligmanna. Colquhoun. Ernsta i de Givry³⁸. Flamela i Bretona. Czytałeś *Drugi manifest surrealizmu*? „Domagam się głębokiej i prawdziwej okultacji surrealizmu”.

— Nie o to mu chodziło.

— Mówił, że chce znaleźć kamień filozoficzny!

— I że chce go znów utracić.

Patrzają na siebie. Sam nawet się uśmiecha,

— Od diabłów do Boscha i Dalego — mówi. — A od niego do... tego

wszystkiego. Do manifestów. Dlatego tu jestem.

Waha się, po czym szybko mówi dalej:

— Gdy po wybuchu zaczęły napływać informacje — informacje o wybuchu — musiałam tu przybyć. Nie masz pojęcia, jakie to było uczucie patrzeć na te materiały.

— Nie wiem. Byłem zajęty pojawianiem się na nich.

— Przecież nie mówię, że tobie było łatwiej. — Odwraca wzrok, patrząc na truchło wrony. — Byłam na galerii — mówi, jakby próbowała sobie przypomnieć sen. — Wszyscy krzyczeli, patrząc na te krzywe, chwiejne zdjęcia z Paryża, wszystkie te manify. „Co to? Co to?!”. A ja wiedziałam dokładnie, co to jest. Znałam te wiersze i te obrazy i wiedziałam, na co patrzę.

Od czasu wybuchu kuratorzy stali się wergiliuszami. Ich monografie i katalogi zmieniły się w almanachy.

— S-plozja — mówi powoli Sam — wykonała instrukcje.

Znajduje fragment w „Le Surréalisme au service de la révolution” i otwiera na odpowiedniej stronie. Thibaut czyta:

— *Kilka propozycji irracjonalnych upiększeń miasta*³⁹.

— Zawarli tu wskazówki.

Thibaut też to czytał dawno temu. Teraz czyta znowu: prowokacje, niegdyś ulotne, teraz prawdziwe, opisy Paryża z czasów przed eksplozją.

— Dobrze, że usłyszałeś, jak strzelam — mówi niespodziewanie Sam, gdy opuszcza książkę. — Dziękuję ci jeszcze raz.

— Znalazłaś widma w lesie? — pyta Thibaut. Jej spokojna energia go przerasta. — Chemiczno-niebieskie, poskręcane maszyny z drzew jujuby z gnijącego mięsa⁴⁰?

— Tak. Zrobiłam im zdjęcia. Będą w książce. Chcę zobaczyć ruiny. Żołnierzy. Ruch oporu.

Robi Thibautowi zdjęcie w pizamie.

— Nie jest za ciemno?

— Ten aparat sobie poradzi.

Thibaut oddycha głęboko i myśli. Ciężka książka w twardej oprawie. Zdjęcia, eulogie, dnie i noce Paryża po wybuchu. Kto napisze tekst?

— A zatem naziści zobaczyli, że robisz zdjęcia i zaczęli cię ścigać za pomocą tych wilk-stołów. Pewnie myślą, że jesteś szpiegiem. Co fotografowałaś?

Sam ogląda swój aparat.

— Zależy mi głównie na manifach. — Wydaje mu się, że obok entuzjazmu dostrzega w tym jakąś odrazę. — Nie odejdę stąd, dopóki nie złapię wszystkich.

Nasłuchują ryku drapieżników i zawodzenia ofiar, zdziwionych, że żyją. Zza rozmontowanego samochodu wytacza się pierzasta kula wielkości pięści⁴¹, wzbijając kurz. Ze środka patrzy na nich pojedyncze błękitne oko.

Sam odwzajemnia spojrzenie.

— Pożywia się — mówi Thibaut. — Odżywiają się przez patrzenie. — Cieszy się, że może powiedzieć jej coś, czego nie wie. — Można je złapać i utuczyć, pokazując im jaskrawe kolory. Potem je pieczemy.

Mięso kulek jest tłuste od obejrzanych widoków. Zza sterty złomu wytacza się całe stado. Sam robi im zdjęcia.

Thibaut postanawia, że zostanie z nią jeszcze przez jakiś czas.

—

Nadlatują komary.

— Słyszałam, że w okolicy działała cała komórka waszych ludzi — mówi Sam. — Duża, może nawet główna. Że mieli jakiś plan. Słyszałam, że była zasadzka.

Thibaut nie odpowiada i nie podnosi wzroku. Nadal dzieli jedzenie. Ma

chleb i wędzone mięso. Sam ma trochę czekolady. Mówi, że wymieniła się z amerykańskim szpiegiem wysłanym z jakąś tajną misją.

— W tym miejscu aż się od nich roi — mówi, widząc spojrzenie Thibauta.
— Są zdani sami na siebie.

— Ta misja chyba nie była zbyt tajna.

— Z początku tak — śmieje się Sam. — Ale na koniec zawsze mówią.

Gdy Niemcy odcięli miasto, rząd amerykański, podobnie jak wszystkie inne, wyraził oburzenie. A także — podobnie jak inne — przyjął to z ulgą, bo oznaczało to, że manify i/lub diabły także pozostaną odcięte.

— Ale tego nie da się zatrzymać — mówi Sam. — Co najwyżej spowolnić. Różne rzeczy się teraz dzieją.

Opowiada mu o kampaniach w Afryce Północnej, o ciągnącym się dramacie na Pacyfiku, o Europie po deszczu. Ale Thibaut najbardziej chce słuchać o Paryżu. Bo może sam był za blisko, by dostrzec to, co ważne. Misja jest bezcelowa.

Światło najbliższej latarni zapala się, a potem gaśnie. Jakieś zwierzę ląduje na parapecie, skrzydlata małpka z sowimi oczami⁴². Patrzy na niech.

Z oddali dobiega głośny trzask, a zwierzę natychmiast odlatuje. Budynek jęczy jak drewniany statek.

Coś skrzypi w środku, coś się zbliża. Coś materializuje się tuż pod drzwiami.

— Złóż papier — szepcze Sam. — Złóż go jeszcze raz i co z tego wyjdzie?

—

Szur, szur, szur. Po drugiej stronie drewna słychać kroki. Drapanie, a potem powolny klik zamka. Drzwi stoją otworem. W środku jest ciemniej niż na zewnątrz.

Thibaut nie waży się oddychać. Ostrożnym, rwanym krokiem coś wychodzi z ciemności.

Wielka, rozkołysana istota. Trzymetrowy kolos. Może większy. Lśni obcą grawitacją.

Stoi jak człowiek niosący wielki ciężar, kołysząc się na dwóch krótkich nogach. W pasie zrobiony jest z linii, ścinków przemysłowych. Przechylony stół warsztatowy, podobny do kowadła, kawałki maszyn sięgające wyżej niż głowa Thibauta. Mężczyzna patrzy na stos sfetyszyzowanych przedmiotów. Stół z imadłem i części silnika wsparte na cierpliwych ludzkich nogach. Na szczycie brodata głowa starego człowieka, nieproporcjonalnie wielka, spogląda na niego z niewyraźną ciekawością. W brodzie ma pociąg parowy wielkości pałki, wypuszczający parę w sploty włosów. Na głowie mężczyzny spoczywa larwa; długa, jaskrawa gąsienica, trzymająca się wielkiego liścia. Wije się, a kapelusz z liścia trzepocze. Krzakowy szyk⁴³.

Losowa całkowitość z komponentów dobranych przypadkiem. Ale stoi. Thibaut gapi się na to monstrum, a ono odwzajemnia spojrzenie, tak jak pierwszy manif, jakiego Thibaut w życiu spotkał, kuzyn brodacza, spoglądał przez kratę swojego hełmu.

Trzask aparatu.

— Wyrafinowany — szepcze kobieta i Thibaut po raz pierwszy słyszy w jej głosie strach. — Wyrafinowany trup.

Gwałtowne bębnienie wyrywa ich z transu. Słyszą krzyki i strzały. Z ciemności wypadają niemieccy żołnierze.

Thibaut chowa się za wrak samochodu i strzela.

Za plecami atakujących nadjeżdża jeep, podskakując na gruzowisku. Jak długo tu czekali?

Thibaut strzela, próbuje się skupić i ocenić to, co widzi. Jest ich za dużo. Serce wali mu jak młotem. Za dużo. Wstrzymuje oddech i sięga do kieszeni, szukając karty. *Tym razem, myśli, zdązę na czas.*

Ale wyrafinowany trup wychodzi na środek drogi. Żołnierze gapią się na niego, inni strzelają. Unosi wszystkie kończyny i wszystkie niemieckie pociski, nawet te źle wymierzone, zakręcają w powietrzu i trafiają w niego, uderzają, aż niesie się echo. Żołnierze mają sieci i dziwne maszyny. Czuje ich obecność. Z cienia wypada lasso, zaciska się wokół manifa. W jeepie siedzi dwóch mężczyzn, krępy kierowca w mundurze i ksiądz w czarnej szacie. Thibaut zerka na Sam; wygląda, jakby się modliła. Thibaut bierze zamach swoją pałą, skręconą z bicia na wilk-stoły, i uderza w ziemię.

Wyrafinowany trup skacze w powietrze. Przez chwilę wszyscy na ulicy czują się, jakby stali na mezaninie schodów nakrapianych w węzowe cętki⁴⁴.

Świat się obraca...

—

...a potem Thibaut, Sam i wyrafinowany trup stoją daleko od miejsca, gdzie byli, zaledwie kilka metrów od żołnierzy. Zapada niezręczna cisza.

Sznur wciąż otacza manifa, ciągnąc go w stronę odległej teraz maszyny na pace jeepa. Blok zaczyna się obracać i sznur się napina, wlokąc za sobą wyrafinowanego trupa.

Manif szarpie go w swoją stronę jak rozbawiony żrebak. Zwraca starcze spojrzenie na żołnierzy Rzeszy. Nadyma policzki, macha semaforowymi kończynami, sapie w brodę i wdziera się na ulicę całym impetem swego mechanicznego ciała.

Rozdarcie pełne bieli. Krańce rzeczywistości pękają. Naziści cofają się w niewłaściwą stronę i kawałki wraku sypią się w tę papierową pustkę.

Wyrafinowany trup kiwa głową, a niemieccy żołnierze zataczają się i spadają, jakby ich popchnął.

Sam biegnie w przeciwną stronę. Thibaut się waha, napina wewnętrzne ścięgna i podchodzi do trupa. Postukuje go czubkiem rzemiennej pałki.

Ciało olbrzyma rezonuje od uderzenia jak pusty piec. Kolos odwraca się

i spogląda na niego ludzkimi oczami. Cofa się. Szybkimi, nerwowymi krokami manif idzie jego śladem.

— Chodź! — wrzeszczy Sam. Naziści strzelają z dołu, z gojącej się szczeliny, a Thibaut rozpościera pizamę jak tarczę, zbrojny żagiel, i — z wyrafinowanym trupem za plecami — rzuca się do ucieczki.

—

— Czująś zapach tych spalin? — pyta.

— Krwawy dym — mówi Sam. — Ten wóz nie jeździ na benzynę. Musieli go przebudować z pomocą demonów.

— Próbowali schwytać to coś — Thibaut wskazuje na olbrzyma. — Jak te wilk-stoły. Próbuje kontrolować manify. Prawie im się udało.

— Nie wydaje mi się — Sam wodzi wzrokiem od niego do olbrzyma. — Z nim nie mieli szans.

Olbrzym wciąż drepcze za nimi.

Thibaut rozwinął pałkę i owinał rzemieniem jedną z metalowych wypustek — trudno powiedzieć, żeby była to kończyzna. Nie traktuje tego jak smyczy — nie odważyłby się za nią pociągnąć — ale trzyma koniec w rękę, a manifowi to najwyraźniej nie przeszkadza. Żywe dzieło sztuki maszeruje za Thibautem, jakby trzymał je za rękę.

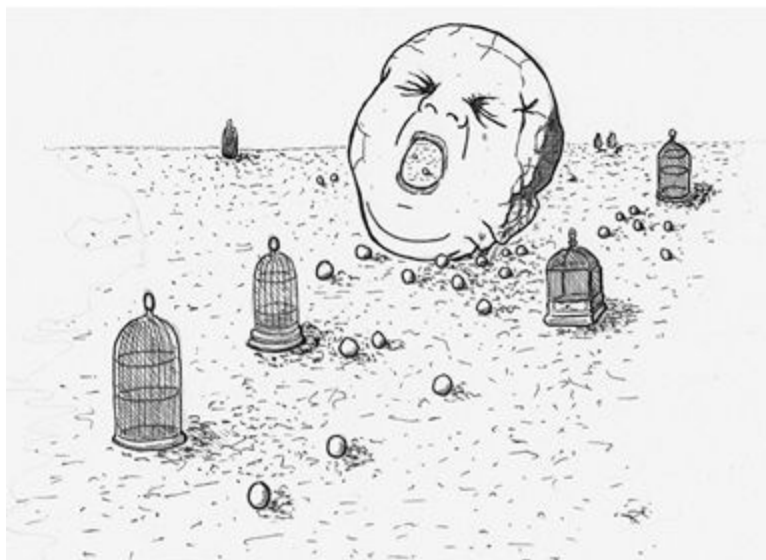
—

Rano część miasta jest zrównana z ziemią. Widać płaską, spopieloną równinę. Thibaut i Sam siedzą w gruzowisku pełnym ptasich klatek. Niektóre są puste, w innych siedzą milczące, czujne ptaki. Rozdarte przepierzenie, stos głów zabawek, urwanych i potrzaskanych jak jajka, nieruchoma dziewczynka w białej sukience, z ziejącą dziurą w miejscu, gdzie normalne dziecko miałoby rysy twarzy. Trzymają się od niej z daleka i nawet nie patrzą. W oddali z ziemi wystaje dziecinna buzia wielkości pokoju⁴⁵, niczym wieloryb wyrzucony na plażę, gapiąc się w niebo. Cicho popłakuje.

Sam robi zdjęcie.

Dalej, za skrzynkami pełnymi zasuszonych motyli, widzą draperię zwieszającą się z drzew. Słyszą wystrzał widmowej broni. Całe to miejsce jest strzelnicą nawiedzaną przez duchy pocisków.

— To krajobraz Toyen — mówi Sam.



— Wiem, co to jest — obrusza się Thibaut. — Jestem z Main à plume.

Wyrafinowany trup grzebie w pyłe. Sam spogląda na niego z tym samym wyrazem twarzy, co poprzedniej nocy, gdy w końcu zatrzymała się pod balkonem rozpuszczającym się w wilgotnym powietrzu i spojrzała na manifa.

Nie mogła opanować drżenia. Cofnęła się, a wyrafinowany trup też odskoczył i tupnął nogą. Thibaut próbował go uspokoić; napiął ścięgna i skoncentrował się na efekcie. Ku jego zaskoczeniu istota ucichła.

— Nie lubią mnie — stwierdziła Sam,

— Manify? One nie mają zdania na twój temat.

Ale gdy w końcu przekonał ją, żeby wzięła ramię, wyrafinowany trup obnażył zęby, a ona natychmiast puściła.

— Chyba wyczuwa, że to ty jesteś jego sprzymierzeńcem.

Thibaut znów wysila intuicję. Manif wypuszcza obłok pary z pociągu w brodzie. Podąża za Thibautem jak ktoś, kto coś wie.

Na niebie burza ptaków⁴⁶ formuje się w kształt jednego wielkiego ptaka, a potem tańczącej postaci, aż w końcu rozpierzcha się na boki. Sam to fotografuje.

— Chciałem odejść — mówi niespodziewanie Thibaut. — Wtedy, kiedy cię spotkałem.

Sam czeka.

— Jakiś czas temu widziałem kobietę, która jechała na manifie.

— Vélo — dodaje Sam. — Słyszałam coś o tym...

— Słyszałaś? — Thibaut czuje, że karta pali go w kieszeni. — Ja byłem przy niej, gdy zginęła. Przeszukałem jej kieszenie i... myślę, że była szpiegiem. Jak ten twój czekoladowy Amerykanin.

— Oczywiście.

— Brytyjka. Z SOE. — Thibaut unosi ramię. — Ona też kontrolowała manifę skórzanym paskiem. A przynajmniej próbowała. Nie zachowaliśmy tego rzemienia, a może trzeba było. Miała mapę. Były na niej gwiazdki i notatki.

— Co konkretnie?

Konstelacja Paryża. Wyciągnęli brudny świstek z jej wewnętrznej kieszeni.

— Większość była wykreślona. Nazwy zaginionych obiektów. Słynne manify. — Thibaut patrzy i widzi, że Sam go rozumie. — Na początku myślałem, że to zwykła sroka. Na pewno szukała artefaktów. Ale może nie robiła tego dla siebie.

— Coś znalazła?

Thibaut ma wrażenie, że karta się porusza.

— Cóż. Nie miała niczego przy sobie. Może wykreślała je, kiedy zorientowała się, że zniknęły.

— Albo przekazała je komuś innemu.

Thibaut oblizuje usta.

— No, w każdym razie... W końcu skorzystaliśmy z tej mapy. Moi towarzysze i ja. Poszliśmy na poszukiwania do Lasku Bulońskiego.

— Czemu?

— Bo na mapie była tam zaznaczona gwiazdka, której nie wykreślono.

— Ale czemu tak późno? Dlaczego nie poszliście tam od razu?

— Ach. — Thibaut wpatruje się w horyzont. — Przekonałem ich, żeby zaczekali. — Jego towarzysze nie wiedzieli wprawdzie, na co czekają, ale się zgodzili. — Słyszałem coś o tym planie, o którym wspomniałaś. Bez szczegółów. Tylko tyle, że był jakiś atak. Pomyślałem, że warto poczekać na wieści w razie, gdyby atak się udał.

Sam nie odpowiada, więc Thibaut musi mówić dalej.

— Nie udał się — szepcze. — I to bardzo. Chabrun, Léo, Malet, Tita⁴⁷ i wielu innych. Wszyscy zginęli.

— Słyszałam. Wiesz, co się z nimi stało?

— Myślę, że nieprzyjaciel coś zwąchał. Uderzyli pierwsi. I mieli coś w rodzaju... broni. — Obnaża zęby. — Nie wiem, co to było, ale po tej stronie zginęli nasi najlepsi ludzie. Naprawdę najlepsi. Naziści musieli mieć coś w pogotowiu i wypuścili to na ulice. — Mógł tam być, ramię w ramię ze zmarłymi. Teraz też by nie żył.

Chyba że jego obecność coś by zmieniła.

Thibaut raz walczył z Carlingue, wraz z Laurence Iché⁴⁸. Dzień był pełen jednolitego światła, szli razem na patrol, weteranka pokazywała żółtodziobowi okolicę. Rutynowy obchód spokojnej dzielnicy. Nie spodziewając się niczego, weszli w resztki wyburzonego zaułka prosto w zasadzkę.

Z krzykiem rzucił się do ucieczki, próbując strzelać w biegu, przypominając sobie, czego nauczył się na szkoleniu. Gdy się odwrócił i prawie podniósł, Iché wciąż stała wyprostowana, w brudnej, kwiecistej

sukience, zaciągając się papierosem, w ogóle nie zwracając uwagi na pociski. Uniosła rękę i ryknęła, a wtedy w powietrzu pojawił się ogromny orzeł i rzucił się wprost na ludzi zebranych u wejścia do zaułka. Thibaut kulił się na ziemi, patrzył, jak biją olbrzymie skrzydła. Tamci krzyczeli i próbowali uciekać. Kobieta powiedziała coś jeszcze i stworzyła gąsienicę, dłuższą i tłustszą niż koń, z głową drapieżnego ptaka, a stwór popełznął za orłem przez potrzaskane cegły. Thibaut usłyszał wrzaski i mokre plaśnięcia. Iché stworzyła wannę pełną migoczących odłamków lustra i wysłała ją, biegnącą na szponiastych łapach, wprost na zaskoczonego dowódcę gestapo. Mebel wpadł na niego, tnąc wszystkimi lśniąco ostrzami. Mężczyzna krzyknął, tryskając strumieniem krwi i obrazów.

— Widziałem kiedyś, jak Iché manifestuje swoje własne wiersze. Niewielu to potrafi.

— Może twoi towarzysze też mieli jakąś tajną broń. Słyszałam różne pogłoski.

— Ja tam nie wiem. Nie wiem, czy znaleźli to, czego szukali. Czy w ogóle coś tam było.

— Cóż, dotarły do mnie różne plotki. Że wywiązała się walka pomiędzy czymś od nich — pewnie manifami — a czymś, co przyszło od nazistów.

— Plotki to ja też słyszałem — przerywa Thibaut, a Sam mruga, zaskoczona. — Nawet jeśli mieli jakąś tajną broń, to chyba im, kurwa, nie zadziałała.

— To dlatego chciałeś odejść? — pyta kobieta po chwili.

Thibaut nie odpowiada.

— Co się stało w tym lesie? Znalazłeś to, czego szukałeś?

— Powinienem był wtedy odejść. Jak tylko usłyszałem o tym całym fiasku. O tym, że zginęli. Ale zostałem, wszyscy zostaliśmy. Postanowiliśmy podążyć za tą mapą.

Jego komórka. Zgromadzeni wokół ogniska. Pijąc za pamięć poległych. Ludzi, których tożsamości nie byli nawet pewni. Ale wiedzieli — z tonu zasłyszanych pogłosek, z transmisji zniekształconych szyfrem, przenoszonych przez łączników przemykających skrajem dzielnicy, a niektórzy, jak Thibaut, ze zmiany w powietrzu — że ten nieudany atak coś zmienił. Że stracili jakąś szansę.

Nikt z nich nie spał tamtej nocy, gdy dotarły do nich wieści — pogłoski, których prawdziwości nie mogli być pewni, a jednak byli. Zebrali się i rozmawiali cicho, próbując ustalić, który z wybuchów słyszanych w mieście przez ostatni tydzień zwiastował śmierć ich towarzyszy i jaka plugawa moc to sprawiła.

Ci, którzy ich znali, wspominali wspólne spędzone chwile. Thibaut nie chciał nic powiedzieć, nawet gdy go wypytywali. Trącał palcem marsylską kartę i myślał o łączniczce, która przybyła tu specjalnie do niego, a on ją odesłał.

Gdy odmówił, tamta kobieta, która przetrwała tyle niebezpieczeństw, by go znaleźć, nie powiedziała już nic więcej. Ktoś inny pewnie by błagał albo próbował naciskać. Zapadła cisza, podczas której zmusił się, by spojrzeć jej w oczy, a gdy upewniła się, że nie zmieni zdania, obróciła się i bez słowa wspięła się po schodach.

Przez chwilę się wahał, a potem pobiegł za nią. Na parterze znalazł Élise, wbijającą wzrok w uchylone drzwi wychodzące na podwórko. Obserwował kobietę, która weszła do środka niedostrzeżona przez nikogo poza Thibautem.

Później przybyły nazwiska.

Héroid. Raufast. Rius. Iché. Upiorna lista obecności.

— Ale nie — mówi wreszcie do Sam. — Musiałem odejść później. Po tym lesie. — Spogląda w dół na swoją brudną piżamę. — Tak, znaleźliśmy tam

to, czego szukaliśmy. To chyba jasne? Jak już zaczęliśmy podejrzewać, że Brytyjczykom na tym zależy, nam zaczęło zależeć jeszcze bardziej.

Ostatnia szansa. Któregoś ranka obudzili się i odkryli, że Cédrik uciekł.

— Do diabła z nim — powiedział Pierre, ale wszyscy wiedzieli, że bez księdza staną się łatwiejszym celem dla demonów. Thibaut rozwinął mapę znalezioną przy martwej agentce i zaproponował plan.

—

Kopuła kościoła Sacré-Cœur⁴⁹ w Nowym Paryżu pokryta była warstwą czarnej farby, a z jego pięknych, łukowato sklepionych okien, w których kiedyś były witraże, i z wejść bez drzwi teraz biegły ruchome tory tramwajowe. Thibaut i jego grupa przemknęli w cieniu eks-kościła, tam gdzie tory drżały jak jaszczurze ogony, bijąc o chodnik i dachy z metalicznym zgrzytem, pojawiając się nagle, jakby były tam od dawna, a potem nagle znikwały, drgały i znów znikwały.

Co kilka minut lub godzin z przepastnego wnętrza kościoła wyjeżdżał tramwaj bez motorniczego i z wyciem pędził po jednym z tych ulotnych torów, gdzieś daleko, w głąb miasta.

Członkowie Main à plume znaleźli sobie kryjówkę, wspięli się po drabinie żyłastych, umięśnionych rąk⁵⁰, które drżały pod ich ciężarem, i rozbili swój koczowniczy obóz. Obserwowali manify, które z kolei śledziły ich ruchy, wypatrywali nazistów i demonów. Wszystko wyglądało teraz bardziej ponuro, odkąd zaczęli podejrzewać, co właściwie mogło się nie udać. Kamienie brukowe przesuwają im się przed oczami, zmieniając się w tory. Czekali, niewiele rozmawiając. Najczęściej po prostu patrzyli na przesuwającą się ziemię i dziwne tramwaje.

Aż w końcu po całym dniu i nocy Thibaut zaspanymi oczami dostrzegł wagonik wypełzający z wnętrza kościoła i toczący się w ich stronę z tabliczką „Lasek Buloński” na przedniej szybie.

— Teraz! — wrzasnął. — Teraz!

Członkowie Main à plume wypadli z kryjówki, wymachując hakami na linach i chwytając przejeżdżający tramwaj.

— Jean spadł — dodaje Thibaut, przypominając sobie jęk i odgłos upadku. — Był zbyt wolny, ale reszta wsiadła.

Podkscytowani, gapili się w rozklekotane szyby, podczas gdy tramwaj mknął ponad Cimetière du Nord, rozbryzgując na wszystkie strony ziemię i odłamki kamieni nagrobnych. Tory pojawiały się tuż przed nim i znikwały pod ziemią.

Przez okrąg siedemnasty, rue Ganneron, przez zamknięte zaułki rue Dautancourt, Legendre, Lacroix. Światła pojazdu oświetliły zniszczone ściany wewnętrzne. Znów na zewnątrz, po torach, ponad gnijącymi podkładami.

— Jechaliśmy zbyt szybko, by ktokolwiek zdołał nas złapać — wspomina Thibaut. — Nawet gdy przejeżdżaliśmy obok Niemców.

Ku ich przerażeniu tramwaj gwałtownie skręcił po schodach na stację metra Villiers i dalej, do tunelu. Poprzez fluorescencyjne odbłaski i widma. Przez wycie w ciemnościach. Partyzanci byli zbyt przestraszeni, by się odezwać, póki maszyna znów nie wyjechała na zewnątrz.

Przy Porte Maillot tramwaj wjechał pomiędzy drzewa. Gałęzie i liście smagały szyby. Zwolnili. Zewsząd otaczała ich zieleń. Pojazd w końcu zatrzymał się na polanie, delikatnie dotykając zderzaków, które wyrosły mu naprzeciw prosto z ziemi.

Miejscy bojownicy przez dwa dni prowadzili tam zwiad, na zmianę opuszczając tramwaj i zagłębiając się w gąszcz. Zataczali coraz większe kręgi, wytyczali szlaki, porównując je z mapą zmarłej kobiety.

Złapali dwa wilk-stoły — dzikie, płochliwe, z lisimi głowami — i użyli ich drewnianych ciał, by upiec ich mięsiste szyje. Spożywanie ciała manify

podobno zmieniało człowieka.

— Co zabiło twoich towarzyszy? — pyta Sam.

Jakiego potwora mogła sobie wyobrazić? Wielką kobietę pozbawioną rysów, poprzecinaną szufladami? Stos lalek Bellmera, pełznących jak kraby⁵¹ po nogach manekina z łożyskami zamiast stawów? Może przyszedł jej na myśl szwadron diabłów i nazistowskich kultystów, oprawców prowadzących bestie wysokie na wiele metrów, o brodach jak stalaktyty z siarki?

Nie.

W końcu znaleźli swój skarb — piżamę oznaczoną gwiazdką.

Powiewała na wieszaku zaczepionym na drzewie, tańczyła na wietrze, obserwowana przez sowy. Na jej widok Thibaut wraz z towarzyszami przystanął, patrząc na przedmiot skąpany w świetle księżyca, czując jego aurę. Potem podkradli się w stronę złotych ściegów.

— Myślałem, że będzie w Hauts-de-Seine — mruczy Thibaut. — „Moja piżama, mój balsam, mój młotek, ścieg szyty w lazurze”⁵² — cytuje wiersz Simone Yoyotte, *Prędkość piżamy* ze zbiorku *Obrona konieczna*. Ten strój utkano z obrony koniecznej. — To nie ja po nią sięgnąłem.

Pierre szedł pierwszy. To on sięgnął po piżamę, gdy zza drzew padł strzał.

— Rozbiegliśmy się — mówi Thibaut. — Znaleziono nas. Nie wiem, jak długo nas śledzono. Na pewno zostawiliśmy ślady. Szedłem tuż za Pierre’em. Chwyciłem piżamę. — Dotyka skraju materiału. — Włożyłem ją. Dlatego nie mogli mnie skrzywdzić.

Co wypadło na nich spomiędzy drzew? Kto wysledził ich niekompetentne zwiady, wykorzystał ich, by znaleźć ten skarb?

Nie byli to nawet mundurowi Niemcy. Żadne zwierzęta z obrazów, nawet nie wyjące transplanty z piekieł. Banalni mordercy. Francuzi żyjący z kradzieży, zabijający z zaskoczenia. Wyskoczyli znienacka, wydając odgłosy, które prawdopodobnie uznawali za przerażające.

Pierwszy, wzmocniony wierszem cios Thibauta zmiążdżył bandycie twarz. Zabębniły o niego pociski. Mimo całej swej nowo nabytej siły, z rozpaczą dostrzegł, że jego towarzysze giną, ponieważ nadal poruszał się w tym stroju zbyt niezdarnie.

Dał potężnego susa, przeliczył się i upadł daleko poza polem walki. Upiorna komedia. Jakiś mężczyzna pchnął Bernarda nożem, drugi strzelił Brigitte w plecy, a Thibaut, zataczając się, próbował nadbiec im z pomocą.

Dwóch napastników padło pod kulami, ale bandyci także przyswoili sobie parę technik surrealistów. Thibaut patrzył, jak Élise z krzykiem rozwiewa się w powietrzu. Pobiegł, by ją zatrzymać, ale była tylko chmurą i szybko zniknęła. Patrice został pożarty przez stado drewnianych ptaków, które rozganiał, lecz nie mógł ich zniszczyć. Thibaut miotał się nieporadnie ze swoją nową siłą, podczas gdy jego towarzysze ginęli.

W końcu, gdy pozostali napastnicy uciekli, osunął się na kolana, wciąż odziany w ten skarb, po który tu przyszli. Klęczał pośród umarłych.

— To nie były demony — mówi do Sam. — Ani manify, ani naziści. Po prostu paryżanie.

Odchodzę, pomyślał, gdy w końcu wstał z klęczek, samotny pośród zamordowanych przyjaciół. To go pokonało, nie odległa katastrofa, jaka spotkała przywódców. To małe, lokalne morderstwo. *Skończyłem z tym*, rzekł do siebie. *Misja jest bezcelowa.*

— Pomogę ci wyjść — mówi Sam.

Thibaut pyta sam siebie, dlaczego po prostu nie użyje resztek ładunku tej buntowniczej piżamy, by przebić się przez oblężenie i uciec, zostawiając za sobą ruiny Paryża i ruiny Francji. Czy to naprawdę ostatnie chwile jego miasta?

— To będzie piękna książka — mówi w końcu.

— Możesz mi pomóc — mówi kobieta. — Pokażę ci, jak stąd wyjść. Ale najpierw muszę zrobić więcej zdjęć.

Powoli dociera do niego, że chce zobaczyć tę książkę. Chce pomóc ją napisać. Thibaut nauczył się słuchać intuicji.

Chciałby też wiedzieć, na czym polega prawdziwa misja Sam.

Ściska ramię wyrafinowanego trupa. Nie wie, jak to się dzieje, że stwór za nim idzie, ale serce bije mu szybciej. *Gdybyś tylko był wtedy z nami, myśli. Wtedy, w tamtym lesie.*

—

— Ta kobieta z SOE — mówi Sam. — Wspomniałeś, że umiała zmusić Vélo do posłuszeństwa.

— W każdym razie próbowała.

— Plotki na zewnątrz mówią, że odbywa się tu całe mnóstwo eksperymentów. Nie tylko artystycznych, ale i okultystycznych. — Spogląda w niebo. — Alianci pracują nad manifami, naziści też. Alianci próbują rozgryźć demony. Słyszałam, że niektóre manify Baudelaire' a zostały przez Niemców złożone w ofierze.

Thibaut nie odpowiada. Podejrzewa, że Sam ma na myśli Baudelaire'a z marsylskiej talii, geniusza pożądania. Siostrzaną kartę tej, którą nosi przy sobie.

— Gdy tu wchodziłam — ciągnie Sam — słyszałam, że nadchodzą *Teufel Unterhandlaren*.

Wojskowi specjaliści, tresujący obolałych przybyszów z Piekła, ugłaskujący ich przysmakami i zaklęciami zgodnie z postanowieniami spornych traktatów. Działali w ścisłej współpracy z paryskim kościołem faszystów, analizując relikwie i księgi o egzorcyzmach, pod krzyżami z gipsowym Chrystusem obwieszonym swastykami, patrząc na wizerunki diabłów wymalowane na podłodze, spoglądające wzrokiem poddańczym

i buntowniczym zarazem.

— Na chwałę Pana — zadeklarował Alesch — bierzemy jego krzyż i w jego imieniu rozkazujemy nie tylko aniołom pańskim, ale i tym upadłym.

Jego zakon paktuje z diabłami. Kapłani Alescha nie są egzorcystami. Są antyegzorcystami.

— Ciągle słyszałam te same pogłoski. Wszyscy mówili coś o nowych czynnikach. Wszędzie przewijała się ta sama nazwa. Fall Rot.

Rozdział czwarty: 1941

— Nie mogę w to uwierzyć. — Głos Mary Jayne Gold zadrżał. — Po tych wszystkich pretensjach, jakie do mnie miał? Przyprawia tu kogoś, kogo nawet nie znamy? Czy on zwariował?

— Nie wiem — odparł Miriam Davenport. — Znasz go. Jest trochę dziwny.

Mary Jayne przyłożyła palec do ust, gdy wrócił Fry. Spiorunował wzrokiem obie kobiety. Davenport była niską szatynką, Gold była wysoka i jasnowłosa. Absurdalnie doskonałe przeciwieństwa, stojące po przeciwnych stronach stolika z ciemnego drewna, zarzuconego pęczkami ziół i zastawionego na wpół opróżnionymi butelkami wina.

— Przykro mi, ale to zupełnie inna sytuacja — rzekł w końcu. — Słyszałem, co mówiłyście. Mary Jayne, mówię to z przykrością, Raymond jest przestępcą. Włamał się tutaj. — Mary Jayne oparła dłonie na biodrach. — Podczas gdy ten Jack — Jack Parsons — to tylko zagubiony młody człowiek.

— Nie masz pojęcia, co to za jeden — wtrąciła Miriam.

— Strasznie chciał poznać tę całą Colquhoun.

— Jej też nie znamy.

— Nie. Ale André mi o niej opowiadał. A Parsons bardzo interesuje się naszym ruchem. Zaprosiłem go jedynie na kolację. — Teraz już praktycznie błagał. — Myślę, że rozbawi André i Jacqueline.

— Czy to nie ty upominałeś mnie, że nie możemy tu zapraszać każdej zbłąkanej owieczki? — spytała zgryźliwie Davenport.

— Coś się kończy — odparł Fry. — Nie czujecie tego? — Zdawał się być

zaskoczony własnymi słowami.

To przecież on wolał swego czasu opuścić willę, niż narazić jej mieszkańców na niebezpieczeństwo. To on, po długich męczarniach, zabronił swojemu przyjacielowi Victorowi Serge'owi nocować w tym domu, uznając, że obecność komunistycznego dysydenta niesie zbyt duże ryzyko. A teraz sam przyprowadzał do domu jakieś znajdy.

— Parsons mówił, że jest technikiem raketowym — dodała Miriam.

— Może i jest fantastą — Fry wzruszył ramionami. — Ale poza tym jest niegroźny. — Sam już nie wiedział, co mówi. — Myślę, że nic się nie stanie. To tylko jedna kolacja.

—

Pokój w starej willi był piękny i przebrzmiały. Jack Parsons wyglądał przez okno, patrząc na kobietę i mężczyznę rozmawiających przy sadzawce. Jakiś mężczyzna wspinał się na drzewo i zdejmował obrazy z gałęzi, gdzie urządzano dziwną galerię.

Parsons przybył do Francji, podróżując pociągami i samolotami, samolotami i statkami, wykorzystując przysługi i rozdając łapówki. W chwilach, gdy wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu, gdy znalazł się gdzieś w złym momencie, gdy urzędnik był nieprzejednany, a jego szaleńcza, niekompetentna włóczęga zdawała się skazana na porażkę, korzystał z siły woli.

Tak jak robił to już wielokrotnie wcześniej, jeszcze w Stanach — napinał mięśnie umysłu, jak uczył go Aleister Crowley. Tak samo jak szeptał zaklęcia, gdy startowały skonstruowane przez niego rakiety. Nauczył się skrupulatnie i ostrożnie interpretować zachowanie wszechświata po każdej takiej akcji, by zobaczyć, czy świat jakoś zareagował.

Teraz w Europie tak skrupulatne sprawdzanie efektów okazało się niepotrzebne. Tutaj efekty były zadziwiające.

Mógł wydawać wszechświatowi rozkazy. Mówił na przykład konduktorowi: „Już pan sprawdzał mój bilet”, napinał mięśnie, by ukryć się przed policją, zwalniał bieg czasu na tyle, by zdążyć z przesiadką. Byłby zachwycony chwilową niepewnością, zmianą rytmu zębatek. A jednak urzędnicy zawsze przydzielali mu najlepsze miejsce. Policjanci zwalniali chwyt, pozwalając mu odbiec. Pociąg kołysał się i cofał w miejsce, gdzie był jeszcze trzy lub cztery sekundy temu.

Czyń, co zechcesz. Magia biła tu z ziemi. Czuł się szczęśliwy i chory jednocześnie. Miał mdłości po użyciu zaklęć. Sądził, że tutaj mógłby nawet czytać myśli.

Gdy przebył granicę, kilka kilometrów od brzegu Francji, ciągnąc za sobą własnoręcznie zmagistrowany sprzęt, poczuł, że ta dziwna obecność się wzmacnia. We Francji działało się coś bardzo złego, albo bardzo dobrego.

Oczywiście, nacisnął na umysł Variana Frya, popchnął go w odpowiednią stronę, by ten zgodził się na jego wizytę.

— Spróbujmy jeszcze raz — powiedział, zwracając się do nieobecnego przyjaciela i szefa w jednej osobie, Theodore’a Von Karmana.

Von Karman dał Jackowi pracę w Laboratorium Aeronautycznym. Lubił go i znosił jego wysoki — które uważał za przejawy ekscentryczności — z pobłażliwym rozbawieniem. Zwykle rozmawiali o rakietach i matematyce. Polityka przyszła dopiero później. Jako wyznawca Ordo Templi Orientis, Jack nie miał zbyt dobrego zdania o ludzkości jako takiej, ale w przypadku Von Karmana nie potrafił powstrzymać podziwu.

Gdy zaczęły spływać wieści z Europy, Theodore był tak wstrząśnięty, że wydawał się chory.

— Zaczęły się kłopoty — oznajmił.

To on wyjawiał Jackowi — choć nieświadomie — że w Pradze istnieją słowa, które mogą zmienić przebieg burzy. Że jest tam pewna obecność,

którą można przywołać. Uważał to za zwykłe baśnie. Jack, dzięki swemu drugiemu nauczycielowi, znał jednak prawdę. Von Karman rozwinął jego talent do matematyki, nauczył go precyzji koniecznej w konstruowaniu rakiet. Crowley rozwinął jego ducha i nauczył go innych praw. Jeden powiedział mu o mocy ukrytej w Pradze, drugi dał mu umiejętność rozpoznania, że rzeczywiście była to moc.

Jack nie mógł, oczywiście, tak po prostu pojechać do Pragi. Ale teraz trafił mu się ten nie-do-końca przypadek, ten dom surrealistów. Oni także byli wierni rewolucji i przypadkom obiektywnym. Może, pomyślał, w ich obecności odnajdzie i wymówi właściwe słowa, w swojej transmogryfikacyjnej mocy bliskie tym, których szukał i które zamierzał wyartykułować.

— Chcą uwolnić nieświadomość — powiedział mu Fry. — Pożądanie. — Wzruszył ramionami. — Musiałbyś ich zapytać.

Parsons nie zamierzał tego robić. Wiedział już, dlaczego Colquhoun należała i do tej grupy, i do zakonu Crowleya. *Cele były te same.*

Jestem przywódcą Łoży Agape, myślał. Namaszczony przez samego czarnoksiężnika, był wybrańcem Crowleya. Jestem apostołem wolności. Podobnie jak ci tutaj. Chcę pomóc mojemu przyjacielowi.

Jack Parsons był wyczulony na plugawe siły. Wiedział, że we francuskiej ziemi czuć piekielną magię, że coś się zbliża. Był pewien, że to mu pomoże.

A zatem sprawdził narzędzia i przebrał się do kolacji. Gdy wkroczył do salonu, wszyscy spojrzeli w jego stronę, a wtedy się zawahał.

Przestań, powiedział sobie w duchu. Nie jesteś tu bez powodu.

Malarze, poeci, anarchiści, komuniści. Posągowa blondynka podała Parsonsowi rękę i przedstawiła się jako Jacqueline Lamba. Jack skinął uprzejmie głową i podszedł, aby poznać jej męża.

André Breton był mężczyzną o nalanej twarzy, z wysoko zaczesanymi

włosami. Wpatrywał się w młodego Amerykanina spod przymkniętych powiek z jakimś leniwym skupieniem. Parsons nie odwrócił wzroku.

— Chciałem pana o coś spytać — zaczął. — Chodzi o Ithell Colquhoun.

— *Je ne parle pas anglais* — Breton wzruszył ramionami i odszedł.

Jack zmarszczył brwi i wziął z tacy kieliszek wina. Podszedł do niego drobny, ciemnoskóry mężczyzna.

— Wilfredo. Wilfredo Lam — przedstawił się.

Remedios Varo, czarnowłosa malarka o intensywnym spojrzeniu, skinęła Jackowi głową bez zainteresowania. Kay Sage, wysoka kobieta o chłodnym wyrazie twarzy, skłoniła mu się w milczeniu. Jack przywitał się ze wszystkimi, ukradkiem obserwując Bretona, który wciąż nie chciał z nim rozmawiać. Mężczyzna o bystrym spojrzeniu, zwany Tanguy, śmiał się zbyt głośno. Wszyscy surrealiści mieli na sobie znoszone stroje wieczorowe.

— Jack Parsons — oznajmił Fry, zwracając się do niskiego, wesołego mężczyzny o nazwisku Benjamin Péret, który przesłał Jackowi krzywy uśmiešek. Mary Jayne i Miriam tylko patrzyły. — Jest rozbitkiem pośród nazistów.

— Nazistów? Czytał pan Trockiego?

— Trochę.

— Mówił, że faszyci to kurz ludzkości. — Péret energicznie kiwał głową.
— Miał rację.

— Ciekawe, co powiedzieliby o panu, panie Parsons.

Usiedli do stołu, by zjeść zupę jarzynową przyprawioną tylko solą. Parsons zaczerpnął tchu i pociągnął mocy ze splugawionej kłótłami ziemi ciągnącej się za oknem. *Czy oni w ogóle wiedzą, że coś się dzieje?*

Siedział w willi Air-Bel z artystami, radykałami, pisarzami i filozofami, których dobroczynni Amerykanie chcieli przeszmułować przez granicę. *Co ja tu robię? Z rozpaczą spojrział na swój posiłek.*

— Cudzoziemcy muszą zawsze mieć przy sobie siedem różnych dokumentów — mówiła Mary Jayne Gold. Czemu tak na niego patrzyła? Czyżby powiedział coś, co wywołało ten komentarz? Jack czuł się zbity z tropu.

— Coś podobnego — bąknął. — To szaleństwo.

— Varian mówi, że jest pan naukowcem.

— Tak. Pracuję nad... — Przeciął dłonią powietrze. — Rakietami.

Robię latające bomby pełne greckiego ognia. A wy mi za to, kurwa, podziękujecie.

— Wie pan, że nasi goście zrobili własną talię kart? — spytała Miriam.

— Nie wiedziałem.

— Naprawdę — zaśmiała się Lamba. — Zagramy z panem później.

Uwięzieni na marsylskiej prowincji, w tym przewygnaniu, surrealiści rysowali nowe talie, nowe symbole były wyrazem kartograficznego buntu⁵³. Czarne gwiazdy oznaczały marzenia, czarne zamki i klucze — wiedzę, czerwone płomienie — żądzę, a koła — rewolucję. Uwiecznili swoich ulubieńców jako figury: de Sade, Alicja, Baudelaire, Hegel i Lautréamont.

— Chcieliby je kiedyś wydrukować — oznajmił Fry, jakby z wysiłkiem.

— Gra to bunt — dodała Lamba, w jej słowach wyraźnie słychać było obcy akcent.

Czyżby? Właśnie tak się buntujecie? — pomyślał Parsons i zdał sobie sprawę, że chyba widać obrzydzenie na jego twarzy. W mieście pełnym gestapowców, donosicieli, faszystów i bojowników. *Tylko tyle?*

— Widziałam na mieście dwóch chłopców — powiedziała Miriam. — Każdy z nich niósł dwie wędki. Łapiecie, o co chodzi? *Deux Gaulles*, gra słów. Wymawia się jak de Gaulle. Są z opozycji.

Zabierzcie mnie stąd, poprosił Parsons.

— Co pana tu sprowadza, panie Parsons? — Głos Mary Jayne zabrzmiał

opryskliwie. — To bardzo dziwny moment na podróżowanie.

Parsons nie zdołał zapamiętać nazwisk wszystkich gości, choć te nazwiska, a także zajęcia i poglądy filozoficzne zostały mu przedstawione bardzo dokładnie, jakby w akcie szyderstwa.

Gdy później do środka wszedł szczupły, młody mężczyzna o zaciętej twarzy, Mary Jayne krzyknęła radośnie i natychmiast do niego podeszła. Miriam zmarszczyła brwi i już chciała wstać, ale Varian Fry złapał ją za ramię i przytrzymał w miejscu.

Obejmując ramieniem Mary Jayne, Raymond Couraud zaczął przechadzać się po salonie. Breton zacisnął usta i odwrócił wzrok.

— Powiedziałem André, że pytałeś o Ithell Colquhoun — powiedział niespodziewanie Fry. Breton skinął głową, jakby na chwilę zainteresowany. Powiedział coś, a Fry przetłumaczył. — Jakiś czas temu go odwiedziła. Dlatego umieścił jej prace w tym wydaniu.

Tylko tyle. Ci ludzie nic nie znaczą, pomyślał Parsons. Kompletnie nic.

— Źle się z nami dzieje — rzekł Von Karman, opowiadając mu o swojej rodzinie, europejskich Żydach. — Mój pra-pra-bardzo-dużo-pra-pradziadek nazywał się Rabbi Loew. Słyszałeś o nim kiedyś? Pochodził z Pragi. Ulepił wielkiego człowieka z gliny i znalazł sposób, by go ożywić i z jego pomocą chronić Żydów. Wiesz, co to było? Pierwszy przypadek matematyki stosowanej.

Von Karman lubił ten żart i często go powtarzał. Jackowi też się podobał, ale z innych powodów. Von Karman miał rację: aby coś ożywić, należy wymówić alef tam, gdzie wcześniej była cisza, dodać jeden do zera. Przeczytał wszystko, co tylko znalazł na temat Rabbiego Loewa, wysiłków i triumfów tego gorliwego człowieka.

Gdzieś pomiędzy trajektoriami jego spadających rakiet, tęczowych łuków i grawitacją, pomiędzy wizjami wrzeszczących pocisków, które zamierzał wysłać po niebie prosto w stronę nazistów, Parsons znalazł jeszcze dość czasu, by z niesłychaną precyzją i starannością opracować arytmetykę inwokacji, algebrę rytuału. Plan czarownictwa.

Pojadę do Pragi, zdecydował w końcu. Sprawdził wszystkie swoje dowody. Jestem inżynierem, więc coś skonstruuję. Wykonam obliczenia pośrodku getta. Przywrócę do życia tego golema.

Wiedział, że da radę. Wyobrażał sobie kołyszący krok potwora, grube, gliniane łapska rozrywające szturmowców. Wielka czystka w okupowanym mieście. To z pewnością wstrząśnie całą wojną. *Chrzanić to, pomyślał. Zrobię to dla Theo.*

A teraz siedział tu, we Francji, uwięziony przez wojnę i diablo-naukę. W pokoju, do którego zaprowadził go Fry, rozstawił swoją maszynę, niezbędną do tego, by jego matematyka stała się faktem, by zmieniła świat. Baterie i czujniki, abakus, druty i obwody, i tranzystory.

Colquhoun, najbardziej pożądana przez Crowleya i współpracownica tego Bretona. Musiała być bramą.

Ale teraz? Jack rozejrzał się po tym absurdalnym salonie, w tym porzuconym, wstrząsanym przemocą mieście uciekinierów. Siedział tu wśród fircyków i artystów. Marnował tylko czas.

Rozdział piąty: 1950

Fall Rot. Thibaut zawsze myślał, że to angielska nazwa. Dwa czasowniki — padnij zgnij — albo dwa rzeczowniki — jesienna zgnilizna.

— Nie — uświadomiła go Sam. — „Wariant czerwony”. To z niemieckiego. Chyba szykują coś dużego. — Spojrzała na niego uważnie. — Słyszałeś już o tym, prawda?

W epoce niedostatku informacji i rynku pogłosek paryscy partyzanci zawsze uważnie nasłuchiwali wieści o swoich wrogach. Łowili wszelkie plotki na temat Rudy’ego de Mérode, Brunnera, Goebbelsa, Himmlera, Williama Joyce’a, Rebatata, a nawet samego Hitlera. Mity, szpiegowskie sztuczki, zwykłe bzdury.

— Znasz człowieka nazwiskiem Gerhard? — Thibaut odpowiedział pytaniem. Tylko raz słyszał to nazwisko. Wyszepiała je umierająca kobieta.

— Wolfgang Gerhard — odpowiada Sam powoli. — Nie. Ale słyszałam o nim. Dezerter z Wehrmachtu wspomniał mi coś o nim na granicy. Mówił, że ostatnio często pojawia się w pogłoskach, zaraz obok Fall Rot. O tym drugim słyszałam od człowieka w Sewastopolu. Teraz to złe miejsce. Pełno tam diabłów — mówi i uśmiecha się dziwnie.

— Ten człowiek był w Paryżu i wzbogacił się na tym, co wynosił — mówi dalej. — Nie obchodził go Ernst, Matta, Tanning ani Fini, zależało mu tylko na przedmiotach. Miał jeden z tych telefonów sam-wiesz-kogo, tych, co wyglądały jak... — Pokazuje rękami. — Jak homar z drucikami⁵⁴. Jeśli przyłożyło się go do ucha, sięgał po ciebie szczypcami, a odnóża wplątywały ci się we włosy, ale przy tym szeptał ci sekrety. Chociaż mnie nic nie powiedział. Nie lubił mnie. Lecz ten gość twierdził, że jemu szepnął kiedyś:

„Nachodzi Fall Rot”.

— To dlatego tu jesteś — odkrywa Thibaut. — Żeby dowiedzieć się, czym jest ten Fall Rot. Nie po to, żeby robić zdjęcia.

Czuje się oszukany.

— Nieprawda. Jestem tu, żeby robić zdjęcia. Ostatnie dni Nowego Paryża. Pamiętasz? — W jej głosie pobrzmiwa jakaś figlarność, której Thibaut nie rozumie. — I żeby dowiedzieć się paru innych rzeczy. Zdobyć informacje. To prawda. Nie musisz ze mną chodzić.

Thibaut kiwa dłonią na wyrafinowanego trupa, który przebija się przez uliczny kurz. Sam cofa się lekko.

— Ścigają cię. Zrobiłaś zdjęcie czemuś, co jest na tyle ważne, że chcą cię dorwać. Co ich tak wkurzyło?

— Nie wiem. Mam tu dużo zdjęć. Musiałabym je najpierw wywołać i zobaczyć, a jeszcze jest tyle do sfotografowania. Nie mogę stąd odejść, póki nie wiem, co tu się dzieje. Nie chcesz wiedzieć, czym jest ten Fall Rot?

Thibaut chce tylko wyjść. Wymknąć się tym, którzy ich śledzą. Może wywołać filmy Sam, znaleźć na nich jakąś słabość nazistów, którą mógłby wykorzystać przeciw nim. Ale ku własnemu zdumieniu coś w jego wnętrzu nawet teraz pozostaje lojalne wobec Paryża. Ta jedna myśl, o książce Sam, trzyma go na powierzchni, ten łabędzi śpiew, mowa pożegnalna dla miasta, które jeszcze nie zginęło. Chce, żeby ta książka powstała, a żeby tak się stało, rzeczywiście potrzeba zdjęć. Gdy tylko próbuje pomyśleć o odejściu, mąci mu się w głowie. *To szaleństwo, ale... Jeszcze nie teraz, myśli. Najpierw to skończmy.*

Ta książka jest ważna i on to wie.

Wyobraża sobie wielkie tomiszczce, oprawione w skórę, z ręcznie rysowanymi wyklejkami. Albo inne, skromniejsze wydanie, z jakiegoś małego wydawnictwa. Thibaut chce ją potrzymać w rękach. Zobaczyć

zdjęcia tych ścian, w których szepczą szczeliny i poruszają się kreskowe postacie wydrapane kluczami⁵⁵; tych niemożliwości, z którymi walczył, a które teraz kroczą obok niego.

—

Czasem zadaje sobie pytanie, czego teraz szukają: zdjęć, czy informacji o Fall Rot? I odpowiada sobie: tak.

Idzie za Sam na północ, mijając rozlaną architekturę miasta. Opuszczone pojazdy wciąż stoją zaparkowane przy ulicach, zbyt wielkie słoneczniki wychylają się spomiędzy budynków. Jakaś niepozorna partyzantka pochyla się ze skrzyżowanymi rękami, wsparta o karabin, patrzy na nich z okna na ostatnim piętrze. Na widok Thibauta unosi rękę w ostrożnym salucie, a on go oddaje.

Sam robi zdjęcia. Śpią na zmianę. O świcie nad horyzontem pojawia się wielki pysk rekina⁵⁶, szczerząc zęby w uśmiechu jak zidiociały anioł, i bezgłośnie żuje niebo.

Ludzie, którzy nie wybrali żadnej ze stron, skupieni tylko na przeżyciu, zdarli bruk z ulic i zaczęli uprawiać ziemię pod spodem. Uprawiali ją pośród wiecznie zmieniających się ruin, walcząc z piekielnymi mocami i zdziczałymi snami. Założyli prowizoryczne szkoły dla dzieci w miasteczkach złożonych z jednej czy dwóch ulic, resztę odcięli barykadami.

Jedna z takich enklaw znajdowała się nieopodal domu. Obok ścieżki, w miejscu, gdzie była piwnica, zieje dziura pełna wilgotnych śmieci. Thibaut zwalnia, czuje coś w środku. Zatrzymuje Sam. Wskazuje ręką. W dziurze leżą mokre kości.

Stoją bez ruchu, a w wilgotnej zupie coś się porusza. Pnącza z gumowych rurek rozwijają się i unoszą. Woda z szumem spływa z wielkiej, drapieżnej eliptycznej głowy, która unosi się powoli, widząc, że pułapka się nie udała.

To piaskoszałek⁵⁷, brzydał wydarty z angielskiego obrazu. Spogląda na nich oczkami na szypułkach. Sądząc po zalegających wokół szczątkach, jak większość jego pobratymców, pożera włóczęgów i chude konie.

Sam robi zdjęcia drapieżnika wijącego się i syczącego w błocie. Thibaut opiera karabin o resztkę muru. Skupia się do głębi.

Nie ma zbyt dobrego celu, ale skupienie poprawia mu celność, obecność wyrafinowanego trupa też pomaga. Gdy strzela, pociski trafiają w dziurę i jej mieszkańca; istota beczy, a potem ogarnia ją pojedynczy płomień jak ogień na czubku wielkiej zapalki.

Wokół unosi się zapach spalenizny. Manif nie żyje.

Thibaut i Sam odchodzą, ale ktoś krzyczy za nimi:

— Hej!

Zza barykady wychylają się czujne twarze. Kobieta o ostrych rysach, z głową okrytą chustką, rzuca Thibautowi torbę pełną chleba i warzyw.

— Widzieliśmy, co zrobiliście — mówi.

— Dziękujemy — dodaje młodszy mężczyzna w kapeluszu panama, patrząc na nich znad karabinu. — I bez urazy, ale teraz już spieprzajcie i nie wracajcie tu.

Patrzy na wyrafinowanego trupa.

— Chodzi o niego? — Thibaut potrząsa rzemieniem. — Nie będzie sprawiał kłopotu.

— Spieprzajcie i zabierzcie ze sobą swoich nazistów.

— Co takiego? Jak mnie nazwałś?! — krzyczy Thibaut. — Jestem z Main à plume!

— Ściągniecie ich tutaj! — odkrzykuje mężczyzna. — Wszyscy wiedzą, że was ścigają!

Thibaut i Sam patrzą po sobie.

— Słyszeliście o Wolfgangu Gerhardzie? — pyta Sam.

Młody bojownik potrząsa głową i ponagla ich gestem.

Wiatr hula po budynkach. Słyszą odgłosy walki na odległych ulicach. Znajdują serię wielkich wgłębień w chodniku i Thibaut zdaje sobie sprawę, że wygląda to jak ślady olbrzyma.

—

Przy bulwarze Montparnasse Sam sprawdza mapę i swój dziennik, mrużąc oczy w słońcu. Stara kobieta kiwa na Thibauta zza drzwi, a gdy on podchodzi, podaje mu szklankę mleka. Z piwnicy słychać ryk krowy.

— Ostrożnie — mówi staruszka. — Kręcą się tu diabły.

— Czy to z powodu katakumb?

Wejście jest niedaleko, przy roгатce Barrière d'Enfer.

Kobieta wzrusza ramionami.

— Chyba Niemcy sami nie wiedzą, co robią. Obserwatorium jest blisko i pełno tam astronomów z piekła rodem. Gdy patrzą przez teleskop, widzimy, co pamiętają.

Mleko jest chłodne. Thibaut pije powoli.

— Mogę coś dla pani zrobić?

— Uważajcie na siebie.

Na placu Denfert-Rochereau widać, że Lew Belfortu⁵⁸ zniknął ze swojego postumentu. Teraz wokół pustej platformy, gdzie wcześniej spoczywał czarny posąg z wyciągniętymi łapami, tłoczą się ludzie z głowami lwów.

Thibaut dobrze się czuje pośród tych flanerów. Wyrafinowany trup mruczy z tyłu.

Sam jest podenerwowana. Nie chce lub nie może podejść bliżej. Robi zdjęcia nieruchomego tłumu z samego skraju placu i patrzy na Thibauta ciekawskim wzrokiem.

Élise, myśli Thibaut. *Jean*. *Powinniście tu być*. Po raz pierwszy od czasu tamtej katastrofy w Lasku Bulońskim czuje, że wie, o co walczył.

Powinien był zagrać tą kartą. *Zabiłem moich przyjaciół*, myśli.

Cóż to była za zdrada wobec kolektywnej ideologii, wojennego socjalizmu Main à plume, to że w ogóle zatrzymał tę kartę dla siebie. Nie ma nawet pojęcia, co by tym osiągnął. Ale gra to bunt na gruzach przypadku obiektywnego. Do tego aspirowali, taki był cel surrealistów uwięzionych w willi na południu.

— Historycy zajmujący się grą w karty — powiedział Breton — zgadzają się co do tego, że w ciągu tych setek lat gra najbardziej zmieniała się w czasach wielkich militarnych klęsk.

Zmienić porażkę we wściekłą partię. Opowieść dotarła do Paryża wraz z manifiestami. Breton, Char, Dominguez, Brauner, Ernst, Hérold, Lam, Masson, Lamba, Delanglade i Péret, adepci nowej talii. Geniusz, Syrena, Mag, uosabiający żalostną arystokratyczną tęsknotę za prawdziwym królem, królowa i walet. Père Ubu, dzoker, z hipnotycznym spiralnym brzuchem.

Karty tworzą, gubią i czasem odnajdują. Jeśli opowieści wojenne były prawdziwe, to Pancho Villa, człowiek o ptasiej twarzy, mag rewolucji, zagwany przez jakiegoś bojownika z Gévaudan, ocalił jego towarzyszy przed demonami. W 1946 roku głowonogi Paracelsus, mag kluczy, wynurzył się z Sekwany i zatopił dwa okręty Kriegsmarine. Freud, Alicja Carrolla, as płomieni, de Sade, Hegel i żukogłowy Lamiel podobno zaginęli.

Thibaut ma w kieszeni syrenę kluczy. Dzieło Wiktora Braunera. Kobieta o dwóch twarzach z warczącym kołnierzem z jaguara. Narysowana na papierze, lecz za pomocą jakichś mocy przeniesiona ze wszystkimi przypadkowymi liniami na prostokąt kartonika.

Ale Thibaut jest zbyt ostrożnym graczem. Maszeruje pełen poczucia winy. Za nim idzie wyrafinowany trup, awatar szalonej miłości, w tym niespodziewanie życzliwym tygodniu.

— Dzisiaj — mówi Sam. Rozkładają biwak w ocalałej kawiarni. — Muszę zrobić jeszcze jedno zdjęcie.

Thibaut wygląda przez okno — szyba nie jest wybita — i z trudem pyta:

— Może sfotografujesz to?

Gwiazdy wirują szybciej, niż powinny. Niebo jest ciemnoszare, gwiazdy żółte i nie są to ziemskie gwiazdy. To obce konstelacje. Nagle, nie wiadomo skąd, Thibaut zna ich nazwy — Aligator, Skrzynka bez zamków, Wnyki. Poruszają się w różnych kierunkach.

Sam tylko się uśmiecha.

— Jakiś diabeł patrzy przez teleskop — mówi. — Tak jak mówiła ta staruszka. — Thibaut nie wiedział, że słyszała ich rozmowę. — Tak wygląda niebo ponad Piekłem. Pewnie czują tęsknotę. Tu nie prowadzi żadna brama. Trudno tu przynieść albo wynieść cokolwiek poza drobnymi okruchami. To znaczy do Piekła i z powrotem. Demony mogą tylko patrzeć.

— Masz jakieś zdjęcia diabłów?

Sam znów się uśmiecha.

W Ogrodach Luksemburskich błakają się zagubieni naziści. Szlochający, wpatrujący się jak oczarowani w Statuę Wolności⁵⁹ na terenie ogrodu. Posąg nie ma głowy, tylko pęk wsporników, jego wyciągnięta ręka jest poskręcana jak kikut. Ze stalowej piersi spogląda korpulentne, cielesne oko. Mruga. Jeden z żołnierzy modli się po niemiecku, potem po francusku. Towarzysze go uciszają.

Thibaut i Sam podkradają się wzdłuż żywopłotu. Wyrafinowany trup pojawia się i znika, ale zawsze wraca. Przyspiesza, idąc przez zarośnięty ogród, przez poszycie i różane krzewy, a gąsienica unosi głowę, aż docierają do wysokich barierek na skraju, rozłożonych jak zęby zniszczonego widelca.

Noc przynosi odgłos strzałów. Beżowo-czarne okiennice Guynemer są zakrwawione. Sam nie skręca w rue Bonaparte, lecz w mniejsze uliczki,

z dala od światła i mechanicznych odgłosów jakichś wykopków. Biuro Surrealistycznych Badań jest w pobliżu — od dawna zamknięte, ale wciąż nawiedzane przez emanacje tych wczesnych eksperymentów, szafek pełnych porzuconego sprzętu. Wyrafinowany trup nabiera tu mocy.

To sporny teren. Przy rue du Four chowają się, słysząc niemieckie krzyki.

— Niedaleko są ich bazy — szepcze Sam.

Hotel Lutetia, gdzie stacjonują niemieccy oficerowie. Więzienie du Cherche-Midi, gdzie więźniowie polityczni stają się ofiarami eksperymentów i karmą dla straszliwych istot.

— Dokąd prowadzisz? — pyta Thibaut. Gdy u wylotu rue de Rennes dostrzega wieżę kościoła, nagle już zna odpowiedź.

— Nie możesz tam wejść — mówi. Ma nadzieję, że się myli.

— Ty też nie. Dwa z pięciu narożników skrzyżowania rozsypały się w pył. W miejscu, gdzie rue de Rennes styka się z rue Bonaparte, tuż nad ziemią wisi ogromny głaz, jakby świeżo odłupany z górskiego zbocza. Kościół Saint Germain-des-Prés wygląda na nietknięty. A dalej, na piątym narożniku, stoi kawiarnia Les Deux Magots.

Jej zielone markizy trzepoczą gorączkowo, targane wiatrem wiejącym ze środka. Wokół unoszą się stoliki i krzesła, nabierające rozpędu, jakby lada chwila miały odlecieć, ale potem nachodzi kolejny spazm i znów opadają na ziemię. W górę, na wysokość głowy i z powrotem. Skaczą tak już od lat.

Okna pękają, chmura odłamków drży i wskakuje z powrotem we framugę, a potem znów wypada; oscylująca instancja wybuchu. Kawiarnia dudni.

Sam zbliża się do niej ciężkim krokiem, po czym przystaje na pustej ulicy. Wygląda, jakby powietrze stawiało jej opór, jakby szła pod wiatr. Dyszy z wysiłku, wciąż oddalona o kilka metrów od wejścia. Powietrze gwizdże Thibautowi w uszach.

To stąd nadeszła S-plozja.

I przez te wszystkie lata to miejsce było nie do zdobycia. Nikt nie zdołał się przedrzeć przez tę bezwietrzną moc, którą wydzielało jego wspomnienie własnej zagłady.

— Chcesz zdjęcie tego?! — krzyczy Thibaut. — Ale jak mamy tam wejść? Sam wskazuje ręką.

Wyrafinowany trup idzie naprzód. Tam, gdzie oni nie mogą. Twarz starego człowieka węższy w powietrzu, obłok pary z komina pociągu skręca w tył. Istota poznaje to miejsce, zapach czegoś znajomego.

Thibaut czuje, że jego wnętrzości aż kipią. Sam popycha go w ślad za manifem. Stwór bez wysiłku kroczy skrajem obłoku ze szkła.

— To coś nie pozwoli mi do siebie podejść. Ale ty...

— Nie mogę zrobić za ciebie tego zdjęcia!

— Nie chcę żadnego zdjęcia, głupcze! Tam coś jest. Przynieś mi to.

O co jej właściwie chodzi?

Czy ja to naprawdę robię? To niemożliwe.

Ale nie tylko chwyta ramię wlokący się po ziemi za manifem i zawija go wokół nadgarstka, lecz także zrywa się do biegu, aż wreszcie kładzie rękę na metalowym cielsku.

Jest prawie pijany mocą emanującą z tamtego miejsca. Kroczy jak we śnie za najdoskonalszym z manif, chodzącym przypadkiem obiektywnym, i myśli, jak bardzo jest podobny do tego wielkiego wyrafinowanego trupa, którego widział w miejscu, gdzie zginęli jego rodzice.

Szkło pęka bez końca, ale Thibaut czuje się bezpieczny, krocząc w aurze obecności manifa. Idą, wymijając stoliki i krzesła. Thibaut dyszy gorącym powietrzem, aż w końcu wchodzi do Les Deux Magots. Do środka.

—

Sala jest pełna światła i ciemności, blasku i czerni, żaru i sadzy. Thibaut słyszy szum własnej krwi i bębnienie drewna. Pot spływa mu po twarzy.

Oczy szczypią. Stoły tańczą na swoich sztywnych nogach, wywijając salta w porywie eksplozji.

Są też ciała. Szkielety i mięso tańczą w rytmie tego samego wybuchu, ciało odrywa się od kości i znów do nich wraca. Wyrafinowany trup stąpa ostrożnie jak dziecko pomiędzy zwłokami płonących kelnerów, a Thibaut idzie za nim, walcząc o każdy oddech, czując, że znów ma jakąś misję.

Kuchnię wypełnia burza tłuczonych talerzy. Pośrodku leży człowiek, od dawna martwy. Jego ciało jest jedną wielką ruiną.

W kącie stoi żyłasty młodzieniec, którego twarz wykrzywia się w grymasie i płonie, kości rytmicznie przebijają skórę; twarz przybiera wyraz martwej wojowniczości, później martwego bólu, a potem już tylko śmierci, raz za razem, zbyt szybko, by się przyjrzeć. Porusza się jak nadmuchiwana lalka, gdy ogień, diabelska moc i pękające meble szpikują go niczym chmura odłamków. Trzyma rękę na metalowym pudełku, z którego wychodzą druty, skrawki papieru i promienie. Ono także wybucha bez końca.

A z niego nadchodzi — nadeszła — eksplozja.

Teraz nawet wyrafinowany trup drży. Żywy sen napierający na to, co uczyniło go ciałem, industrialnymi kończynami sięga po bombę.

Wyjmuje eksplodującą skrzynkę z rąk martwego człowieka. Thibaut słyszy, że Sam woła go po imieniu.

Wyjście idzie im znacznie szybciej. Manif i Thibaut na wpół biegną, na wpół lecą.

Sam czeka na nich, tak blisko, jak tylko zdołała podejść. Na ich widok krzyczy z radości. Gdy się zbliżają, krzyczy znowu, tym razem głośniejszym, triumfalnie, widząc zdobycz wyrafinowanego trupa.

Ale bomba rozpada się po drodze i nic się nie dzieje.

Skrzynka się rozsypuje, ale eksplozja nie. Za ich plecami sala wciąż wybucha.

Thibaut wraz z manifem wypadają w resztki wieczornego światła, a Sam stoi gotowa, z wyjętym aparatem. Thibaut widzi, że wokół niej wznosi się mur dymiących cierni, jakaś obrona, już więdnąca, a na skraju skrzyżowania zbierają się żołnierze.

Coś nadciąga. Ulica drży. Rozlega się huk, jakby spadały meteoryty.

— Daj mi to! — wrzeszczy Sam.

Ale skrzynka wciąż sypie częściami i drucikami i teraz nawet jej ścianki się rozpadają. Sam wyciąga ręce do manifa, którego tak nie lubi dotykać, i wrywa mu skrzynkę.

Przedmiot rozpada się w pył i znika, a Sam wydaje długi okrzyk wściekłości.



Moździerze strzelają im nad głowami burząc budynki, odcinając im drogę ucieczki. Sam i Thibaut kluczą. Wyrafinowany trup nagina prawa fizyki i czasem wszyscy znikają na zakrętach. Nagle przed nimi ukazuje się rzeka, a na niej Île de la Cité, i teraz biegną na wschód wzdłuż brzegu rzeki po Quai des Grands Augustins, naprzeciwko miejsca, gdzie kiedyś był Pałac Sprawiedliwości, a teraz jest tylko kanał czystej wody, układający się w kształt znaków czytelnych jedynie z góry. Zmierzają w stronę chmury trocin bijącej z okien i drzwi Sainte-Chapelle⁶⁰, ku krajobrazowi duszących prądów i zastrug na skraju wysepki.

Wyrafinowany trup biegnie przodem. Zatacza się w lewo na Pont au Double i dalej przez most. Czują się, jakby Paryż sam wciągał siebie do środka. Aż na wyspę, gdzie stoi katedra Notre-Dame.

Od czasu S-plozji przysadziste kwadratowe wieże po obu stronach centralnego okna z witrażową rozetą⁶¹ zmieniły się w przemysłowe silosy, wysokie, grube, topornie wykute z metalu. Z jednej z wież poprzez szczeliny wycieka ocet zmieszany z krwią. Gdy podchodzą, powietrze pełne jest

kwaśnej woni, ziemia wokół walca jest natomiast wilgotna i sfermentowana. Poprzez wzmocnione drutem okna drugiej konstrukcji widać gęstą, białą substancję. Plotki mówią, że to sperma. Thibaut często błagał niebiosa, żeby ją zbombardowały.

Teraz ledwie ją dostrzega. Manif prowadzi ich w prawo, poprzez splątany gąszcz ogrodów za kościołem i naprzód, na najdalej wysuniętym krańcu wysepki, gdzie widzą, że Pont l'Archevêché zawracający na południową stronę rzeki i mały mostek prowadzący na sąsiednią Île Saint-Louis zniknęły. W rzece leżą tylko gruzy. Nie ma dokąd uciec.

Zawracają. Błoto drży.

— Znaleźli nas — mówi Thibaut.

Z ciemności przy wieżach Notre-Dame wynurza się coś straszliwego.

— Chryste — mruczy Sam, unosząc aparat. Jej strach przypomina ekstazę. Thibaut krzyczy bez słów, widząc, co nadchodzi.

Chodząca iglica, ostry, biały odłamek.

Aryjskie nogi, umięśnione, jak to naziści lubią, wzbijające stopami kurz. Na wysokości trzeciego piętra znajduje się talia, ponad którą zaczyna się to, co pozostaje po przełamaniu wielkiej istoty — pęknięcie i wielka, bezgłowa ruina. Prawa strona to kruszejące, kamienne zbocze, lewa to resztki torsu, sięgającego aż po pachy, gdzie kołysze się kikut ocalałego bicepsa.

U stóp istoty uwijają się żołnierze Wehrmachtu i SS. Znajomy jeep w obłoku burego dymu.

— Co to, u diabła, jest? — krzyczy Thibaut. Czy ta krocząca drzazga to ten wielki projekt nazistów?

— U diabła nic — odpowiada Sam. — To manif. Brekerman.

— Breker? — Thibaut aż krztusi się z niedowierzaniem. — Zmusili tę jego pokrakę do ruchu?

Wielkie, kiczowate, marmurowe figury Arno Brekera⁶² gapią się

w przestrzeń pustym wzrokiem, pełne nominalnej doskonałości. Postacie nadludzi, nawet w Paryżu, zawsze pozostawały uparcie nieżywe. Ale te nogi zbliżają się coraz bardziej.

Kiedyś musiał to być słup białego marmuru, większy niż kościół, klaszczący w kamienne dłonie, teraz jest popękany i rozszczepiony, a jednak wciąż chodzi. Czy żywe dzieło sztuki może umrzeć? I czy rzeczywiście wcześniej było żywe?

— Postawili go z powrotem na nogi.

— Z powrotem?

Aparat trzaska. Resztki brekermana kołyszą się, jakby ten dźwięk je odepchnął. Figura łapie równowagę, wyciąga ramię, idzie naprzód. Miażdży drzewa i zaczyna biec.

Żołnierze biegną jej śladem z uniesioną bronią. Jeep kaszle. W środku siedzi kierowca, którego widzieli wcześniej — mężczyzna w szacie liturgicznej i dwóch innych w cywilu. Tym razem Thibaut widzi wyraźnie ciężką, nalaną, pomarszczoną twarz i poznaje ją z artykułów i plakatów.

— Alesch! — krzyczy.

We własnej osobie. Ksiądz zdrajca, głowa miejskiego kościoła demonów.

Żołnierze rzucają się w stronę Thibauta, Sam i wyrafinowanego trupa. Złamany nazistowski manif nadchodzi za nimi.

Thibaut strzela bez sensu. Kamienna noga unosi kamienną stopę. Mężczyzna patrzy na nią osłupiały: okazuje się, że stopa najbardziej realistyczna jest od spodu, pełna fałd, odcisków, kurzajek. Płachta pizamy wydyma się na wietrze, brudna tkanina trzepocze. Pociski trafiają i bawełna twardnieje.

Thibaut strzela w pół skoku. Tym razem nie celuje w zniszczonego manifa, ale obok, ponad głowami żołnierzy, w nadjeżdżającego jeepa. Kierowca miota się, krew tryska, a gdy samochód skręca gwałtownie, wyrafinowany

trup sięga skądś ręką i wyciąga Thibauta z matni. Sapie, a dwóch najbliższych żołnierzy z wyciem rozplywa się w nicość, pozostawiając po sobie ołówkowe szkice własnych postaci. Thibaut patrzy, jak jeep wiruje, sypiąc ziemią, i z ohydny trzaskiem metalu wali w ścianę kościoła.

Nogi brekermana biegną naprzód i z rozmachem kopią wyrafinowanego trupa w sam środek konstrukcji. Surrealistyczny manif zatacza się mocno, sypiąc częściami siebie. Coś krąży na czarnym niebie.

Sam przyczaja się za murem, przyciśnięta ogniem i wybuchami gestapowskiej magii. Znów celuje aparatem i Thibaut widzi, że pomiędzy urządzeniem a żołnierzami przeskakuje wiązka złej energii. Kobieta robi zdjęcia i odrzuca ich w tył. Próbuje sfotografować brekermana, ale nogi zapierają się o ziemię — nawet nie drgną, wciąż biegną w jej stronę.

Nagle, z zimną pewnością, patrząc na połamanego brekermana i napierających żołnierzy, Thibaut wie, że nawet z pomocą Sam i jej soczewek, mimo milczącego wsparcia wyrafinowanego trupa, przegrają tę walkę.

Wyciąga z kieszeni marsylską kartę. I zagrywa.

—

Syrena kluczy nabiera bytu. Pomiedzy Thibautem a żołnierzami i zataczającym się manifeem stoi teraz wielkooka kobieta w eleganckim, staroświeckim stroju. Nie przypomina człowieka. Jej kontury nie są granicą materii.

Kobieta bełkocze. Thibaut patrzy na wizję Hélène Smith, jasnowidzki i medium, nieżyjącej od dwudziestu lat i uwiecznionej na karcie, na glosolaliczną posłankę wyimaginowanego Marsa⁶³.

Zainaugurowana myśl, jej awatar wywołujący ducha, w nowym kostiumie, w nowej talii. Klucze symbolizują wiedzę. Kobieta pisze w powietrzu palcem. Lśniące pismo nie należy do żadnego ziemskiego alfabetu.

Pociski żołnierzy opadają z niej jak krople. Jej pismo trzeszczy, coś mknie po niebie. Chmury płyną. Z góry spada ognisty krąg, sen snu, manif manifa, wizja marsjańskiego statku, wirującego wokół własnej osi.

Z tyłu, za nieruchomymi teraz nogami posągu, widać księdza i jednego z cywili wysiadających z dymiącego jeepa. Wycofują się, podtrzymując się nawzajem, coraz dalej, podczas gdy on strzela. Thibaut nie może się skupić, bo karciana Smith przywołuje do istnienia kolejnych Marsjan i Ultra-Marsjan, potężnych jak trolle. Jej pozaziemskie kontakty istnieją, przynajmniej w tej chwili, i spadają w dół, rozdzierając powietrze strzałami. Widmowa Smith pieje z zachwyty.

Pociski płoną, topią metal. Ogień dziurawi ziemię. Grad pocisków spadających z nieba pochłania nazistów i ich połamanego giganta. Kataklyzm światła i dźwięku.

A potem nagle ciemność i cisza.

Niebo jest puste. Smith zniknęła. Karta zniknęła. Wilgotne wieże Notre-Dame drżą. Ocet sączy się z nieszczelnych spojeń.

W miejscu, gdzie zaatakowali widmowi Marsjanie, ziemia zmieniła się w szklistą taflę. Umierający ludzie podrygują w agonii u stóp brekermana. Nogi rozsypują się w pył, stopy są spalone. Już się nie poruszają. Powoli zapadają się w kwaśne błoto.

Sam podbiega do wyrafinowanego trupa, który chwieje się, ale stoi na nogach. Kobieta trzaska zdjęcia, dotyka wszystkiego, szturcha dymiącą szczątki. Chwyta za klamkę i bez wysiłku otwiera drzwi od strony kierowcy. Szuka czegoś w środku.

— Zobacz! — woła do Thibauta.

— Uważaj! — przestrzega ją. Sam wyciąga z siedzenia pasażera dymiącą aktówkę i unosi ją w górę. Thibaut widzi na niej literę K. Unosi też coś innego, poskręcane na trzech nogach, jak kolejny dymiący Marsjanin.

— To projektor — tłumaczy.

Pasażer został uwięziony w środku i zmiażdżony; drga w agonii, brudząc krwią swój absurdalny führerowski wąsik. Próbuje coś powiedzieć do kierowcy.

— Morris — dyszy. — Morris! Violette!

Kierowca ma na sobie męski strój, ale to kobieta, szeroka i muskularna, a teraz nieżywa. Krew plami jej gestapowski mundur. Pasażer odwraca głowę i drży, patrząc na zbliżającego się wyrafinowanego trupa.

— Ten ksiądz — mówi Thibaut. — Uciekł.

Wraz ze swoim cywilnym kolegą, wspomagany przez jakieś nieziemskie sztuczki.

— Sam, to był Alesch. Biskup. Ten zdrajca!

Z jeeпа biją obłoki krwawego dymu. Sam wyciąga z wraku dokumenty, jakieś brudne przedmioty, części maszyn.

— Chyba za bardzo się pospieszył. Zostawił za sobą sporo rzeczy.

Wyciąga dymiący pojemnik z rolką filmu.

— Co zrobiliście? — pyta Thibaut. Klęka przy umierającym, który patrzy wielkimi oczami na aktówkę w ręku Sam. — Potraficie kontrolować manify? Na tym polega wasz plan?

Mężczyzna rzezi i próbuje odepchnąć jego ręce, gdy Thibaut przeszukuje mu kieszenie. Wyciąga jakieś papiery.

— Taki jest wasz plan, Erneście? Herr Kundt? — pyta Thibaut. Sam unosi wzrok, słysząc to nazwisko. — Czym jest Fall Rot?

Pasażer krztusi się krwią.

— *Sie kann es nicht stoppen* — mówi.

Nie mogą tego powstrzymać.

Nawet się uśmiecha.

— *Sie eine Prachtexemplar gestellt.*

Sporządzili... Thibaut nie rozumie. Coś.

— Okaz — podpowiada Sam. — Dobry okaz.

— Okaz czego?

Ale mężczyzna umiera.

Rozdział szósty: 1941

Jack Parsons był pijany.

Surrealiści grali w grę, a on patrzył na nich ponuro. Varo narysowała węża owiniętego wokół wózka. Nabazgrała go dosłownie w kilka sekund. Tylko Jack ze swojego miejsca widział, co rysuje.

— Do dzieła! — oznajmiła. Odwróciła rysunek na krótką chwilę i pokazała Lambie, która na szybko narysowała własną wersję. Ona z kolei pokazała ją Lamowi, który pokazał swoją Yvesowi Tanguy i tak dalej. Kolejne odsłony były jak słabnące echa, aż wąż owinięty wokół rydwanu stał się spiralą na placu.

Brzydziła go ta frywolność. Ale z jakiegoś powodu nie mógł przestać patrzeć.

Jego gospodarze mieli też inną zabawę: szeptanie, słuchanie i powtarzanie. Ich gry opierały się na skupieniu uwagi i przypadkowych wariacjach. Fry przypatrywał im się z czułym zainteresowaniem, Miriam z fascynacją. Mary Jayne paliła w przejściu, obejmując Raymonda, który promieniował pogardą.

Z tych gier rodziły się dziwne figury i bezsensowne zdania, ale Parsons czuł, że oddech mu przyspiesza. Czyń swoją wolę.

Surrealiści rysowali i ukrywali swoje rysunki, zaginając krawędź papieru, by je zasłaniała. Podawali te kartki sobie nawzajem, dodając kolejne fragmenty do niewidocznych obrazków. Parsons odetchnął powoli i w tej samej chwili wiatr zagrzechotał obrazem wiszącym na drzewie.

Och, pomyślał, w nagłym olśnieniu, gdy tamci znów podali sobie kartki. Każde z nich narysowało głowę i podało papier komuś innemu, następnie narysowali korpus i znów podali kartki, aby na końcu narysować nogi lub

podstawę. *Och, już rozumiem.*

Zakołysał się na krześle. Teraz rozumiał, co mogło wiązać jego Colquhoun, okultystkę, hermetyczkę, badaczkę nieznanymi ścieżkami z tym ascetycznym, uprzejmym mężczyzną, Bretonem. Dostrzegł związek pomiędzy złotym światem i zwierzętami, i boskimi tajemnicami, i kobietą oddaną sprawie wyzwolenia snów.

Colquhoun patrzyła na niego z przecięcia diagramu Venna.

Może, pomyślał, na przedmieściach tego uciśnionego miasta, tej krawędzi na krawędzi, może właśnie teraz, w pokoju pełnym bezpaństwowych wyrzutków, w kraju, z którego chcieli uciec, może tutaj, grając w te głupie gierki, by utrzyć nosa swoim prześladowcom, masowym mordercom, może ten silnik, który należało zbudować, by wykonać obliczenia, by tchnąć życie w glinianego człowieka, by słowa i liczby zaingerowały w rzeczywistość, może ta maszyna mogłaby czerpać także z czegoś innego. Czegoś, co nie spodobałoby się nazistom.

— Znam taką grę — powiedział. Nikt na niego nie spojrzał.

Pobiegł na górę i wrócił ze swoim mechanizmem. Surrealiści tymczasem rozgrywali kolejną partyjkę. Parsons patrzył, jak rysują, łączył swoje baterijki, mamrocząc słowa mocy.

— Co tam robisz? — spytał Fry, patrząc z zaciekawieniem na ten mechaniczny chaos. — Czy to sztuka?

Rzucił Miriam triumfalne spojrzenie. Surrealiści nadal podawali sobie papierki.

— Tak — odparł Jack. — To rodzaj sztuki.

Przestawił przełączniki, sprawdził rozstaw. Umieścił kryształ, puste rurki i kawałki papieru w strategicznych miejscach.

— Zaczekajcie chwilę — poprosił. — Tylko chwilę. Jeszcze nie rozwijajcie.

Surrealiści spojrzeli na niego lekko zdziwieni, ale spełnili jego prośbę. Jack wstrzymał oddech, skinął głową, a potem postawił odrutowaną drewniano-metalową skrzynkę pośrodku pokoju.

Wszyscy poczuli uderzenie ładunków statycznych. Breton zmarszczył brwi, Lamba się zaśmiała, Varo pokazała zęby. Wszyscy spojrzeli na Jacka.

A on aż się zatchnął, gdy rozwijali swoje kartki, bo już rozumiał, na czym polegała gra, jak działała i co miała odkryć. Artyści wygładzili kartki. To, co otrzymali w swojej niezaplanowanej kolaboracji, przedstawiało niemożliwości.

Figury, które nie wyewoluowały same ani nie zostały zaplanowane. Koagulatory ulotnych, choć wyrazistych pomysłów i możliwości. Bateria w skrzynce stuknęła. Pokój wypełniało coś niewidocznego.

Ich rysunki nie przedstawiały demonów ani ogarów czy innych piekielnych bestii. To były przypadki obiektywne, chimery nowej epoki.

Jack zobaczył postać z głową śpiewającego ptaka, której tułów formował zegar z rozkołysanym wahadłem. Zamiast nóg miała kłęb rybich ogonów, zręcznie nakreślonych tuszem. Naszkicowany pysk niedźwiedzia osadzony na szczycie trumny kroczącej w wielkich butach clowna. Wąsaty mężczyzna, jakby narysowany przez dziecko, z ciałem biuściastej lamparcicy, ukorzenionej jak roślina. Wyrafinowane trupy smakujące młode wino.

Artyści wybuchnęli śmiechem. Gdy bateria wypełniała się energią, igły wskaźników wychyliły się w prawo. Parsons czuł się, jak wypływają z tych głów, z tych rysunków, z całego pokoju, prosto do jego drutów.

Teraz już nie tylko alkohol rozpałał im głowy. Nie tylko wyrafinowane trupy, które narysowali, ani żadna inna gra. Było to poczucie końca, trzask zwalnianej migawki. Zaciskająca się pętla. Ostatnia piosenka.

Znów zagrali, tworząc monstra ze wspólnej podświadomości. Z każdą kolejną rundą robiło się coraz ciemniej. Drzewa za oknem wymachiwały

cienkimi gałązkami, jakby spragnione sztuki. Wydzielały wspomnienia drewna. Parsons czuł, jak treść wiszących na nich obrazów spływa do jego maszyny.

Zamrugał gwałtownie, widząc, że coś przepływa obok niego. Błyski, obecność istot, jakby wziętych prosto z kartek surrealistów, z ich gier. Nikt inny nie uniósł wzroku.

Pokój wypełniał się historią, ruchem, który przypląwał i odpływał. Surrealizm, marksizm, freudyzm, przypadkowość, miejska rewolucja, wyzwolenie i losowość. Wiedza wylewała się z nich wszystkich, pozostawiała ich nadal wiedzącymi i pijanymi tą wiedzą, z opuszczonymi zasłonami.

Hans Bellmer, ukryty pośród wzgórz, zadrżał, a jego lalki i rysunki naładowały baterię. Marc Chagall miał sen i igła drgnęła. Na swojej wysepce Claude Cahun spojrzała gorączkowo na Suzanne Malherbe i obie podzieliły się swoim gniewem, miłością i determinacją. Nic ciągnęła się od nich aż do willi Air-Bel.

Na całym świecie sny i obrazy, prace wszystkich tych mężczyzn i kobiet, wściekłość Simone Yoyotte i zbuntowanych studentów z Martyniki, furia i zachwyty Suzanne i Aimé'ego Césaire, fascynacje Georges'a Heneina, czerwony chaos Artauda, wyobrażenia Braunera, konstrukty Duchampa, Carringtona, Renée Gauthier, Laurence Iché, Maara i Margritte, Étienne Léro, Millera i Oppenheima, Raoula Ubaca i Alice Rahon, Richarda Oelze i Léony Delacourt, Paula Nougé, Paalena, Tzary, Riusa i setek innych kobiet i mężczyzn, o których nikt nigdy nie słyszał i nie usłyszał — wszyscy byli częścią tego ducha, inspiracją, nieopiewanymi adeptami tej żarliwej sztuki, której echa rozchodziły się po Francji. Wszyscy przybyli. Poprzez szkło, prosto do baterii.

Nadeszły też starsze prace renegatów, poematy Aragona, z dawnych

czasów, zanim skapitulował przed człowiekiem ze stali. Herosi z przeszłości natchnęli maszynę martwym tchnieniem. Śpiewak z *Maldorora*, Rigaut, duchy Rimbauda, meandry Vaché, które nigdy nie odeszły i nigdy nie miały odejść, były już na zawsze częścią Francji, płonące jak flary sygnałowe. Wszystkie przybyły, składając się w jedną kolekcję.

Prosto do maszyny.

—

Skrzynka brzęczała jak gniazdo os, poza tym w pokoju panowała cisza. Wszyscy powoli dochodzili do siebie.

Mrugali ze zdumieniem, wszyscy oprócz Raymonda. On gapił się na skrzynkę.

Mary Jayne westchnęła.

— Podobało ci się?

— O, tak — zaśmiał się Parsons, ale potem głos mu zadrzał. — Było świetnie. Dziękuję, że mnie przyjęliście.

Breton zamknął oczy.

— To była znakomita noc — powiedział po francusku.

— Cieszymy się, że przyszedłeś — dodał Varian Fry.

— Ja także. Bardziej niż jestem w stanie wyrazić.

—

Jack nasłuchiwał głosów nocnych ptaków. Leżał na łóżku, skąpany w świetle księżyca, z baterią pełną wydestylowanego surrealizmu. Trzymał w rękach wolność.

Parsons wiedział, jak wziąć substancję jakiejś rzeczy, odtworzyć, spalić i użyć.

Co mogę tym zasilić?, myślał. Zamierzał zbudować maszynę wolności.

Zabiorę to do domu, uznał. Opowiem Von Karmanowi. Zbudujemy nową rakietę, uzbrojoną w to coś. Wysadzimy całą Rzeszę.

Wczesnym rankiem Miriam i Mary Jayne siedziały w ogrodzie, pijąc substytut kawy. Przepełniała je dziwna nieśmiałość, choć nie wiedziały dlaczego. Trącały trawę palcami stóp.

Milczenie przerwał dopiero krzyk Jacka Parsonsa. Spojrzały w górę. Mężczyzna znów krzyknął, bijąc pięścią w ramę okna.

Wbiegły po schodach na piętro i znalazły go rozczochranego, nagiego i kompletnie roztrzęsionego. Przerażony wyrzucał rzeczy z walizki, szukając swojej baterii.

Której tam nie było.

Rozdział siódmy: 1950

Na rogu rue du Faubourg i bulwaru Poissonnière rozbrzmiewa hałaśliwa muzyka. Akordeon, pianino i skrzypce nadają okolicy żydowskiego klimatu. Budynek kina Rex wznosi się na tle ciemnego nieba — szyld jest podziurawiony kulami i wciąż świeci.

— Kto to był? — pyta Thibaut.

— Ten człowiek w Les Deux Magots? Bandyta. Złodziej. Zwykły morderca. To już nie ma znaczenia. Myślałam, że jeśli zdołamy... że jeśli dostanę... że ta skrzynka może otworzyć miasto. Otworzyć bramy i przesłać wiadomość. — Spuszcza wzrok. — Ale nie. S-plozja nadeszła z tej skrzynki i jest teraz tutaj.

— Alesch tam był — dodaje Thibaut. Sam nie komentuje. — I ktoś jeszcze.

Kobieta nadal milczy.

— Co tu się dzieje?

— Nie wiem. Naprawdę. — Unosi w górę nadpalone dokumenty i kasetę z filmem. — Wspominają tu o Fall Rot, lecz bardzo mętnie. Wszystko to szyfry i aluzje, ale chyba mówią tu o diabłach. Nie wiem dlaczego. To był Kundt. Ich zadaniem było polowanie na artystów, a po wybuchu zaczęli też polować na sztukę. Stali się specjalistami od manif. — Patrzy na Thibauta. — Mówiłam ci, że naziści robią się coraz lepsi w ich tresowaniu. A teraz komisja K pracuje wspólnie z demonologami. Z kościołem Alescha.

Otwiera nadpaloną teczkę. Porusza ustami, czytając na wpół urwane zdania.

— Mówią, że diabły powinny być aspektem czegoś. Wspominają też

o jakiejś rzeczy, którą chcą zmanifestować, ale nie są w stanie, potrzebują czegoś więcej... — Waha się. — Thibaut, oni coś knują.

Pociąg w brodzie wyrafinowanego trupa gwizdże. To kino jest enklawą Wolnej Francji i ich sojuszników, nie Main à plume, a Thibaut bezgłośnie prosi manifa, by zachowywał się cicho. Za każdym razem, gdy porozumiewa się z wyrafinowanym trupem — bo to właśnie robi — nie słyszy w odpowiedzi nic poza szumem w uszach.

— Stój tu — mówi i pociąga za ramię. Wyrafinowany trup opada na chodnik na skrzyżowaniu i staje się częścią architektury.

—

Strażnicy Rex przeszukują ich i nieporadnie przepytują, po czym pozwalają wejść, prosto w zgiełk, ciepło, zapach alkoholu, brudu i potu. Rzędy kikutów krzeseł ciągną się w dół sali. Ludzie tańczą albo patrzą na wielki ekran z na wpół uniesionego parkietu. Widać na nim strzępy obrazów, monochromatyczne światło. Ktoś w budce operatora składa te kawałki, chwytając to, co leży najbliżej, pokazując kilka sekund filmu, a potem zmieniając taśmę. Melodramaty, stare, nieme filmy, komedie, wiadomości, filmy dokumentalne, materiały archiwalne.

Surrealizm dla mas, myśli Thibaut.

Ściąga czapkę i wygładza zniszczoną piżamę. Nikt na nich nie patrzy. Jego przynależność organizacyjna nie byłaby tu mile widziana, ale nawet najżarliwsi żołnierze Wolnej Francji są skłonni zrozumieć użycie tak potężnego artefaktu, nawet surrealistycznego. Wyniosłe postacie siedzą w cieniu w przedwojennych ubraniach. Czarnoskóra kobieta gra w szachy sama z sobą. Spod stóp tancerzy unosi się kurz.

Znoszone mundury Wolnej Francji, brudne, robocze ubrania innych partyzantów, ale po drobnych znakach można odróżnić, czy ktoś jest z Francs-Tireurs et Partisans, Groupe Manouchian, Confrérie Notre-Dame

Armée Juive czy Ceux de la Libération. Ten chudy intelektualista pewnie jest z Groupe du musée de l'Homme, a może to zwiadowca z Société de Gévaudan, legendarnego ośrodka ruchu oporu w sanatorium w Lozère⁶⁴. Może są tu nawet skrajni prawicowcy, lojalni wobec Vichy, choć antynazistowscy. Ale żadnych Main à plume.

Te ulice zostaną zbombardowane. A może rozdeptane przez kolejną wściekłą rzeźbę albo zawleczone do Piekła przez niespokojne demony. Do tego czasu miały się tu odbywać tańce i pijatyki, bimber i proste koktajle zmieszane z pozostałego alkoholu. Za barem wiszą przypięte listy dłużników; nikt nie jest pewien, jak obecnie powinny działać pieniądze. Wszędzie indziej wiszą plakaty i pamiątki po zwycięstwach ruchu oporu. Na jednej ze ścian znajdują się resztki swastyki służące do rytualnej dewastacji.

— Patrz na ekran — szepcze Sam.

— Nie powinniśmy tu być.

— Więc zrobimy to szybko. Musimy mieć pewność. Masz może pod ręką jakiś inny projektor?

Wbiega na górę po schodach. Thibaut patrzy na film ponad głowami tancerzy i po chwili widzi, jak ekran drga i jaśnieje. Wyobraża sobie, jak Sam odpycha tego, kto stoi na górze. Przykłada mu pistolet do głowy. Odbiera mu film.

Ekran ciemnieje, potem znów się rozjaśnia.

Teraz widać na nim rozpierzchające się samoloty. Ciemny kształt w wielkiej sali. Światło słońca wpadające przez wielkie okno. Potem przeskok i nagle widać inny korytarz. Film jest nadpalony, ledwie widać zarysy. Wnętrze pustego pokoju. Bez żadnego przejścia w pokoju nagle pojawia się istota. Mężczyzna w płaszczu spogląda przez szachownicę⁶⁵.

W Rex gra skoczny jazz.

Postać na ekranie może przedstawiać mężczyznę trzymającego

szachownicę przed twarzą, widać nawet dłoń na krawędzi, ale w jego bezruchu jest coś charakterystycznego. Thibaut wie, że patrzy na manifa.

Film nie ma dźwięku. Seria pocisków trafia człowieka z planszą. Thibaut krzyczy.

Postać nawet się nie zatacza, ale na kurtce i marynarce wykwita ciemna plama. Krew kapie z szachownicy.

Muzyka się rwie. Ludzie zaczynają spoglądać na ekran. Teraz widać, jak żołnierz w mundurze Wehrmachtu odwraca się powoli do obiektywu w innym pokoju, oświetlonym słońcem, pełnym wirującego kurzu.

Do środka wchodzi postać w bieli i szturcha go ręką. Machina startuje. Na ścianie wisi krucyfiks. Żołnierz wciąż się odwraca, a w chwili, gdy powinna ukazać się jego twarz, następuje płynne przejście, a on znów patrzy w inną stronę, znów jest odwrócony.

— To bezimienny żołnierz⁶⁶! — woła jakaś kobieta. — Raz go widziałam!

Pozbawiony twarzy niemiecki oficer w brudnym mundurze krąży po mieście, rzucając monetami, na których wypisane są slogany. Waluta ostemplowana buntem. Teraz, na ekranie, widać go, jak stoi na platformie. Wciąż patrzy w inną stronę. Nie da się zobaczyć jego twarzy. Wokół szyi ma zaciśniętą pętlę.

Pod jego stopami otwiera się zapadnia, a żołnierz spada z przerażającym trzaskiem. Tłum krzyczy.

Ciało kołysze się na sznurze. Nawet po śmierci twarz manifa ani na chwilę nie zwraca się do kamery.

Ludzie wstają. Na ekranie stoi teraz ksiądz, ale nie Alesch. Mgnienie ciemnej sali, jakiś ogromny kształt.

— To Drancy — szepcze ktoś.

Wielka, złożona istota przykuta do stołu za różne części ciała. Na jednym końcu stoi maszyna do szycia, na drugim leży parasol. Pomiedzy nimi,

migocząc w czerni i bieli, leży wyrafinowany trup. Trzeci, jakiego Thibaut w życiu widział. W miejscu głowy znajduje się wielki pajak, długie kończyny drgają ponad ciałem eleganckiego mężczyzny. Zamiast nóg ma amfore. Cały manif jest opleciony drutami.

W pokoju zjawiają się dwaj mężczyźni, w fartuchach i maskach chirurgicznych. Niosą piłę i maszynkę do mięsa.

— Nie! — krzyczy Thibaut, ale nie może wydać rozkazu w przeszłość.

Mężczyźni bezdźwięcznie uruchamiają narzędzia. Wyrafinowany trup spogląda skupiskiem owadzych oczu. Pajęcza twarz usiłuje uciekać, ale więzy, czymkolwiek są, trzymają mocno. Mężczyźni opuszczają narzędzia.

Teraz cała publiczność w Rex krzyczy. Ostrza maszyn dotykają komponentów istoty. Z wnętrza tryska jakaś ciecz, zbyt jasna, zbyt gęsta na krew. Rozbierają manifa po kawałku.

Przedzierają się przez jego niemożliwe ciało. Wyrafinowany trup goi się i naprawia swoje tkanki, sypiąc trociny lub strzępki bawełny, a oni tną szybciej, walcząc z oporną, surrealistyczną materią. Piły znów opadają.

A potem nagle manif przestaje istnieć. Zmienia się w trzy codzienne, nieznaczące obiekty. Nieożywione resztki.

Ciemno. Jasno. Kolejni księża, naukowcy. Ktoś niesie części kolejnego manifa. Jakiś człowiek kiwa głową do kamery — nie ma wąsów, ale Thibaut rozpoznaje ciemnowłosego mężczyznę, który uciekł razem z Aleschem.

Na ekranie jakby pęka pęcherzyk, a mężczyzna znika. Przez chwilę widać tylko światło. A potem przez moment wypełnia go inna postać, olbrzymi, rozkołysany cień ze straszliwą twarzą, zmierzający wprost do kamery.

—

W Rex wybucha panika. Obraz zastyga, widać tylko oczy jak miski pełne cieni, usta jak dziura z wystającymi kłami.

— To nie manif — mówi cicho Sam, która znów stoi obok. Thibaut aż

podskakuje. Nie słyszał, jak schodziła z góry. — To diabeł. Ale coś jest z nim nie tak.

— Skąd wiesz?

— Wiem. — Oddaje mu kilka ścinków taśmy, a on unosi je do światła i widzi maleńkie wyrafinowane trupy rozdarte na komponenty⁶⁷, krwawiące z macek u stóp, kolan wygiętych do tyłu, albo skręconych jak szal, korpusy jak koncentryczne kręgi z rękami niczym noże do masła, z głowami jak sierp i młot, albo hełm rycerza. Para zakrwawionych całujących się kochanków. Wyrafinowane egzekucje.

— Wiemy, że uczą się kontrolować manify — mówi. Patrzą na siebie, podczas gdy pozostali klienci Rex bełkoczą w przerażeniu. — Ten bicz na wilk-stoły. Ta kobieta na Vélo. Nie była po ich stronie, ale musieli znać swoje techniki. A teraz wykorzystują manify do składania w ofierze.

— Poza tym są jeszcze diabły — dodaje. — Niemcy coś szykują. Widziałeś tego człowieka? Na samym końcu? Tego z jeepa?

— Może to właśnie jest ten cały Wolfgang Gerhard. Ten od projektu Fall Rot.

— Może przybrał taki pseudonim. Ale to nie jest jego prawdziwe imię. Wiem, bo go rozpoznałam. Nazywa się Josef Mengele.

—

— Skąd to wszystko wiesz? — pyta w końcu Thibaut. Jest wściekły na siebie, że w ogóle zadaje takie pytania. — Co to wszystko znaczy?

Sam mówi szybko, bo harmider wokół narasta. Członkowie Wolnej Francji i wszyscy pozostali przekrzykują się nawzajem.

— To znaczy, że mają plan. Mengele to specjalista. Dotąd eksperymentował na ludziach, ale teraz przybył tutaj, do Paryża, pracować z Aleschem. Mengele nie jest religijny, więc najwyraźniej potrzebują specjalisty od diabłów. Współpracują też z komisją K. Manify i diabły,

i zmiany form życia.

— To jest Fall Rot?

— Musimy stąd wyjść — ponagla Sam. — Lada chwila zamkną drzwi i zaczną planować jakąś idiotyczną, ryzykancką akcję.

— A zatem... — Thibaut zmusza się, żeby to powiedzieć. — Przyprawdź pomoc.

Spogląda kobiecie w oczy. Widzi, że Sam zastanawia się, jak na to odpowiedzieć. Ich głosy giną w ogólnym zgiełku.

— No, dalej — naciska. — Przestań się wygłupiać. Po prostu sprowadź pomoc.

— Nie mogę.

— Myślisz, że cię nie rozpracowałem? Ten aparat to nie aparat. Jakim cudem tak dobrze się na tym wszystkim znasz? Skąd tyle wiesz o diabłach? Bo lubiłaś wiedźmy, kiedy byłaś mała? Bez żartów. Jesteś z OSS.

Kobieta jest bardzo spokojna. Jeśli rzeczywiście jest amerykańską agentką, czyni z niej to sojuszniczkę Wolnej Francji, a zatem są wrogami. A jednak wciąż tu stoją. Ona czegoś chce, może potrzebuje, a Thibaut być może potrzebuje jej.

— Jestem z sił specjalnych, tak — przyznaje po dłuższej chwili. — Ten aparat to naprawdę aparat. Ale ma także inne zastosowania.

— Okłamałaś mnie.

— Oczywiście.

Thibaut mruga.

— Ta kobieta na Vélo była Brytyjką, agentką SOE. Ona też próbowała rozpracować Fall Rot?

— Jest nas tu wielu — odpowiada Sam. — Musimy się dowiedzieć, na czym polega ten program. Nie możemy pozwolić go ukończyć.

Thibaut odwraca się od niej, zde gustowany, a wtedy ona syczy.

Dosłownie, syczy przez zęby jak zwierzę.

— Ani mi się waż! Sam chciałeś ze mną iść!

— A co z tą książką? — pyta, chociaż sam ledwie wierzy, że to mówi. Czeka na śmiech.

— A co ma być? — pyta kobieta. — Zdjęcia są prawdziwe. Książka też będzie. Organizujemy coś, co nazywa się Kongresem Wolności Kulturowej. Może chciałbyś dołączyć? — W jej głosie pobrzmiwa chłodna uprzejmość.

— Jesteś moim wrogiem...

— Tak.

Jest szpiegiem i rozumie, o co mu chodzi. Wie dokładnie, jakimi są przeciwnościami.

Wokół nich zbierają się frakcje.

— Słyszałeś, co powiedziałam! — ponagla go Sam. — Zaraz uknują tu jakiś durny plan i zaatakują miejscowego Gruppenführera, co przynajmniej będzie niezłe dla odwrócenia uwagi, ale jeśli tu zostaniemy, wezmą nas na spytki i dowiedzą się, że jesteś z Main à plume. I na pewno im się to nie spodoba. Uwierz mi, że jesteś dla mnie wart o wiele, wiele więcej niż którykolwiek z nich. Możesz mnie nienawidzić tak bardzo, jak tylko chcesz, ty i twój Trocki, i ten twój papież Breton, wszyscy możecie sobie obalać z hukiem kapitalizm, jak już się to wszystko skończy. Ale jeśli ten Fall Rot się stanie, to będzie koniec dla nas obojga.

— Wezwij więc pomoc, szpiegu. — Thibaut powinien ją teraz zabić, ale jest pewien, że gdyby choć spróbował, ona zabiłaby go pierwsza. Znów spogląda na ekran.

— Nad całym miastem jest jakiś klosz, który wytłumia. Nie mogę się połączyć, przez większość czasu nikt nie może. Coś się dzieje, a ja muszę się dowiedzieć, co konkretnie. Chryste, przecież masz ten swój instynkt. Chcesz mi powiedzieć, że tego nie czujesz? A nawet gdybym mogła wezwać pomoc,

myślisz, że to by coś dało? Jeśli ktoś niesie bombę, to nie rozbijasz jej, wysadzając go w powietrze. Wiesz dlaczego budynki w Drancy są ustawione w kształt podkowy? Mają skupiać energię. Złożyli tam mnóstwo ofiar.

— Alesch i Mengele próbują coś wywołać — dodaje po chwili. — Potrzebny nam skalpel, a nie obrzyn.

Zgiełk i furia tłumu przybierają na sile. Thibaut wyobraża sobie różne szalone plany, które lada chwila mają się zrealizować za granicą okręgu, na okupowanym terenie.

— Nie jestem skalpelem.

— Jasne, że nie. Ale z pewnością przyda mi się to.

Wskazuje głową drzwi, za którymi czeka wyrafinowany trup.

— To coś mnie nie lubi. Poza tym sam chcesz ze mną pójść. Chcesz stąd wyjść, ale nie zamierzasz zdradzić swojego miasta. To właśnie będzie twoja szansa, żeby przysłużyć się miastu, wychodząc z niego. Może więc nie traćmy więcej czasu? I nie, nie mogę wezwać kawalerii. — Sam uderza się w pierś i prostuje na całą wysokość. Thibaut aż się cofa na widok jej miny. — Bo to ja nią jestem. Po to mnie wysłano

Rozdział ósmy: 1941

Raymond Couraud śmierdział potem. Krzywił się niemiłosiernie w upale, co jakiś czas wycierając twarz koszulą. Szedł przez teren, który na pierwszy rzut oka wyglądał całkiem niegroźnie: polne dróżki i miedze, pola i łąki, małe wioski, kościoły, mamrotane pod nosem pozdrowienia miejscowych. Ale nie była to cała prawda. W okolicy grasowały oddziały milicji z Vichy. Nieopodal biegła granica okupowanych terenów, gdzie patrole milicji ustępowały miejsca niemieckiemu wojsku.

Raymond nie miał pojęcia, co właściwie zabrał z pokoju Parsonsa, ale wiedział, że to kontrabanda, coś, co nie miało miejsca na tym świecie. Czuł, że skrzynka drży mu w rękach, skóra go mrowiła i oczy wysychały. Kradzież nie była trudna — uchylił drzwi i przez chwilę nasłuchiwał chrapania Amerykanina. Przed świtem już go nie było. Raymond rzucił całusa za siebie. Wybacz, Mary Jayne. Zawsze umiał rozpoznać coś, co było dużo warte. Umiał rozpoznać cenny towar.

Idąc, mijał kościoły, gdzie kurki na dachu kręciły się zbyt szybko. W korze jednego z drzew tkwił martwy ptak. Raymond potrafił rozpoznać ofiarę. Jednej nocy usłyszał coś, co brzmiało prawie jak ryk krowy. Ale w tym przeciągłym ryczeniu była jakaś ironia. Coś bardzo dobrze naśladowało bydło. We Francji było teraz wiele rzeczy, których nie chciał rozumieć.

Jego plan był prosty — zanieść to coś do Paryża i sprzedać komuś, kto nienawidził nazistów. Sam zamierzał później wyjechać do Wielkiej Brytanii, za uzyskane pieniądze kupić sobie bilet i wstąpić do Wolnej Francji. Postanowił, że zabije dużo Niemców i zrobi to jako bogaty człowiek.

W Paryżu powitały go swastyki i Niemcy. Raymond minął kilku oficerów rozmawiających przy kawiarnianym stoliku, jakby był zwykłym przechodniem. Wymijając rowery, przeszedł pod Łukiem Triumfalnym; zobaczył kobietę flirtującą z młodym Niemcem i wyobrażał sobie, że strzela do nich obojga. Najpierw do mężczyzny, prosto w głowę, potem jeszcze kilka razy w korpus, żeby zwłoki aż podskoczyły, a ta zdradziecka lafirynda krzyknęła z przerażenia.

Niewiele miejsc było dla niego groźniejszych niż Paryż, ale Raymond się nie bał. Wynajął sobie tani pokój przy Tuileryach. Pewnego upalnego dnia wszedł do apteki przy alei des Ternes i czekał, z dala od lady, wpatrzony w pakieciki i proszki, aż w końcu sklep opustoszał. Wtedy odwrócił się do sprzedawcy.

— O, Boże! — krzyknął aptekarz. — Zabójca!

— Spokojnie, Claude. Potrzebne mi tylko kontakty.

— Nie mam! Teraz to zbyt ryzykowne...

— Wybacz, ale ci nie wierzę. A nawet jeśli to prawda, to potrzebuję, żebyś je odnowił i rozpuścił wici. Mam coś cennego do sprzedania. Będę czekał w Les Deux Magots. Jeśli ktoś przyjdzie od ciebie, dostaniesz zwyczajowy procent.

Na twarzy dawnego informatora pojawił się chciwy uśmieszek.

— Co to takiego?

— Nie wiem.

— Posłuchaj...

— Naprawdę nie wiem. Ale słyszałeś plotki. — Spojrzał mężczyźnie w oczy. — Byłem na południu, stary. Wiesz, jak tam jest? W Paryżu jest niezły rynek na ciekawostki. Nie udawajmy głupich. Odkąd zjawili się ci dranie, dzieją się takie rzeczy... — Wzruszył ramionami.

Od czasu przybycia nazistów. Od czasu ich eksperymentów z czarnym

słońcem, odkąd to, co teraz powstawało, zaczęło powstawać. Był duży rynek książek i przedmiotów, które nie zachowywały się jak przedmioty. Raymond nie do końca w to wierzył, póki nie zobaczył baterii Parsonsa.

— Rozpuść wici — powtórzył.

Przez dwa dni nikt nie przyszedł, ale Raymond był cierpliwy. Siedział w kawiarni ze skrzynką zapakowaną w torbę. Dowiadywał się, kim są miejscowi przestępcy, kelnerzy i artyści. Bojownicy ruchu oporu. Czy mieszkańcy willi teraz go przeklinali? Pewnie tak. Niechętnie pomyślał o Mary Jayne.

Trzeciego dnia potężny mężczyzna w malarskim kitlu usiadł naprzeciwko i zapytał — ile. Raymond odpowiedział, a mężczyzna odszedł bez słowa.

Wrócił kolejnego wieczoru, zgodnie z przewidywaniami. Raymond specjalnie poszedł na zaplecze, przez paciorkową zasłonę, i włożył kelnerowi banknot do kieszeni, żeby dał mu spokój. Czekał w kącie kuchni, patrząc, jak rondle kołyszą się na hakach. Tam znalazł go klient.

Raymond otworzył torbę, gdzie, owinięte w gazety, tkwiło urządzenie Parsonsa. Mężczyzna otworzył szerzej oczy.

— Mogę dotknąć? — spytał. Raymond potrząsnął głową. Kucharze udawali, że nic nie słyszą.

— Chyba widzisz, że to coś ważnego. Ja nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Chcesz to czy nie?

— Chcę. Można negocjować?

Oczywiście, zawsze było można, tak działał ten handel. Ale w głosie mężczyzny, w jego wahaniu, przeciąganiu słów, jakieś ledwie wyczuwalne napięcie sprawiło, że Raymond odpowiedział:

— Nie.

Z wnętrza kawiarni dobiegł rumor. Raymond zarzucił torbę na ramię, a mężczyzna spojrział za siebie. Zabójca wiedział już, że popełnił błąd.

Zastanawiał się, czy to Claude go wydał, gdy wysoki oficer w czarnym skórzanym płaszczu odsunął zasłonę i wszedł do kuchni.

Raymond pobiegł.

Ktoś krzyknął. Kelnerzy i kucharze zaczęli uciekać. Raymond chwycił swojego niedoszłego kupca za włosy i wciągnął za szafkę z przyprawami.

Słyszał krzyki po niemiecku i francusku. Mężczyzna w jego uścisku zaczął się szarpać, więc Raymond uderzył go w twarz i przycisnął pistolet do skroni. Szafka trzasnęła. Raymond „Zabójca” Couraud wyjrzał ze swojej kryjówki, spoglądając na SS-manów. Jeden był w cywilu. Uniesione dłonie lśniły.

— Nie wyjdiesz stąd! — zawołał ktoś.

Raymond wypchnął przed siebie zakładnika, wciskając mu lufę w tył głowy.

— Tylko strzelcie, a traficie swojego chłoptasia!

— Nie chcemy nikogo trafiać. Interesuje nas tylko to, co sprzedajesz.

Mężczyzna w płaszczu promieniał światłem. Raymond zasłonił oczy. Cała sylwetka była teraz jak wycięta z koronki; żyły błyszczące pod skórą. Zamruczał coś i na końcach palców wykwitły mu sople. Partacz czerpiący moc.

Zabójca strzelił. Jeden z SS-manów padł, a pozostali odpowiedzieli ogniem; pociski trafiły w ścianę i w zakładnika. Nagle zrobiło się potwornie zimno i wszystko działo się za szybko. Zabójca wystrzelił, nie mierząc, mając nadzieję, że na krótkim dystansie uda mu się trafić świetlistego człowieka kończącego swoją tandetną inwokację.

Skrzynka brzęczała teraz tak głośno, że cała torba zdawała się śpiewać. Zadrzała. Z boku coś wzbilo się w górę, a potem z głuchym stukotem wylądowało w środku, zamortyzowane przez baterię jak dojrzałe jabłko.

— *Nein!* — wrzasnął ktoś. — *Nicht...*

To był granat. Raymond sięgnął do torby.

Z rąk bieda-maga wystrzeliły strumienie energii, okultystyczne światło, moc, słowa, wszystko zmieszało się z brzęczeniem skrzynki i eksplozją granatu i w tym wybuchu, i płonącym prochu, i hermetycznym zapłonie wszystkiego, co kryło się w baterii, machina pełna surrealistycznych snów nagle zadziałała.

Skrzynka Jacka Parsonsa stała się głowicą bojową.

Nic nie było w stanie jej zatrzymać.

Wybuch, przyspieszenie, destylat, duch, historia, uzbrojona dusza konwulsyjnego piękna przekroczyła masę krytyczną.

Rozwinęła skrzydła.

Rozległ się krzyk, skamlenie, szum owadzich skrzydeł, bicie dzwonu, wiatr, który ogarnął całe miasto, eksplozja, strumień, supernowa, wiele megaton wyobraźni, losowości i marzeń. Powiał wiatr. Arnaud, Lefebvre, Brassai, Agar, Malkine, Aline Gagnaire, Desnosa, Valentine Hugo, Masson, Allan-Dastros, Itkine, Kiki, Rius, Boumeester i Breton, i wszyscy pozostali na świecie, i wszystko, co kochali. I co w życiu wymarzyli. Niewyobrażalna burza, rekonfiguracja, fala uderzeniowa szalonej miłości, płonące uderzenie nieświadomości.

Paryż upadł, a może się wzniósł, albo upadł, albo się wzniósł, albo upadł.

Rozdział dziewiąty: 1950

Granica starego miasta jest odgradzona drutem i posterunkami strażniczymi.

— Nie ma siły, żebyśmy wyszli stąd górą — mówi Sam.

Ale Mairie des Lilas, ostatnia stacja metra, znajduje się o kilka przecznic na wschód za obrębem bariery. Na zewnątrz, za dwudziestoma odciętymi okręgami.

Sam schodzi po schodach na styku dziewiętnastego i dwudziestego, w złą ciemność, a Thibaut podąża za nią. Idą tunelami, do których nie należy nigdy wchodzić. Mijają pociągi, które stanęły dwadzieścia lat temu. Poprzez podmiasto.

Thibaut oddycha płytko, ostrożnie. Drżą mu ręce. Bariera wynurza się z mroku przed nimi. Resztki stanowiska opuszczonego w ciągu pierwszych kilku dni po wybuchu, gdy Niemcy uznali, że drapieżniki grasujące pod chodnikami wystarczą za dostateczne zabezpieczenie.

Sam ściska w rękach aparat i wpatruje się w ciemność. Za nimi rozbrzmiewają kroki wyrafinowanego trupa.

Thibaut rozgląda się w poszukiwaniu potworów. Wypatruje pociągów, które siadają na tylnych łapach i opowiadają historie.

Coś przemyka w ciemności, poza kręgiem latarki. Sam wykrzykuje jakiś rozkaz, straszliwym, dudniącym głosem, w języku, którego Thibaut nie rozpoznaje, a stwór skrzeczy i umyka. Thibaut strzela w kierunku głosu.

To niewielki diabeł, wygląda jak skurczony człowieczek z końską głową. Głos Sam i pociski Thibauta przebijają jego słabą magię.

Przyszedłem tu, terkocze jego głos. By wrócić do domu. By spróbować

wrócić do domu, ćśśś, przyszedłem tu.

To niewielkie demonobójstwo jest jednym z niewielu koniecznych. Thibaut nie może w to uwierzyć, gdy w końcu, drżąc ze wstrętu, wychodzą na powietrze, z dala od starego Paryża i światło zalewa mu oczy.

—

Już od dawna nie oddychał powietrzem spoza dwudziestu okręgów. Pachnie architekturą. Otwiera oczy i widzi dach budynku w Drancy. Czeką na sygnał od Sam.

Ta strefa dawno została ewakuowana, w deszczu bomb. Jest o wiele mniej dotknięta manifestacjami niż ulice starego Paryża, ale bardziej zniszczona. Zwykła, codzienna ruina.

Dotąd poruszali się szybko, ostrożnie i bezgłośnie. Gorączkowy pośpiech Thibauta udzielił się wyrafinowanemu trupowi, który złożył im trochę przestrzeni i pokonali drogę do Drancy szybciej, niż powinni. Teraz słońce wędruje w górę. Thibaut i Sam patrzą na pusty korytarz ciągnący się w dole, pod pękniętym świetlikiem.

— Mówiłaś, że już kiedyś widziałas brekermana — mówi Thibaut. — Kiedy?

Sam zerka na niego, a potem znów spogląda poprzez szkło.

— Czemu ja? — naciska Thibaut. — Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś?

— To ty przyszedłeś ze mną — odparowuje ona. — I dobrze się stało, bo z tobą przyszło to coś. — Patrzy na wyrafinowanego trupa, który stoi nieruchomo jak komin na skraju dachu.

— Wykorzystałaś mnie, żeby załatwić sobie własnego manifa? I po to mnie szukałaś?

— To ty mnie znalazłeś, wtedy w lesie.

— Nie wiem jak, ale to ty mnie znalazłaś.

— Chyba masz o sobie za duże mniemanie. — Sam kładzie ręce na

dachówkach. Gdzieś w głębi budynku zrywa się wiatr. — Chcesz znać prawdę? Prawda jest taka, że gdybym mogła cię wytropić, to bym to zrobiła. Potrzebowałam kogoś, kto zna się na manifach. Potrzebowałam manifa. Wtedy po prostu mnie ścigano, a ty przyszedłeś mi z pomocą. Jesteś surrealistą. Potrafisz wykorzystać przypadek obiektywny. Chciałeś się dowiedzieć, czym jest Fall Rot. Chciałeś wiedzieć, co się dzieje. No cóż, Paryż cię usłyszał, Thibaucie. To ty znalazłeś mnie.

Krzywi się z wysiłku, a wiatr w budynku wciąż się wzmaga.

— Co ty robisz? — pyta Thibaut.

— Myślisz, że OSS zdołałoby nas wydostać z Rex? — pyta kobieta przez zaciśnięte zęby. — Jezu, tu jest wyjątkowo silne! Myślisz, że Amerykanie zdołaliby nas przeprowadzić przez metro?

Ręce latają jej we wszystkie strony.

Thibaut przypomina sobie wiatr rozwiewający upiorne wyziewy przy moście. Aparat wisi na szyi kobiety, ale teraz nie wibruje, ścięgni występują jej na szyi, białka oczu ciemnieją. Cokolwiek dzieje się w tym budynku, nie wydobywa się z aparatu, ale z niej.

— Chciałeś, żebym z tobą poszedł, bo ten stwór mnie słucha — mówi w końcu Thibaut. — Bo dzięki niemu zdołałem wejść do kawiarni.

— Nie lubi mnie — dyszy z trudem kobieta. — Pewnie coś wyczuwa. Tak, jestem szpiegiem, ale nie z OSS. To ty tak twierdziłeś. Nie szpieguję dla Amerykanów ani dla Brytyjczyków. Ani dla Francuzów, ani Kanadyjczyków, ani dla żadnego innego kraju. — Wciska ręce w dach tak mocno, że zdają się wtapiać w niego na płask. W środku rozbrzmiewa uderzenie. Żołnierze wybiegają na podwórko.

— Nigdy nie zrezygnowałam z zainteresowania okultyzmem, o którym ci opowiadałam wcześniej. Chyba już wiesz, o czym mówię. Przyglądałeś mi się od dawna. A teraz nie masz dokąd odejść. Tak, jesteś moim wrogiem, ale

naziści też są moimi wrogami i to o wiele gorszymi. Mamy wspólnego wroga. Naziści i diabły nie współpracują za dobrze. Muszą to robić, są na to skazani, bo istnieją pewne pakt, czy im się to podoba, czy nie. Tak właśnie działa magia. A S-plozja zamknęła bramy. Bardzo chętnie, jak to określiłeś, zadzwoniłabym po posiłki, ale drogi są odcięte, więc moi pracodawcy wysłali mnie. Ponieważ pochodzę stąd, nie jestem całkiem uwięziona. I znam ten świat lepiej niż oni.

Odrywa jedną dłoń od dachu i widać, że od dołu pokryta jest lodem i mrokiem. Wykonują czarną operację w naprawdę głębokiej konspiracji — Jestem podwójną agentką. Mam papiery z OSS, ale to tylko kamuflaż. Pracuję dla agencji potocznie zwanej Złym Szpikiem. Ani ty, ani ja nie zdołalibyśmy wymówić jej prawdziwej nazwy, nie naszymi ustami. To tajne służby podziemia. Jestem szpiegiem Piekła.

—

Thibaut i Sam pokonują zadymiony korytarz, idąc śladem wyrafinowanego trupa. Młodzi niemieccy żołnierze unoszą broń na ich widok.

Sam powala dwóch strzałami wiedźmiej magii, Thibaut trafia trzeciego źle wycelowaną strugą pocisków. Serce mu drży. Manif zdejmuje kolejnego prawdziwie surrealistycznym atakiem. Mężczyzna, na którego patrzy, nagle siada na podłodze, rozpina koszulę, patrzy na swoją pierś, która zmieniła się teraz w klatkę wściekłych wron, i nieruchomieje.

Ona pracuje dla Piekła... Thibaut odkrywa, że jest bardziej rozbawiony niż wściekły. Czyżby żywił mniejszą pogardę dla piekieł niż dla imperialistów? Bardzo niewiele diabłów rzeczywiście chce być w Paryżu. Słuchają nazistów z najwyższą niechęcią, jeśli w ogóle to robią.

— Nie jesteś jedną z nich — mówi do Sam, idąc za nią korytarzem. Nie pyta, dlaczego w ogóle zdecydowała się służyć tym piekielnym mocom.

— Piekło nie zaryzykuje otwartej wojny z Niemcami — odpowiada ona.

Wychyla się zza rogu i przyzywa Thibauta gestem. — Ludzkiego agenta zawsze można się wyprzeć. Coś się dzieje, ale nie wiemy co. Nawet poza odciętą strefą są zaklęcia, których nie możemy przejrzeć.

— Co robiłaś w mieście? Czemu nie przyszłaś od razu tutaj?

— Z powodu Les Deux Magots. Musieliśmy wydostać to, co tam było. Pewien bufon, który uważał, że jest jednym z nas, rozpętał tę całą awanturę w czterdziestym pierwszym. Jack Parsons, Amerykanin. Idiota. A dokończył to jeden złodziej, Couraud. Myśleliśmy, że machina wciąż może być kluczem do wszystkiego. — Potrząsa głową.

— Kiedy poprzednio widziałaś brekermana? — Thibaut zatrzymuje Sam, łapiąc ją za ramię. Zmusza ją, by spojrzała mu w twarz. — Ta głowa. Na twoim filmie. I zdjęcie tej olbrzymiej ręki. I słoń Celebes...

— Chryste — mówi kobieta po angielsku. — Zabierz ode mnie tę rękę. Widziałam — dodaje powoli — tego brekermana, który zabił twoich nauczycieli. Zdjęcie zostało zrobione po tej masakrze.

— Byłaś tam?

Thibaut wie teraz, co zabiło Iché i pozostałych, w jakiej postaci nadszedł atak. Kroczący, marmurowy posąg, wtedy jeszcze cały. Krew krąży mu szybciej.

— Co mu się stało?

— Temu posągowi? — Wzrok Sam jest spokojny. — Celebes⁶⁸. Jeden z waszych ludzi, ostatni z pozostałych przy życiu, musiał go przywołać albo ściągnąć jego uwagę. Nadbiegł i rzucił się do walki. Tyle że... za późno. Ale rozszczepił tego brekermana. Czy to jakaś pociecha? Widziałeś, jak wyglądał.

Przez chwilę Thibaut próbuje to sobie wyobrazić. Manif w kształcie słonia, otoczony strzępami wirującego mroku, burzący ściany, depczący ruiny czterema przysadzistymi kończynami. Dający potężne susy, wymachujący

trąbą, furia krusząca nazistowski marmur.

— Co tam robiłaś?

— To się nie mogło udać — odpowiada Sam i w jej głosie prawie słyhać smutek. — Naziści o wszystkim wiedzieli. Brekerman już na nich czekał. Zinfiltrowali waszą komórkę. To była zasadzka.

— Ale skąd o tym wiedziałaś?

Przez chwilę nie odpowiada.

— Gdy byłam w ósmym okręgu. W ich biurach. Pytałeś, jakie zdjęcia zrobiłam, że tak mnie ścigali. Cóż — wzrusza ramionami. — Chyba podejrzewali, że wiem więcej, niż wiedziałam, ale przejrzałam ich plany.

Thibaut czuje, że oddech przyspiesza mu coraz bardziej.

— Plany kontrataku? Czemu nic nie powiedziałaś? Powinnaś była ich ostrzec! — Podnosi głos aż do krzyku. — Próbowалаś powiedzieć komuś z Main à plume, co nadchodzi!

— Nie wiedziałam, co nadchodzi. Wiedziałam tylko, że coś. — Sam wciąż jest spokojna. — O to właśnie chodziło. Poza tym nie miałam czasu, by kogokolwiek ostrzec.

Ile razy powtarzała, że musi wszystko sfotografować?

— Może i nie wiedziałaś, co nadchodzi, ale miałaś nadzieję, że coś odkryjesz. Ten cały Fall Rot. Że w końcu dowiesz się, na czym polega.

— Tak. Miałam. Nie mogłam ocalić twoich towarzyszy przed śmiercią w tej idiotycznej akcji. Żołnierze Wolnej Francji na to patrzyli, wiesz? Oni też tam byli. Ale nie interweniowali. Sama nie zdołałabym uratować twoich ludzi, choćbym chciała, ale liczyłam, że może dowiem się, czym jest ta „tajemna inwokacja”, o której wspominały dokumenty. Wyglądało na to, że mają z nią kłopot. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, gdy okazało się, że to tylko manif. Zwyczajna wulgarność Brekera.

— Pozwoliłaś im zginąć!

— Musiałam wiedzieć, co knują naziści. Żeby potem ich powstrzymać. Twoi towarzysze — teraz wymawia to drwiąco — i tak mieli zginąć. Pracuję dla Piekła, Thibaucie.

Chce odpowiedzieć, ale Sam zaciska pięści i otwiera usta w nagłym bezgłośnym krzyku, a Thibaut słyszy, że na innych piętrach pękają szyby. Nie ma już czasu na rozmowę, bo w korytarzach pojawiają się kolejni żołnierze, prując z karabinów do wyrafinowanego trupa. Istota zatacza się, ale idzie. Przechodzi przez łączącą ich przestrzeń, wgniatając im czaszki. Potem otwiera drzwi i czeka na swych towarzyszy, grzecznie niczym kustosz w muzeum.

— Kiedy to się dokona, możemy dokończyć rozmowę. A teraz pozwolisz? — Wskazuje na drzwi. Thibaut patrzy na nią i na migoczące światło za progiem.

Nie odpowiada. Sam kieruje się w stronę drzwi, a on idzie za nią.

—

Olbrzymia sala. Centrum Drancy zostało wydrążone; pustka jest obrzeżona resztkami rur, drzwi i ścian, tam gdzie kiedyś były prycze, biura, laboratoria i sale tortur, zanim zdrajcy z Vichy przenieśli się gdzie indziej. Pokój jest pełen straszliwych machin. Przerażeni naukowcy i SS-mani szturchają włączniki i wskaźniki pod krucyfiksem Alescha. Nie pobiegli na górę, gdy zakłęcia Sam wypaliły korytarze. Na jednej ze ścian wisi wielka pieczęć; od samego patrzenia na nią Thibauta zaczyna boleć głowa.

Pośrodku przestronnego pomieszczenia stoją księża stłoczeni wokół wielkiego kształtu przykrytego brezentem. Są połączeni łańcuchami i drutami jak żywe ogrodzenie. Modlą się gorączkowo, słysząc stukot różańców.

Niżej, w dole, powstaje coś wielkiego. Porusza się i wyje.

—

Tuż pod krucyfiksem Thibaut widzi samego Alescha. Tamten też go

dostrzegł. Biskup unosi rękę z morderczym grymasem na twarzy.

Mężczyzna w mundurze występuje naprzód, unosi pistolet. Młodzieńcza, niemal chłopięca twarz, ciemne, mokre od potu włosy, zęby z przerwą na przodzie ma odsłonięte w uśmiechu. Josef Mengele. Mierzy w intruzów, gestapowcy także biorą ich na cel.

Sam reaguje i jej wiedzimowy aparat rozrywa mężczyznę na kawałki. Thibaut unosi karabin, napinając wewnętrzne zmysły jak najmocniej, i strzela stadem dzbanków o sowych głowach, a one spadają w dół, by zadziobać gestapowców.

Wyrafinowany trup rzuca się na żołnierzy, a oni odpowiadają ogniem. Ich pociski nie robią mu krzywdy. Ktoś klnie. Manif dopada wrogów i uderza młotami, łamiąc ręce, kości i lufy broni. Tamci krzyczą i znów strzelają.

— Bierz Alescha! — krzyczy Sam. — I Mengelego! — Rzuca się w bok, szukając kryjówki. Wyrafinowany trup kieruje się teraz w stronę księży. — Odwołaj go! — ponagla Sam. — Każ mu zdjąć tego cholernego doktora!

Thibaut też krzyczy, próbuje się skupić, mrużąc oczy, ale manif jest ogarnięty furią i jeśli w ogóle słyszy jego niewypowiedziane błagania, to nie reaguje. Dopada do kręgu modlących.

Wyskakuje w powietrze, nogi sztywnieją mu w powietrzu. Rozdeptuje jednego z księży.

Mężczyzna pada i umiera. Łańcuch łączący go z towarzyszami pęka.

Jeden po drugim zaczynają krzyczeć. Patrzą na zmarłego. Słyszą trzask dartego płótna.

— Czekaj! — woła Sam. — Przerwał krąg! Te maszyny...

— Coś ty zrobił? — woła ktoś po francusku.

Spod całunu wypada pocisk. Struga ognia wyrywa dziurę w ścianie.

Przez chwilę panuje cisza. Czyjeś palce chwytają rozdarcie od spodu i zaciskają się na nim. Coś ryczy.

Księża zrywają z siebie łańcuchy, próbując uciec. Alesch krzyczy, przyciśnięty plecami do ściany, Mengele ucieka. Istota pod brezentem rozrywa go coraz bardziej. Z rykiem, od którego pękają ściany, bestia w końcu się ujawnia, wychodzi na światło dnia.

Fall Rot.

—

Chrzęszczą gąsienice, a materiał spada, odkrywając czołg. Panzer III, pokryty plamami długich zmaganiań, toczy się po betonie. Z przodu, przed wieżyczką strzelniczą wznoszą się tors i głowa olbrzyma. To człowiek.

Fall Rot.

Jest wielki. Na głowie ma niemiecki hełm, a skórę zimną i białą, żyły i mięśnie odcinają się na niej wyraźnie, jakby przeżarte przez robactwo. Z oczu kapią cienie, usta ma pełne ostrych zębów. Napina muskuły.

Demon ma kształt centaury: pół-człowiek, pół-czołg. Jest przystrojony niemieckimi flagami.

— Zrobili własnego demona! — krzyczy Sam. W absurdalnym geście unosi aparat i biegnie w stronę Fall Rot. Twarz wykrzywia jej grymas czystej nienawiści. — Zrobili to...

Wykonany na rozkaz dowództwa, stworzony z badań Mengelego i toksycznej wiary Alescha, ze zniszczonych ciał mieszkańców piekieł, energii pomordowanych manif i zabójczej niemieckiej techniki. Wszystko, aby zapewnić sobie lojalność tego demona, wykonanego z triumfu nazistów. Awatar pokonanej Francji.

Ale zabezpieczenia były zbyt kruche. Otaczająca krąg modlitwa zniknęła i Fall Rot szaleje.

Chwyta dwóch księży próbujących odczołgać się na bok, z łatwością łapie ich głowy w dłonie. Uderza nimi o siebie, zabijając natychmiast, a potem wymachuje bezwładnymi ciałami, jak maczugą, mierząc w ich towarzyszy.

Wyje dźwiękami, które nigdy nie powinny stać się językiem, plując brudem i spalinami. Sam rzuca się na niego, plując magią.

Mengele chwyta Alescha za szatę i krzyczy, że ma się skupić. Sala wypełniona jest teraz dymem, gruzem, przerażonymi księżmi i rannymi żołnierzami. Nazistowski lekarz staje na drodze świeżo zbudowanemu demonowi. Policzkuje Alescha i wskazuje coś ręką.

Fall Rot toczy się w ich stronę.

— *Sie werden mir gehorchen!* — krzyczy Mengele. Alesch robi znak krzyża. Fall Rot krzywi się i macha ręką w powietrzu.

Za plecami galionu działo czołgu obraca się i lufa uderza człowieka w błądy bok. Machina toczy się naprzód.

— Mój Boże — szepcze Thibaut.

Diabeł wyje, gdy metal brutalnie wdziera się w jego ciało. Łamie żebra, rozdziera skórę, z której tryska krew, rozpycha wnętrzności i narządy i wciąż prze dalej. Diabeł wrzeszczy.

Działo przechodzi poprzez tors Fall Rot, a wtedy pierś demona goi się natychmiast, kości wskakują mniej więcej na swoje miejsca, krew wysycha, skóra skleja się nierównomiernie, a broń wyskakuje po drugiej stronie z wyraźnym młaśnięciem.

— *Sie...* — powtarza Mengele i milknie. Unosi pistolet i strzela raz za razem prosto w pierś demona. Ale Fall Rot wciąż nadchodzi. Lufa obraca się, kapiąc krwią demona. Alesch wykrzykuje słowa modlitwy, popychając Mengelego naprzód.

Demon śmieje się i otwiera ogień. Lekarz ginie w fontannie krwi, ognia i betonu.

A wtedy wyrafinowany trup atakuje.

Rzuca się na Fall Rot, stukocząc mechanizmami, cała jego nienawiść do piekielnych pcha go do czynu, przyciągając jego uwagę. Przy dźwiękach

zgrzytu gąsienic Fall Rot wyjeżdża mu na spotkanie. Uderza go wierzchem dłoni, aż manif zatacza się w tył.

Zbudowany ludzką ręką demon i żywe dzieło sztuki okrążają się nawzajem. Manif skrada się, patrząc oczami starego człowieka. Mechaniczny demon kołysze się i obraca zrywami, nie spuszczać oczu z przeciwnika. Działo znów zagłębia się w korpus Fall Rot, a mężczyzna wyje, aż lufa zatrzymuje się pośrodku, mierząc poprzez mostek.

Kończyny manifa drżą, czerpią energię, aż całe powietrze wibruje. Ale jeszcze nigdy nie mierzył się z takim przeciwnikiem. Fall Rot toczy się naprzód, lufa celuje wprost w wyrafinowanego trupa.

Thibaut wykrzykuje nieme ostrzeżenie, ale Fall Rot nie strzela. Spogląda z zaciekawieniem, a potem sięga i chwytą przeciwnika, każda wielka, szponiasta łapa chwytą za jeden zawias. Szpony tężeją. Wyrafinowany trup drży.

Sztuczny diabeł, stworzony przez naukę i demonologię, skonstruowany do posłuszeństwa i już od pierwszej chwili buntujący się przeciw temu nakazowi, ten piekielny awatar inwazji, unosi twarz i coś nuci.

Następnie jednym silnym ruchem rozrywa wyrafinowanego trupa na kawałki.



Po sali rozchodzi się wybuch, eksplozja energii. Ludzie z trudem stoją na nogach. Części manifa rozlatują się wokół. Maszyny jęczą.

Gdy Thibaut jest w stanie wreszcie unieść głowę, widzi, jak demon ssie urwaną głowę wyrafinowanego trupa. Liże poskręcane części maszyny, miejsca, gdzie oderwał je od siebie. Thibaut krztusi się w napadzie mdłości. Diabeł mlaska.

Zrobili z niego manifofaga. Stąd bierze energię, myśli Thibaut. Jego paliwem są ofiary z manif, dzięki nim otworzyli ten kanał, którym

transportowali ciała demonów. On żywi się sztuką.

Fall Rot rzuca głowę wyrafinowanego trupa w jedną stronę, jego ludzkie nogi w drugą.

Sam woła Thibauta po imieniu. Kobieta mocuje się z Aleschem. Zataczając się, Thibaut brnie w jej stronę; unosi broń, ale nie ma pewności, czy nie trafi przypadkiem swojej towarzyszki. Walczą na podłodze, w pyłe, obok wskaźników i włączników. Thibaut czuje, jak ziemia drży od ruchu gąsienic. Fall Rot nadchodzi.

Sam dźga Alescha zaostrzoną podstawką trójnoga, biskup wrzeszczy z bólu. Kobieta obala go na podłogę i klęka nad nim, i znów bierze zamach bronią. Mężczyzna jęczy. Sam wrzeszczy coś do aparatu, który sterczy mu z piersi.

Radio? Nastrojone na częstotliwość zaświatów?

Sam wciska różne przyciski na niemieckich machinach.

Fall Rot sięga ogromnymi łapskami, a wielka twarz rozciąga się w uśmiechu. Działko znów uwalnia się z jego torsu.

Sam wciska guziki, widząc, że demon nadchodzi, wciąż w tej samej kolejności, aż w końcu rozlega się trzask statyki.

— Już! — krzyczy kobieta po angielsku. — Otwarte! To już!

Fall Rot wyjdzie na wolność. Pożre manify Paryża i nabierze sił.

Unosi ramiona, a Sam krzyczy do swojego aparatu; cała sala aż dudni.

Fall Rot spogląda w dół.

Słysząc ryk basu. Wzbija się coraz wyżej, tężeje, wzmacniany efektem Dopplera. W dole rozlega się szum, jakby samolot leciał jaskiniami i tunelami. Ryk wciąż się wzmacnia, aż robi się nie do zniesienia. Thibaut i Sam przyciskają ręce do uszu i widzą, że Fall Rot robi to samo, twarz ma wykrzywioną bólem; Thibaut czuje, że wnętrzości mu drżą i coś wypada z dołu w stronę światła.

Ziemia wybucha.

Konwulsje. Thibaut pada w tył, rzucony eksplozją pękającego kamienia.

Wybuch bomby. Atak z dołu. Thibaut widzi ogień i pióropusz eksplozji obejmującej czołgo-centaura. Otaczający go płomień, sprawiając, że ryczy w agonii, której nie rozumie, sięga coraz wyżej, aż w końcu nieruchomieje, zastygły moment pożogi.

Który już za chwilę odwraca się jak film oglądany wstecz, i wsysa za sobą wszystko. Ostatecznie znika w nowej rozpadlinie. Zabiera ze sobą czołgoistotę, daleko w głąb, nie zostawiając ani śladu. Wraca do otchłani.

—

Thibaut przez dłuższy czas leży nieruchomo i tylko kaszle. Wielki krater sięga daleko w mrok. Nie ma żadnego czołgu ani wraku czołgu, żadnego ludzkiego torsu. Thibaut wstaje.

Rozlega się kolejne dudnienie, teraz cichsze, bardziej grzechotanie. Dobiega z sąsiedniego pomieszczenia, a on kuli się odruchowo. Ale odgłos szybko cichnie.

— Połączyłam się z nimi — szepcze Sam. Dzwoni mu w uszach, ale i tak ją słyszy. — Ta mała furka trochę się uchyliła. Otworzyłam ją szerzej.

Energia ofiary. Zdobyła ją dzięki temu, co zrobiła Aleschowi.

— Musieli tu przyjść. Musieli się zająć... tym czymś.

Opiera się o ścianę, maszyny sypią iskrami. Kilkoro naukowców wciąż żyje. Próbuje uciec, czołgając się na czworakach.

— A to — woła Sam, odwracając się do nich — było, kurwa, wbrew wszelkim traktatom!

— Mówiłaś, że oni... że twoi szefowie nie mogą interweniować — przypomina Thibaut. — A raczej że nie chcą.

— Była blokada. Widziałeś, co robili ci księża, zanim twój manif... ich powstrzymał. To prawda, moi szefowie próbowali uniknąć konfrontacji. Ale

zdołałam ich powiadomić. Tego już nie mogli zignorować. To byłby poważny incydent dyplomatyczny.

Thibaut wybucha śmiechem i śmieje się długo, chociaż boli go rana. Nawet Sam się uśmiecha.

—

Brną poprzez ruiny, a Niemcy, którzy ocalili, wciąż próbują przed nimi umknąć. Thibaut przystaje na chwilę i z wahaniem podnosi głowę wyrafinowanego trupa. Jest o połowę mniejsza od jego własnej, ale miękka jak ludzka skóra i lekka jak papier-mâché. Smutno wodzi za nim oczami, w jakimś ostatnim odruchu życia. Pociąg w brodzie wydaje ciche sapanie. Gąsienica leży nieruchomo.

Wkraczają w korytarz. Na końcu znajdują komórkę pełną straszliwych komponentów. Narzędzia rolnicze, gnijąca głowa słonia, liście, rakietka tenisowa, wielkookie ryby, ludzkie kończyny, pistolet, mała figurynka, stos rondli, globus.

— To wszystko kawałki wyrafinowanych trupów — mówi Thibaut. Grobowiec tanich składników, cmentarz rozszarpanych manifestacji. Naprzeciw sterty widać kolejny zestaw maszyn, silnik i jedną pryczę, jakby dla więźnia. Żołądek Thibauta buntuje się od zapachu rozkładu.

— Próbowali okiełznać to, co wypływało z manif — mówi Sam.

Ściany pokrywają chaotyczne pęknięcia. Połowa pokoju jest idealnie czysta, nienaturalnie uporządkowana. Szyba nie jest pęknięta, tapety nieporwane.

— Słyszałem stąd jakiś hałas — mówi Thibaut. Grzebie w stercie kolbą karabinu, potem próbuje ręką, a miękko rozkładające się sny brudzą mu palce.

Sam znów się uśmiecha, ale Thibaut nie odpowiada. Myśli o swoich towarzyszach, którzy zginęli. Patrzy na czystą ścianę.

— Gdy twoi szefowie wysadzili tego stwora, musiało się uwolnić dużo energii.

— To była abominacja.

Uratowałem Paryż, myśli Thibaut. *Zniszczyłem całkiem nowego demona. Ocaliłem świat.* Czuje się pusty w środku. Słońce na zewnątrz świeci na nich inaczej niż w starym mieście.

Czy to już? Po wszystkim?

— Gdzie są żołnierze? — pyta.

Brną dalej, samotni, niezatrzymywani przez nikogo. Nasłuchują, spodziewając się kolejnego ataku, ale nic się nie dzieje. Oszołomieni, mijają brudne, zniszczone budynki, z trudem zmuszając się, by zachować czujność. Wciąż ściskają broń w rękach, to konieczność w tej dzielnicy duchów splamionej przez wojnę. Thibaut zdaje sobie sprawę, że kierują się znowu w stronę starych okręgów.

A potem nagle trafiają na całkiem idealną uliczkę. Piękne miasteczko, przepiękne domy. Idealnie utrzymane fasady, żywe kolory. Nawet niebo wydaje się bardziej niebieskie.

Oboje gwałtownie się zatrzymują. Gdzie są wszyscy? I jakim cudem ta okolica jest tak czysta?

Ulice są całkiem puste, słońce stoi wysoko, cienie są bardzo krótkie. Cała ulica lśni jak wyszorowana.

Czy nie powinniśmy się chować?, zastanawia się Thibaut, który wolałby raczej kryć się w cieniu zrujnowanych kamienic. Gdzie żołnierze? Patrzy na ładne domki, bez żadnych śladów wojny.

— To nie ma sensu — mówi.

— Naprawdę?

Idą przez dłuższy czas, pokonując czyste, niezniszczone ulice. Nie spotykają nikogo.

Mijają duży hotel. Jest malowniczy, nieskazitelny i opuszczony.

— Może Fall Rot obudził się już dawno — mówi w końcu Thibaut. — Może to nie z nim mieli kłopoty. Może to nie dla niego składali ofiary. Coś takiego napisali, prawda? Że nie mogą czegoś wywołać. Ale Fall Rot już się zmanifestował. Może zrozumieli, że nigdy nie zdołają przejąć nad nim kontroli? Może nawet chcieli się go pozbyć, tylko nie mogli go zabić? Ale co, jeśli tak naprawdę zamierzali wywołać coś innego? I nie mogli? Dopóki ktoś nie zabił Fall Rot?

Sam zastyga.

— A teraz twoi szefowie tego dokonali. Słyszałaś ten dźwięk. Kiedy Fall Rot zginął, wyzwoliło się dużo energii. Może w końcu wystarczyło na... tanto drugie. Może to właśnie była odpowiednia ofiara.

Patrzy w oczy manifa, którego głowę wciąż niesie.

— Jeśli śmierć wyrafinowanego trupa zasilila Fall Rot... — szepcze. — To co zasilila śmierć tamtego?

Przez chwilę patrzą na siebie z Sam i żadne się nie odzywa.

Potem rzucają się biegiem ulicami, które są nie tylko zbyt porządne, zbyt czyste i zbyt puste, jak na czas wojny; ulice, które nigdy nie wyglądały tak jak teraz. Nie wyglądają jak prawdziwe. Thibaut czuje się na nich jak plama, jak pyłek kurzu.

— Myśleliśmy, że używają manif do karmienia demonów — mówi Sam. — A co, jeśli było inaczej? Jeśli próbowali wywołać manifa?

Manifa o jakiej mocy?

Już wcześniej robili takie eksperymenty, próbowali kontrolować sztukę. Wilk-stoły poganiane batem. Brekerman wykonujący rozkazy nawet w chwili, gdy padał na ziemię.

— Próbowali coś wezwać. W tajemnicy. I nie zdołali.

— Dopiero nam się udało.

Przy rue de Paris, biegnącej na zachód w stronę dwudziestego okręgu, w końcu dostrzegają miejskie barykady, na granicy tego dziwnego kiczu. Tam, za niemieckimi stanowiskami, obok jeepów, karabinów, moździerzy, żołnierzy, po dawnemu rozciąga się chaos miasta, brud i niedoskonałości, niszczone i rozbijane w pył.

Pomiędzy nimi a posterunkiem strażników stoi drobna postać w brązowym garniturze.

Młody mężczyzna powoli idzie w stronę starego miasta, jakby we śnie albo na zwolnionym filmie. Jego kroki trwają za długo. Nosi staromodny strój, spodnie wybrzuszają się na kolanach, wpuszczone w wysokie skarpetki. Włosy ma ciemne, rozczesane na boki.

Sam bieleje na twarzy.

— Nie — szepcze.

Gdy postać zbliża się do posterunku, Niemcy otwierają ogień.

Thibaut niemal przewraca się ze zdumienia, bo mężczyzna w garniturze, zupełnie nieprzejęty trafieniami pocisków, patrzy uważnie na strzelca. I w miejscu, gdzie spogląda, pojawia się dom.

Wyrasta w jednej sekundzie z niczego: czysty, świeżo pomalowany, pięknie urządzone, prawie przejrzysty. A żołnierz po prostu znika, jakby nigdy nie istniał.

Wokół postaci pojawiają się fasady paryskich domów, ładniejsze i doskonalsze niż kiedykolwiek i kompletnie puste.

— Nigdy nie chodziło im o Fall Rot — mówi Sam. — Zabiliśmy Fall Rot i przywołaliśmy manifa. O, Boże. On wywołuje miasto.

Każdym kolejnym spojrzeniem młodzieniec buduje Paryż na nowo, cały w pastelowych barwach. Nie odbudowuje go, lecz tworzy od podstaw, kiczowatą wydmuszkę, która nigdy nie istniała. Mdląco słodką.

— Znaleźli jeden autoportret — mówi Sam.

Niedobitki żołnierzy rozpierzchają się, umykając przed anihilującym spojrzeniem. Mężczyzna powoli odwraca się do Sam i Thibauta.

— Nigdy nie umiał malować ludzi — szepcze kobieta. — Prawie zawsze ich pomijał. Wszystkie sceny były puste. Nawet, gdy malował sam siebie, nie potrafił oddać rysów...

Postać odwraca się i Thibaut widzi twarz bez oblicza. Pustą. Lekką grafitową kreską w miejscu, gdzie powinny być oczy. Gładką jak jajko. Nędzna, tchórzliwa wizja młodego, nieudanego artysty.

— To autoportret — powtarza Sam. Obejmują się i podtrzymują nawzajem, półżywi ze strachu.

— Autoportret Adolfa Hitlera⁶⁹.

—

A potem próbują uciec. Thibaut krzyczy i chwyta torbę Sam, gdy uwaga akwarelowego manifa zwraca się w stronę kobiety. Sam porusza się z nieludzką siłą. Chwyta Thibauta i zrywa się, próbując ich stąd wydostać. W ruchach Sam widać prędkość i zwinność pożyczoną od jej mocodawców z piekieł. Nagle otacza ich korona płomieni. Thibaut skacze, próbując skryć się za ścianą...

Zwalnia w pół kroku, puszcza Thibauta, gdy manif Hitlera spogląda na nią bez oczu i ogarnia spojrzeniem, i wszystko wokół niej staje się piękne jak z pocztówki. A Sam zamiera. Wisi w powietrzu, a autoportret na nią patrzy. Ona sama zaś znika

Zostaje odosobniona. Wymazana spojrzeniem manifa.

Thibaut cofa się, przerażony, przygryzając usta, by nie zawołać jej po imieniu. Ulica jest pusta, a Sam nie ma.

Zbyt późno orientuje się, że manif patrzy teraz na niego.

Stacza się przez okno do piwnicy. Jeszcze zanim dotyka podłogi, szyba, którą wybił, zrasta się na nowo, krucha niczym z cukru. Manif Hitlera

przepisuje historię, wprowadzając własną wizję.

Poza fasadą przywołaną jej spojrzeniem, po staremu szerzy się zgnilizna wojny. Thibaut wciąż trzyma torbę Sam, a Sam już nie ma.

Wspina się po schodach, spogląda przez okno, orientuje się w okolicy i wypada w boczną uliczkę, jeszcze nieobjętą spojrzeniem manifa.

Sam już naprawdę nie ma. W oddali widać jakichś ludzi z niemieckiego posterunku, rannych i kulejących. Akwarelowy manif musiał spojrzeć na ich blokadę, ponieważ nagle barykada znika, niepożądana w tej nowej scenerii. Na jej miejscu pojawia się pozbawiona indywidualnych cech uliczka. Następnie spojrzenie manifa pada na żołnierzy i po chwili ich także nie ma.

Mała, beztwarzowa nieistota przynosząca pokój i ład, kończąca powszechny chaos. Gdzie była niezgoda, on przynosi pokój. Nie śmierć, ale nicość. Paryż już wkrótce stanie się pustym miastem pełnym prześlicznych domków.

Tego żąda autoportret Führera.

Thibaut opiera się o idealny mur. Stara się nie rzucać w oczy, póki istota go nie minie. Wychyla głowę zza rogu, celuje i strzela. Chybia. Manif idzie dalej. Thibaut strzela znowu i widzi, że istota nawet nie drgnie. Płacze, gdy stwór przekracza próg starego Paryża. Zwraca swój straszliwy, pustoszący wzrok na jego dom.

—

Akwarela stworzy specyficzne miasto. I wszystko się skończy. Wysiłki manif, wściekły dym, mrużące ściany, bojownicy z przekonania, żołnierze wolności i degradacji. Ludzkie błoto, gotowe żyć i umrzeć.

Thibaut słyszy mlaśnięcie ust. Czuje, że głowa wyrefinowanego trupa porusza mu się w rękę. Larwa na głowie znów pulsuje. Pociąg w brodzie wypuszcza obłoczek dymu.

Głowa uśmiecha się, jakby coś wiedziała. Patrzy mu w oczy.

Thibaut zrywa się do biegu. Pędzi ładną uliczką za akwarelową postacią, prorokiem pustych budynków. Twarz wyrafinowanego trupa szepcze do niego zachęcająco spod pachy.

Manif Hitlera stoi na skraju starego miasta. Słyszy kroki i zaczyna się odwracać.

Thibaut nie ma żadnego planu. Zanim ogarnie go śmiertelne, pustoszące spojrzenie, bierze zamach i po prostu ciska tym, co trzyma w ręku.

Głowa wyrafinowanego trupa ściąga na siebie spojrzenie i nie znika. Leci przez powietrze, wprost na beztwarzowego. I trafia w cel.

Thibaut mruga. Patrzy na siebie i widzi, że wciąż stoi w miejscu.

Manif mocuje się ze zbyt wielką głową, która spadła na niego z góry, jak karnawałowa maska. Głowa wyrafinowanego trupa kołysze się na boki, manif zatacza się jak pijany.

Maska zasłania mu oczy, blokując spojrzenie zmieniające ruiny w pustkę.

Autoportret miota się na wszystkie strony, Thibaut czuje bijące od niego fale mdlącej uwagi. Twarz wyrafinowanego trupa wykrzywia grymas, skóra robi się przezroczysta i niemal znika. Ale potem, z warknięciem, wyrafinowany trup umacnia swoją obecność i nie rusza się z miejsca.

Coś się rozwija. Obecność szeleści.

Akwarela ma teraz dwa różne buty. Artysta nie wybrał dla niego tej głowy. Bezobliczny manif Adolfa Hitlera zaczyna się tasować. Szelest brzmi głośniejsz, kaskada różnych możliwości. Thibaut patrzy, jak szybko stukoczący obwód alternatywnych obiektów pojawia się w miejscu głowy manifa. Jego nogi nie są już nogami, lecz rzędem innych możliwości, pojawiających się w losowej czkawce. Korpus także się zmienia. Teraz należy do trzech postaci.

I chociaż brązowy garnitur i pusta, brzydka twarz regularnie pojawiają się wśród prezentowanych możliwości, nie pasują do manifa ani trochę bardziej

niż inne: owoce, cegły, jaszczurki, okna, kwiaty lawendy, tory kolejowe i inne rzeczy, które nagle z jakiegoś powodu także na chwilę stają się jego składnikami.

Manif zmienia się w wyrafinowanego trupa. Zostaje przebudowany. Nie ma jednego autora.

A budynki, obok których przeszedł, także się zmieniają, ich błada precyzja zostaje zastąpiona przez stochastyczny rygor, samowysniony sen; budynki, które przerobił na modłę banalnej doskonałości, znów są niedoskonałe. Drżą. Krwawią kolorami. Są zbyt nasycone, ich kontury są niewłaściwe. Przypominają sobie, że kiedyś miały szczeliny. Zaciągają się ceglanym pyłem i wracają do stanu ruiny albo nie wracają w ogóle, są nadgryzione zębem czasu i poblížnione historią. Paryż znów jest Paryżem.

Rozlega się krzyk. Odgłos przełykania śliny. Światło się zmienia, słońce przemyka po niebie jak wystraszony owad, chcąc jak najprędzej zakończyć ten dzień. Thibaut pada na kolana. Klęka przed wejściem do Paryża i skłania głowę.

Miasto jest takie, jakie było.

—

Przed nim, w miejscu, gdzie wcześniej stał Hitler, teraz stoi jego wyrafinowany trup. Znów wysoki, z twarzą starego człowieka, z liściem we włosach. Pochyla się... nie, Thibaut zdaje sobie sprawę, że on się klania. Odchodzi.

Thibaut wstaje, żeby też się skłonić.

Wyrafinowany trup odwraca się i grzecznie odchodzi, przez próg do dziewiętnastego okręgu. Już wkrótce cywile i partyzanci będą wiedzieli, że coś się stało.

—

Już niedługo okupanci odzyskają kontrolę nad tym terenem. Ich plan, by

przebudować miasto, zawiódł, więc pewnie powrócą do starych sprawdzonych metod i niedługo zaczną coś knuć. Thibaut stoi na zewnątrz, samotny, odkąd manif Hitlera spojrział na okolicę. Przez kilka godzin granica będzie otwarta.

Wyrafinowany trup skręca w bulwar Sérurier. Jego części ciała migoczą jak godziny odjazdu pociągów na dworcu. Przebudowuje się. Tym razem składa się z czterech części: stóp pod wodą, kobiecych nóg, jakiejś kubistycznej bryły zamiast korpusu i spłaszczonej głowy z wydętymi ustami. Idzie dalej, w głąb miasta, gdzie wciąż będzie się zmieniał.

Thibaut patrzy na wschód, na ulice poza starym miastem, które nie są już obrzydliwie idealne, ale przynajmniej przez chwilę pozostaną puste.

Może pójść praktycznie wszędzie. Na dłuższą chwilę odwraca się od centrum miasta.

I znów wraca, w stronę okręgów, które znał, odkąd był dzieckiem. Tam, gdzie wciąż toczy się walka.

Stoi, pogrążony w zadumie, ciesząc się powietrzem, którego nic nie ogranicza, wiedząc, że minie dużo czasu, zanim znów będzie mógł nim odetchnąć. Jego ścieżka jest prosta.

W Paryżu na pewno można znaleźć też inne aparaty.

Trzeba napisać *Ostatnie dni Nowego Paryża*. Nawet jeśli nie będą to jego ostatnie dni.

Przez chwilę wspomina Sam i czegoś jej życzy. *Mam teraz misję, myśli. Zacząć od nowa, przepisać historię, niech będzie moja. Całkiem nowa książka.*

Wkłada do torby jej notes i rolki z filmami, a potem wpycha wszystko w dziurę w barykadzie, na granicy strefy. Jej znaleziska, notatki, dowód zdrady i machinacji, tajne plany, zaklęcia, zbuntowana sztuka, wszystko to jest teraz częścią tej granicy. Niech ktoś to znajdzie.

Słońce oświetla skraj muru. Thibaut czeka, aż na niebie pokażą się nietoperze. A potem, zmęczony i obolały, triumfujący i niepewny, bierze głęboki oddech i przekracza granicę, z powrotem do Nowego Paryża, starego miasta.

Posłowie

Jak powstały Ostatnie dni Nowego Paryża

Jesienią 2012 roku mój wydawca przekazał mi ręcznie napisaną wiadomość. Pochodziła od osoby, której nie widziałem od dawna. Zналиśmy się ze studiów — uczęszczaliśmy na tę samą uczelnię, ale na inne wydziały — lecz nie rozmawialiśmy od prawie dwudziestu lat. W pierwszej chwili nie rozpoznałem nawet jej nazwiska.

Poszukiwania w sieci trochę naświetliły sprawę. Moja znajoma studiowała historię sztuki i wyglądało na to, że później wykładała ten przedmiot na różnych uniwersytetach w Europie, specjalizując się w sztuce modernistycznej. W latach dziewięćdziesiątych wywołała kilka skandali, współpracując z naukowcami i filozofami, organizując happeningi, coś pomiędzy występami a awangardowymi prowokacjami, noszącymi tytuły w rodzaju: „Nie rzeka, lecz estuarium: jak sterować Aureliuszem pod prąd” albo „Co kiedyś było i co nie było jest nadal”. Nie znalazłem dokładniejszych opisów żadnego z tych występów.

Okolo roku 2002 ślad po niej zaginął. Kompletnie zniknęła. A teraz wysłała do mnie liścik.

Wiadomość była krótka. Pisała, że przeczytała pewien esej mojego autorstwa, który poruszał temat surrealizmu, i że przypomniało jej to o moim dawnym zainteresowaniu tym prądem sztuki. Z tego powodu, pisała, postanowiła skontaktować się ze mną w imieniu kogoś, kto bardzo chciałby się ze mną spotkać, a którym to spotkaniem ja na pewno również byłbym

zainteresowany. Jednak podkreślała, że istnieje tylko bardzo niewielkie okno czasowe, by zorganizować takie spotkanie, ponieważ „niektóre drzwi otwierają się bardzo rzadko i tylko na krótki czas”.

Podawała mi nazwę hotelu w Farringdon, numer pokoju, datę i godzinę (za niecałe dwa tygodnie). Kazała mi przynieść notes.

Nie jestem pewien, dlaczego właściwie nie zignorowałem tej wiadomości. Być może zdecydowała ciekawość — w czasie swojej pracy otrzymywałem wiele ekscentrycznych propozycji spotkań, ale chyba żadna z nich nie była przepełniona tak agresywnym, choć niezrozumiałym, pośpiechem.

Tak czy inaczej, po długich rozważaniach, nieco zaskoczony własną decyzją, skierowałem się do hotelu, postanawiając, że wyjdę, jeśli tylko poczuje się niekomfortowo. Zapukałem do wyznaczonych drzwi o wyznaczonym czasie.

Ku mojemu zdziwieniu, otworzyła mi nie moja korespondentka, lecz starszy mężczyzna. Odsunął się, by wpuścić mnie do środka.

Miał dobrze ponad osiemdziesiątkę, ale trzymał się całkiem prosto. Nie stracił nawet połowy włosów i nie wszystkie były siwe. Był szczupły i wciąż wyglądał na silnego, jego ubrania, znoszone, ale czyste, były bardzo staromodne. Spędziłem z nim wiele godzin, ale z jego twarzy ani na chwilę nie zniknął wyraz podejrzliwości.

Spytałem o moją znajomą, ale mężczyzna tylko potrząsnął głową i odparł charczącym francuskim:

— *Ç'est seulement nous deux*. Tylko my dwaj.

Przedstawiłem się, a on skinął głową i bardzo wymownie nie odpowiedział.

Wskazał na jedyne krzesło w pokoju, zabierając z niego swoją torbę. Zawahałem się, czy skorzystać z zaproszenia, biorąc pod uwagę podeszły wiek mojego gospodarza, ale on powtórzył gest, tym razem niecierpliwie,

więc usłuchałem. Przez większość tego spotkania stał, czasem się przechadzał, czasem przenosił ciężar z nogi na nogę, ale ani na chwilę nie tracił energii. Ilekroć chciał odpocząć, przysiadał na rogu zaścielonego łóżka i rzadko na długo.

Powiedział, że z tego, co mu przekazano, rozumie, iż jestem pisarzem i interesuję się dziejami surrealizmu i radykalnej polityki i że chciałby mi opowiedzieć pewną historię. Przyznałem, że to prawda, ale w żadnym wypadku nie jestem znawcą i że jeśli chodzi o historię tego ruchu, są ludzie znacznie bardziej kompetentni ode mnie i że być może on i moja znajoma powinni zwrócić się do nich.

Mężczyzna obdarzył mnie jednym ze swych rzadkich, bladych uśmiechów.

— *Elle a déjà essayé* — odparł. Już próbowała. Powiedział, że jestem czwartą osobą, do której się zwróciła, i szybko dodał, że — prawdopodobnie z uwagi na ten tajemniczy grafik — czas ucieka. Przerwał na moment. A zatem byłem najlepszym, co im się udało uzyskać, a teraz miałem słuchać, notować, a później zrobić z tym to, co uważam za stosowne.

Czekał, podczas gdy ja szykowałem sobie papier i długopis. Wyjąłem też telefon, żeby włączyć nagrywanie, ale staruszek potrząsnął głową, więc go odłożyłem. Potem przeciął powietrze rękami, jakby układając myśli.

— Twój Paryż — powiedział w końcu — to stary Paryż. W Nowym Paryżu było inaczej. Żył tam pewien człowiek. Spoglądał w dół. Była noc. Za murem rozdartego miasta strzelali naziści.

Tak zaczęło się trzydzieści dziewięć niezwykłych — ten przymiotnik nie jest tu żadną hiperbolą — całkiem odmieniających moje życie godzin. W tym czasie, bez żadnej przerwy na sen, mówiąc coraz mętniej i chaotyczniej, czasem tylko robiąc krótkie pauzy, by pokrzepić się chipsami, czekoladą, wodą albo kiepskim winem z minibaru, starszy pan opowiedział mi historię ostatnich dni Nowego Paryża, historię, którą przedstawiłem w niniejszej

książce.

Mówił w czasie *passé simple* i *imparfait*: ani razu nie zdradził, czy opowiada mi prawdziwą historię, choć jego opowieści o mieście, jego historii, opisy ulic i krajobrazu Nowego Paryża były niesamowicie żywe. Czasem przerywał, wyjmował mi notes z ręki i szkicował to, co przed chwilą opisał. Wciąż mam te szkice. Starszy mężczyzna nie był artystą, ale rysunki czasem pomagały mi sobie wyobrazić pewne sceny. Czasem zaś przywoływały wspomnienia jakiegoś wiersza czy fragmentu tekstu, a wtedy sam coś rysowałem i pytałem:

— Mam rację? Tak to wyglądało?

Czasem, już dużo później, sam zaglądałem do książek w poszukiwaniu źródła. Załączyłem tu kopie szkiców, które wydały mi się najwierniejsze.

Podczas naszego spotkania staruszek trzy razy zajrzał do własnego notesu. Był bardzo stary, zniszczony, zakrwawiony i poplamiony atramentem. Nie pozwolił mi go przeczytać w całości, ale pokazał mi niektóre fragmenty, datowane, nabazgrane po francusku; pozwolił mi nawet skopiować pewne kawałki i szkice (których ewidentnie nie narysował sam).

Staruszek był doskonałym gawędziarzem, chociaż bardzo niezorganizowanym. Dałem się porwać jego urokowi. Mówił w skupieniu i bez wahania, ale najwyraźniej odczuwał presję czasu, bo opowiadał szybko, zbyt skrótowo i czasem moje notatki, robione w tłumaczeniu, okazywały się zawodne. Niekiedy zawracał, by uzupełnić szczegóły, o których poprzednio zapomniał. Czasem zaprzeczał sam sobie albo lawirował pomiędzy spekulacjami historycznymi a niezachwianą pewnością. Czasem odlatywał w dygresje na temat jakichś szczegółów Nowego Paryża, które, choć zwykle fascynujące, miały bardzo niewiele wspólnego z całą resztą historii.

O Nowym Paryżu nigdy nie mówił inaczej niż z absolutną, poruszającą, oniryczną precyzją. Nawiazując do czasów sprzed S-plozji, gdy opisywał

Marsylię czy willę Air-Bel, używał innego rejestru. Wówczas wspominał coś, co mu opowiedziano, coś zrekonstruowanego, przedstawiał wyniki dochodzenia; śledztwa niedokończonego i pełnego luk, które później, w drodze własnej kwerendy, starałem się uzupełnić.

Z początku staruszek reagował bardzo nerwowo, ilekroć mu przerywałem. Wraz z upływem czasu, zwłaszcza późną nocą, gdy nagle przytomniałem, słysząc dźwięk jadącego samochodu albo kroki samotnego przechodnia (nie zasłoniliśmy okien), gdy podnosiłem wtedy rękę, prosząc o jakieś wyjaśnienia, albo by dodać coś o pochodzeniu manifa, którego właśnie opisał, albo spytać o jakieś historyczne detale, starszy człowiek słuchał mnie uważniej. Pytałem, a on czasem odpowiadał, zaś rozmowa zaczynała przypominać wywiad i niekiedy trwało to nawet godzinę, zanim znów wróciliśmy do głównego wątku, wędrówki Thibauta i Sam po ruinach Nowego Paryża.

Mężczyzna się nie przedstawił, a ja nigdy nie spytałem go o imię.

Nigdy nie mówił o swoim bohaterze — Thibaucie — inaczej niż w trzeciej osobie, również gdy pokazywał mi notes. Oczywiście, szybko nabrałem pewności, że to on jest Thibautem, i robiłem notatki właśnie z tym założeniem.

Było to bardzo niepokojące. Ponieważ, zastanawiałem się, jeśli ten człowiek rzeczywiście jest tym, o kim opowiada, to czy należałoby mu wierzyć?

Oczywiście, wydaje się to absurdalne. Jednak wtedy, siedząc na tanim hotelowym fotelu, słuchając, jak mój gospodarz opowiada mi o bitwach na śmierć i życie, podczas gdy za oknem mruczał londyński ruch uliczny, wcale nie wydawało mi się to takie dziwne. Zdawało się wiarygodne, może nawet prawdopodobne, że rozmawiam z uciekinierem z Nowego Paryża, opisującym swe dawne zmagania.

Jakim cudem stamtąd uciekł? Czemu tu przybył? Nie mogłem się zmusić, by go o to spytać. Nie miałem dość odwagi, a może zbyt wiele szacunku, a potem okazja zniknęła.

Trudno mi teraz zrekonstruować to spotkanie, ale wtedy wydawało się, że będzie to tylko jeden rozdział. Że historia Thibauta i Sam, a także bardziej fragmentaryczna i niepewna historia Willi Air-Bel i tego, jak powstał Nowy Paryż, są częściami większej opowieści, że starszy człowiek będzie mówił mi później o kolejnych latach, może nawet o innych miejscach, które odwiedził w tamtym świecie nawiedzanym przez demony i dzieła sztuki.

Jednak drugiego dnia staruszek zrobił się bardziej niespokojny, nerwowy i mówił coraz szybciej. Wyraźnie przyspieszał, by skończyć swoją opowieść o dniach, które — ostatecznie — wcale nie okazały się ostatnim dniami Nowego Paryża.

Gdy skończył tę część, jego ulga była wyraźna — wyszedłem do toalety, po raz pierwszy od dawna. Nie jestem pewien, ale mam wrażenie, że słyszałem z pokoju skrzypnięcie otwieranych drzwi.

Tak czy inaczej, gdy wróciłem do pokoju, mężczyzna, jego torba i notesy zniknęły. Zostawił mnie samego z moimi notatkami, niezadanymi pytaniami, ciekawością, rozpaczą i niezapłaconym rachunkiem.

—

Nigdy więcej go nie spotkałem. Nawet z kosztowną pomocą prywatnego detektywa nie byłem w stanie wyśledzić ani jego, ani nawet dawnej znajomej, która poznała nas ze sobą. Miałem tylko notatki i zadanie, które mi powierzono — może nie wprost, ale wyraźnie. Zabrało mi to dużo pracy, ale wreszcie zdołałem je ukończyć.

Materiały do książki, którą napisałem — ci, którzy mnie znali, wiedzieli, że nie odpuszczę takiej okazji — zostały ostrożnie wyselekcjonowane, wydestylowane i zorganizowane za pomocą obszernych notatek, które

poczyliem tamtego dnia, sluchajac pospiesznej opowieści. W kilku miejscach troche rozbudowalem jego relacje, w paru nawet poprawilem, po wykonaniu odpowiednich badan. Jestem pewien, ze wlasnie taka role mi powierzono.

Niektórzy z czytelników pewnie uznaja, ze to niestosowne, ze powinienem sie ograniczyc do krótkiego, beznamietnego, czasem moze doslownego przekazania tego, co mi powiedziano. Moge tylko odpowiedziec, ze jestem przede wszystkim twórcą prozy, a zarowno kobieta, która sie ze mną skontaktowala, jak i starszy mężczyzna dobrze o tym wiedzieli. Moze rzeczywiście bylem najlepszym spośród tych, na których mogli liczyc, moze woleliby innego reportera. A moze jednak chcieliby, aby tę historie opowiedziano w taki sam sposob, jak pisane sa powiesci, by oddac w nim pewna goraczkowosc, która moze zapewnic taka narracja, podobnie jak bylo to widoczne w opowieściach staruszka. Nazwalem ten utwór nowelą dla porzadku i by uzasadnic sposob opowiedzenia historii. Nie wiem, czy moi znajomi byliby z tego zadowoleni.

Pozwolilem sobie takze dodac sekcje przypisów. Podczas planowania tego reportazu, a takze po to, by zrozumiec twórczą moc S-plozji, spedzilem wiele czasu, poszukujac źródel owych manif opisywanych mi przez staruszka. Niektóre byly dosc oczywiste. O pochodzeniu innych wspomniat mi on sam, zwykle dodajac, ze Thibaut o tym wiedzial. Czasem, idac za jego przykladem, dodawalem takie informacje w narracji, reszta znajduje sie w ponizszej sekcji. Pochodzenia niektórych istot mój rozmówca nie wyjasnil, moze sam go nie znal.

Podczas naszej rozmowy wspomniat o wielu innych zjawiskach i ozywionych manifach, spośród których kilka sam pózniej rozpoznalem i zidentyfikowalem. Dopisalem ich nazwy do swoich notatek o historii miasta, jak rowniez demonologii i manifologii, co stalo sie zaczatkiem

encyklopedii Nowego Paryża. Nie załączyłem ich tutaj, jako że stanowią jedynie tło niniejszej historii. Jednak wszystkie te rzucane mimochodem opisy aż zapierały mi dech, gdy wyobrażałem sobie, jak musiało tętnić niezwykłością tamto miasto, zrujnowane przez wojnę i sny. Podróżniczka wędrująca po Nowym Paryżu mogłaby natknąć się na nagie postacie schodzące po schodach albo rozbierające się panny młode, kompozytowe ciemne linie Emmy Bridgewater, nocne koty Alice Rahon. Jej usta i oczy mogły zostać przysłonięte przez motyle, echo *Skrzydlatego domina* Rolanda Penrose'a. Zegarek mógłby się stopić. Może ścigałaby ją zabandażowana końska głowa Wilhelma Freddiego albo falująca suknia Rachel Baes, albo stołek na kobiecych nogach Seligmanna, albo łabędzia szyja na nogach tancerki, manif Teigego. Może miałaby okazję zobaczyć ludzkie warstwy Picabii przeczołgujące się przez siebie nawzajem albo obserwować wyczerpane, grzechoczące, czerwone kształty maszyny żniwiarskiej Eileen Agar. Może przez jej drogę przeczołgałby się kleryk, manif z filmu Germaine Dulac. Może spotkałaby młodą dziewczynę w łachmanach autorstwa Lisy Deharme. Może zapolowałaby na szkielety zwierząt Wolsa. Zrywałaby owoce z mięsnych drzew wyrastających pomiędzy płyt chodnikowych. Może chowałaby się przed solaryzowanymi istotami lśniącymi ciemnością na zdjęciach Lee Miller i Mana Raya.

Mam nadzieję, że dostatecznie wyjaśniłem, o co chodzi. Na ulicach Nowego Paryża panował tłok.

Oczywiście wśród manif wymienionych w narracji było bardzo wiele takich, których nie umiałem zidentyfikować. O ile dobrze zrozumiałem, natura S-plozji polegała na tym, że większość jej efektów była losowa albo dotyczyła prac nieznanymi artystów — według surrealistycznej doktryny po prostu ludzi. Tych nie miałem skąd znać. Innych manif mogłem nie zidentyfikować jako manif. Zdarzały się także istoty, o których myślałem, że

powinienem je znać, ale nie mogłem dojść skąd. Możliwe, że ktoś bardziej obeznany ze sztuką mógłby wypełnić te luki.

Literatura poświęcona surrealizmowi jest bardzo obszerna; istnieje zbyt wiele znakomitych pozycji, by przytoczyć tu więcej niż drobny ułamek. Poza wielkimi tomiściami reprodukcji, kilkoma słownikami i encyklopediami surrealizmu, kolekcjami ich manifestów i tekstów, jest kilka tytułów, które okazały się szczególnie pomocne w zrozumieniu Nowego Paryża i identyfikacji manif. Zaliczyłbym tu następujące pozycje: Michael Löwy, *Morning Star*, Franklin Rosemont i Robin Kelley, *Black, Brown & Beige; Surrealist Writings from Africa and the Diaspora*, Penelope Rosemont, *Surrealist Women: An International Anthology*, Michael Richardson i Krzysztof Fijałkowski, *Surrealism Against the Current*, Anne Vernay i Richard Walter, *La Main à plume: Anthologie du surréalisme sous l'Occupation*.

Dlaczego mojemu rozmówcy i dawnej znajomej zależało na opublikowaniu historii Nowego Paryża, nie mam pojęcia. Może było to w jakiś sposób istotne, że większość manif pochodziła z dzieł sztuki, które, w naszym świecie, powstały później, niż tam nastąpiła S-plozja. Co to oznacza dla relacji naszych obu rzeczywistości — czy istnieją rzeczy, które chcą się narodzić, niezależnie od uwarunkowań osi czasowej, czy we wszechświecie manifestują się pewne siły, przenikające rzekomo nieprzeniknione bariery ontologiczne, zostawiając lub wymazując ślady — tego nie wiem.

Trzy tygodnie po owym tajemniczym spotkaniu siedziałem w kawiarni w Stepney, rozmyślając o tamtych wydarzeniach. Gdy podniosłem wzrok, za szybą zobaczyłem mężczyznę, spoglądającego na mnie z ulicy. Przynajmniej miałem wrażenie, że patrzył w moją stronę, choć nie miałem pewności. W witrynie stało wyłożone jedzenie i jakieś jabłko zasłaniało mi twarz tego

człowieka. Widziałem jednak sylwetkę — odzianą w płaszcz i kapelusz, nieruchomą. Owoc zasłaniał jego oczy, nos i usta, a mimo wszystko miałem wrażenie, że ten człowiek się na mnie gapi.

Gdy nabrałem tchu i spróbowałem wstać, mężczyzna zniknął, zbyt szybko, bym zdążył choćby dostrzec jego twarz.

Być może zrozumienie manif Nowego Paryża, ich natury i źródeł mocy może pomóc nam w nadchodzących czasach.

Tak czy inaczej, po wysłuchaniu historii Nowego Paryża nie było możliwości, bym jej nie opowiedział.

Podziękowania

Za całą pomoc, jaką otrzymałem podczas pisania niniejszej książki, chciałbym podziękować:

Micowi Cheetham, Julie Crisp, Rupie DasGupta, Marii Dahvanie Headley, Simonowi Kavanaghowi, Jake'owi Pilikianowi, Sue Powell, Julien Thuan i Rosie Warren. Jestem bardzo wdzięczny wszystkim w wydawnictwie Random House, a zwłaszcza Danie Blanchette, Keithowi Claytonowi, Penelope Haynes, Tomowi Hoelerowi, Davidowi Moenchowowi, Tricii Narwani, Scottowi Shannonowi, Davidowi G. Stevensonowi, Annette Szlachta-McGinn, Markowi Tavaniemu i Betsy Wilson, a także wszystkim z Macmillan i Picador, zwłaszcza Nickowi Blake'owi, Robertowi Clarkowi, Ansie Khan Khattack, Neilowi Langowi, Raviemu Mirchandani i Lauren Welch. Za niezliczone partie gry, której w tamtych czasach nie nazywałem jeszcze „wyrafinowanym trupem”, chciałbym podziękować mojej siostrze Jemimie Miéville, a także mojej matce, Claudii Lightfoot.

Przypisy

1) **„Przecież to Velo!”**. Kobieta-rower pochodzi ze szkicu *Jestem amatorką bicykli*, wykonanego ołówkiem i tuszem przez Leonorę Carrington w 1941 roku. Thibaut był zszokowany widokiem cyklistki, choć na swym rysunku Carrington także umieściła cyklistkę na tej maszynie. ↵

2) **Gdy wszyscy patrzyli na czarną wizję za oknami**. Fraza „czarna wizja” — „La Vertu noire” została użyta przez mojego informatora i opiera się na jego doborze słów oraz opisie ciemności kłębiącej się za szkłem i chaosu barw. Uznałem, że mógł to być manif obrazu olejnego Roberta Matty pod tą samą nazwą. ↵

3) **Są tu znacznie gorsze rzeczy niż ogrodowa rosiczka, która schwytała messerschmitty**. Około roku 1935 Max Ernst namalował serię obrazów *Ogród łowcy samolotów*, w którym pierzaste, grzybiaste kwiaty, nieco przypominające anemony, porastają zniszczone samoloty. ↵

4) **Stada przedsiębiorców i dam w staromodnych płaszczach, latających na skrzydłach nietoperzy**. Skrzydlate postacie nie są bezprecedensowe w naszej kulturze, ale ci latający burzuje prawdopodobnie pochodzą z kolażu Ernsta *Une semaine de bonté* z 1934 roku; sylwetki zostały wycięte z katalogów i obdarzone smoczymi skrzydłami. ↵

5) **Jedno-, dwu- i trójwymiarowe geometrie**. Przerazające, bezbarwne, powietrzne kształty, poprzedzające odkrycie antymaterii, pochodzą z obrazu René Magritte’a, *Le Drapeau noir*. Twierdzono, że obraz był inspirowany bombardowaniem Guerniki; na niebie Nowego Paryża manif musiał przypominać bezlitosne, machinistyczne iteracje jakiegoś thanatosa. ↵

6) **Wielkie słoneczniki wyrastają, gdzie popadnie.** Thibaut wprawdzie nie powiedział tego wprost, jednak było coś takiego w skali tych roślin i w niepokoju pobrzmiewającym w narracji, że wzbudziło to we mnie podejrzenia co do natury tych przerośniętych okazów. Przodkiem tej manifestacji był prawdopodobnie obraz Dorothei Tanning z 1943 roku przedstawiający te „najagresywniejsze z kwiatów” i zatytułowany *Eine Kleine Nachtmusik*. Widać na nim kolosalny kwiat spoglądający wrogo na dwie dziewczynki. ←

7) **W pyskach zielonych węży tworzących łądygi.** Kwiaty o łądygach z węży, *Lovers' Flower*, zostały narysowane dla André Bretona (jak dodał „dość niezręcznie”) przez niejaką Nadję, obecnie znaną jako Léona Delacourt, i zreprodukowane w jego powieści z 1928 roku zatytułowanej na cześć malarki. ←

8) **Ludzkie dłonie pełzają wokół spiralnych muszli.** Kolaż zdjęciowy Dory Maar *Sans Titre* (1934) musiał być źródłem tych ręcznych manif. W swoim dzienniku Thibaut opisuje wioskę rybacką złożoną z namiotów, rozbitych pod nabrzeżem Quai d'Auteuil. „Ludzie, zanurzając druty w wodzie, wyławiając skorupiaki o spiralnych muszlach, pełzające w mokrym piachu na ludzkich palcach i kciukach. Mają pomalowane paznokcie. Miejscowi gotują je we wrzątku. Wyciskają parujące dłonie z muszli i zjadają, wcale nie wstydząc się tego kanibalizmu”. ←

9) **Na grzbiecie każdego z nich, tuż przed płetwą grzbietową, znajduje się wgłębienie z ławeczką wiosłarską.** W 1929 roku belgijski periodyk „Variétés” opublikował wyniki kilku gier surrealistów. W jednej, zwanej „Jeśli — to”, jeden z graczy zapisywał jakiś warunek, a drugi, bez patrzenia, dopisywał do tego zdanie główne. „Jeśli” napisała Elsie Houston „tygrysy mogłyby okazać, jak bardzo są nam wdzięczne”, a Suzanne Muzard dopisała: „rekiny zgodziłyby się posłużyć nam jako łódki”. Wygląda na to, że

w Nowym Paryżu czasem się zgadzały. ↵

10) **Ponad kikutami filarów, czterdzieści pięter nad ziemią.** W naszych czasach wieża Eiffla jest zapewne najbardziej ikonicznym elementem Paryża, podobnie jak jej odcięty, latający wierzchołek w czasach Thibauta. W swoim eseju *Paris and the Surrealists* George Melly wspomina, że w jednej z dyskusji na temat upiększania Paryża „ktoś zaproponował, aby zostawić jedynie górną połowę”. Nie udało mi się odnaleźć innego źródła tej tajemniczej sugestii, która najwyraźniej nabrała mocy wraz z dynamiką S-plozji. ↵

11) **Niemożliwy kompozyt wieży i człowieka... Jedną nogę miał wielką, męską, w ostrodze, a dwie inne kobiece, z butami na wysokich obcasach.** Postać w hełmie, która przyglądała się młodemu Thibautowi, to prawdopodobnie manifestacja wyrafinowanego trupa z 1927 roku, stworzona przez André Bretona, Man Raya, Maksa Morrisa i Yvesa Tanguy. ↵

12) **Stan wyczerpania, infekujący domy jeden po drugim:** W pracach Céline'a nie znalazłem wprawdzie konkretnego źródła dotyczącego wyczerpania manif, ale opisana atmosfera z pewnością przenika jego prace. ↵

13) **Enigmarelle, szykowny robot wytaczający się z wystawy muzealnej.** Enigmarelle była przerażającą machiną z kręconymi włosami, z pustym, woskowym uśmiechem. Surrealiści zafascynowani byli tym „człowiekiem ze stali”, rzekomo skonstruowanym przez amerykańskiego wynalazcę Fredericka Irelanda w 1904 roku i spopularyzowanym przez wodewile. Obiecali, że pojawi się na ich wystawie w 1938 roku (nie pojawił się). Konstruktor, który w naszym świecie był oczywistą fałszywką, w Nowym Paryżu zmanifestował się naprawdę. ↵

14) **Śniący kot.** Dwunogi kot to manifestacja obrazu *The Cat's Dream* autorstwa Nadii. Nie jest jasne, czy zwierzę jest groźne, chociaż ma ciężarek przywiązany do prawej nogi i przywiązane jest za ogon do metalowego

pierścienia, który, według Thibauta, unosił się za nim przez cały czas jak niemożliwy balon. ←

15) **Łąki szaławii, wyglądzone alpejskie wyżyny jak zwisające kotary.** Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, że nazwa „łąki szaławii” wzięła się z podobieństwa tych zmanifestowanych krajobrazów do obrazów Kay Sage; ich zamarznęte, melancholijne, falujące sploty i zarysy skał. ←

16) **Pod jedną z latarni panuje noc.** Ten wyizolowany przyczółek zmanifestowanej nocy wraz z latarnią z pewnością pochodzi z serii obrazów Magritte’a *Imperium światła* (1953-1954). ←

17) **Jacques Hérold podpalił czarny łańcuch.** W naszej linii czasowej było to w maju 1944 roku, dziennik „*Informations surréalistes*” opublikowano z okładką Jacques’a Hérolda. Był to prosty, wyrazisty rysunek płonącego łańcucha. ←

18) **Senny ssak spogląda na niego małpimi oczami.** Thibaut nie wspomina o pochodzeniu manifestacji tej szponiastej bestii, więc nie myślałem nawet o tym, by ją odnaleźć. Jednak przy okazji innych kwerend natrafiłem na rysunek Valentine Hugo, *The Dream of 21 December 1929*, i stało się jasne, że stamtąd pochodzi manifestacja zwierzęcia. Na obrazku widnieje także utopiona kobieta; niewykluczone, że i ofiara, i drapieżnik, którego przestraszył Thibaut, były manifi. ←

19) **Obśliniony dziesięcionogi pajak Redona.** *Uśmiechnięty pajak*, obdarzony groteskową, prawie szympanią twarzą, pochodzi z 1880 roku, w oryginale wykonany jako szkic węglem, a następnie litografia. Odilon Redon był jednym z szanowanych prekursorów surrealizmu. Wiele jego *noirs*, „czarnych dzieł” grasowało po Nowym Paryżu. Thibaut opisał mi także, że widział jego wielki balon w kształcie oka unoszący się nad dymiących ruin pozostałych po starciach niemieckich żołnierzy z Groupe Manouchian. ←

20) **Kości Delvaux.** Manify prac belgijskiego artysty Paula Delvaux często pojawiały się w Nowym Paryżu, zwłaszcza szkielety, takie jak opisane w tym fragmencie, stanowiące obsesję artysty, nie mniej niż nagie, wielkookie kobiety. Właściwie cały Nowy Paryż można by opisać frazą, jaka widnieje w tytule jego obrazu z 1941 roku — *la ville inquiète* — zmartwione, niespokojne, spłoszone miasto. Miasto niepokoju. Zamieszkanе przez inne, drżące kościane figury, rozrywające się na kawałki, a następnie składające od nowa, to manifesty pracy Marujy Mallo z 1930 roku *Antro de fósiles* (Zagłębienie szczątków). ←

21) **Musée de l'Armée z wolna pustoszeje... bronie dzień po dniu są chwywane i wywlekane z gablotek przez ciekawskie pędy.** Pomysł Paula Eluarda, opisany w „Le Surréalisme au service de la révolution”, w numerze 6 z 1933 roku, najwyraźniej też się zmanifestował. „Nonsensowna ozdoba” zasugerowana przez niego dla Les Invalides to „zamiana całej okolicy w osikowy las”. ←

22) **Mówią na to „wilk-stoły” — odpowiada kobieta. — Manifestacja dzieła Braunera.** Najsłynniejsza wersja dzieła *loup-table*, „wilk-stół”, rumuńskiego artysty Victora Braunera w naszej rzeczywistości została wykonana w 1947 roku. Nie wiadomo, czy artysta wykonał ją również w świecie Thibauta, ale stworzył przynajmniej dwa wyobrażenia tej bestii przed nadejściem S-plozji, w swoich obrazach *Psychologiczna przestrzeń i Fascynacja*, które Thibaut najwyraźniej znał. Wspominał też, że we wszystkich tych przedstawieniach warcząca głowa drapieżnika — „krzycząca do śmierci przez ramię”, jak ujął to Breton — ogon i moszna wydają się bardziej lisie niż wilcze. Breton uważał, że wilk-stół Braunera stanowi niezwykle trafne oddanie lęku przed nadchodzącą wojną. ←

23) **Książki porośniętej pąklami.** Z początku uznałem, że chodziło o „księgę leżącą pod wodą”, czyli grymuar Prospera, ale w późniejszej

rozmowie Thibaut mnie poprawił; chodziło o manifa instalacji wykonanej w 1936 roku przez Leonor Fini. ←

24) **Łyżkę porośniętą futrem.** Łyżka, którą Thibaut spodziewał się znaleźć w bagażu nieznaej, często występowała w towarzystwie podobnie owłosionej filiżanki. Stanowi oczywiście manifestację słynnej instalacji Meret Oppenheim, znanej też jako *Śniadanie w futrze*. Część łyżek pozostałych w Nowym Paryżu po S-plozji najwyraźniej porosła futrem. ←

25) Tłumaczenie: N. Szczucka-Kubisz.

„I ludzie śpiący... działają i współdziałają z wydarzeniami świata”. Pierwsza linijka *Géographie nocturne*, zacytowana przez Thibauta, pochodzi z dzieł Heraklita. Podobnie jak *Main à plume*, została ona wydrukowana w 1941 roku. ←

26) **Ithell Colquhoun.** W naszej rzeczywistości Colquhoun była nietypową i mało znaną artystką wyrzuconą z Londyńskiej Grupy Surrealistów w 1940 roku. Przez całe życie fascynowała się okultyzmem, zwłaszcza kabałą, była członkinią wielu grup i stowarzyszeń magicznych, jak również autorką dziwnej i hermetycznej powieści *Goose of Hermogenes*. ←

27) **Bezładnie lasy mieszają się z legendarnymi istotami skrytymi w gąszczu.** Opis lasu pochodzi z wiersza Roberta Desnosa *Sleep Spaces* z 1926 roku. ←

28) **Futurystyczne samolotowe istoty.** „Aeropittura”, koncepcja pochodząca z manifestu z 1929 roku, stanowiła iterację drugiej fali futuryzmu włoskiego, o wyraźnym wpływie faszyzmu. Łączono z tym nurtem Bendettę Cappę, Enrica Prampoliniego, „Tato” (Guglielma Sansoniego), Fortunata Depero, Fillię i Tullia Craliego. Nurt wykorzystywał swą quasi-abstrakcję w gorliwej służbie bombastycznej propagandy, a także na wespół religijnej faszystowskiej ikonografii, takiej jak portret Mussoliniego pędzla Gerarda Dottoriego z 1933 roku, zatytułowany *Il Duce*. Wygląda na

to, że to właśnie kanciaste, samoloto-istoty z aeropittury zmanifestowały się w Nowym Paryżu. ←

29) — **A fauves? — naciska kobieta. — Stara, zapomniana gwiazda?** Fauwizm, styl André Deraina, wspomniany przez Sam, był tolerowany, a może nawet lubiany przez reżim Vichy. Nowy Paryż zamieszkiwało kilka nadmiernie jaskrawych postaci, które najwyraźniej zstąpiły z jego płócien. Krótki i eliptyczny sześciolinijkowy wiersz Gertrudy Stein użył imienia — a także właściwości — manifowi znanemu jako „Stara, zapomniana gwiazda”. ←

30) **Olbrzymi pisuar.** W 1933 roku podczas dyskusji nad „irracjonalnymi upiększeniami” Paryża Paul Éluard zaproponował przekształcenie Łuku Triumfalnego w urynał. ←

31) **Wielkiej, sierpogłowej ryby... Kobieta ulepiona z dużych otoczków leży na trawie, sennie mocząc nogi w wodzie.** Ryba z wielką, pomarańczową, sierpowatą głową to jeden z wielu manif, których pierwowzorami były potwory namalowane przez Wilfreda Lama. Figura kamiennej kobiety pojawia się w relacji Thibauta więcej niż raz. Naszkicował ją dla mnie i dzięki temu w końcu zidentyfikowałem ją jako manif obrazu Meret Oppenheim z 1938 roku *Kamienna kobieta*. W rzeczy samej, jest coś niezwykłego w tym prostym obrazie, nawet w tym zalewie niezwykłości. Nie jestem w stanie powiedzieć, na czym polega jej urok. Może w tych licznych opowieściach o ludziach zamieniających się w kamień, a ponieważ widzimy w życiu sporo posągów, instynktownie wiemy, jak powinna wyglądać „kamienna kobieta”. A jednak odpoczywająca, wylegująca się dama Oppenheim złożona jest w całości z luźno sklejonych kamyczków. Potrafimy sobie wyobrazić, jaką mają fakturę, jak łatwo zmieszczą nam się w dłoniach. Jednak chlupot wody u kostek pokazuje, że kobieta jest naturalnych rozmiarów i że te pieczołowicie wykonane gładkie kamyczki są o wiele za

duże. Problem skali i fakt, że kobieta jest z kamienia, nie pozwalają złożyć tego obrazu w spójną całość. ←

32) **Palais Garnier, schody z kości dinozaura.** Pomysł Bretona na „irracjonalne ulepszenie” Palais Garnier, budynku opery, zakładał sporządzenie fontanny perfum, a także przebudowanie klatki schodowej tak, by składała się „z kości prehistorycznych zwierząt”. ←

33) **Le Chabanais.** Niezwykły i makabryczny los Le Chabanais to manifest pewnego „ulepszenia”, które wymyślił Tristan Tzara w 1933 roku. Zaproponował, aby słynny dom publiczny „napełnić przezroczystą lawą, a gdy zastygnie, zburzyć zewnętrzne ściany”. Ku — zapewne — przerażeniu mieszkańców to właśnie stało się w Nowym Paryżu, więząc nieszczęsne ofiary w środku. Zostali tam na zawsze, zawieszani w powietrzu, zastygnięci i bezpieczni od rozkładu jak owady w bursztynie. ←

34) **Roślinna pacynka na sznurkach, włóknista i kwiatowa jednocześnie.** Roślinne pacynki to manify obrazów hiszpańsko-meksykańskiej anarchistki Remedios Varo stworzonych w 1938 roku. Poskręcane sylwetki, zropaczone, włókniste, ześlizgujące się po ciemnym tle, czasami zdradzają ślady ludzkich rysów. ←

35) **Słońce nad Paryżem nie jest pustym okręgiem ani czarnym krążkiem.** „Sol niger”, czarne słońce, czasem z dziurą pośrodku, to popularny symbol alchemiczny, lubiany przez surrealistów. Max Ernst umieszczał go wielokrotnie jako element swoich „leśnych” krajobrazów z lat dwudziestych. ←

36) **Wyziewy, dymne istoty, których istnienie kształtuje się i rozwiewa w powietrzu.** W latach trzydziestych austriacko-meksykański malarz Wolfgang Paalen opracował półautomatyczną metodę, za pomocą której tworzył „wyziewy”. Przetrzymywał papier lub płótno nad zapaloną świecą lub lampą olejną, tak by zabarwiły je sadza i dym, a przesuwając materiał,

uzyskiwał określone kształty. Na warstwy osadu nakładał następnie tusz i/lub farbę, dodając kolejne szczegóły lub tekstury. ←

37) **Końska głowa.** Thibaut dopiero dużo później obejrzał zdjęcie tego, co Sam nazwała „końską głową”. Była to wysoka i groźna postać, patrząca w obiektyw, trzymająca krucyfiks w potężnej, trójpalczastej łapie. Zarys głowy wprawdzie przypominał konia, ale uzębienie było wyraźnie psie, pełne ostrych kłów. Mam wrażenie, że mógł to być manif szkicu Leonory Carrington z 1941 roku zatytułowanego *Do you know my aunt Eliza?* ←

38) **Seligmanna. Colquhoun. Ernsta i de Givry.** Surrealiści od dawna interesowali się dywinacją, okultyzmem, hermetyczną wiedzą, alchemicznymi tradycjami i wiedźmimi gusłami. Oprócz Ithell Colquhoun uczestniczyli w tym także Grillot de Givry (którego książka *Le Musée des sorciers, mages et alchimistes* została entuzjastycznie przyjęta w kręgach surrealistów) czy Kurt Seligmann, a inspirowali się działalnością Nicolasa Flamela, Hermesa Trismegistosa, Agryppy i Joséphina „Sâr” Péladana. ←

39) **Kilka propozycji irracjonalnych upiększeń miasta.** Źródło dużej części materii Nowego Paryża, niezwykle artykuł w formie kwestionariusza pytającego respondentów o „irracjonalne upiększenia, jakim można by poddać miasto”, *Sur certaines possibilités d'embellissement irrationnel d'une ville* pochodzi z 1993 roku z numeru 6 periodyku „Le Surréalisme au service de la révolution”. Autor artykułu zwraca się do siedmiu surrealistów, pytając, czy należy „zachować, przenieść, zmodyfikować, transformować lub usunąć” trzydzieści jeden różnych paryskich zabytków (choć żaden z pytanych nie wypowiada się na temat ich wszystkich). Wśród zapytanych znaleźli się: André Breton, Arthur Harfaux, Maurice Henry, słynny trockista Benjamin Péret, Tristan Tzara i Georges Wenstein. Tekst ten nie jest zbyt szeroko cytowany w naszej osi czasowej, lecz z historii Thibauta wynika, że w jego rzeczywistości stał się centralnym punktem manifestacyjnej natury Nowego

Paryża. ←

40) **Chemiczno-niebieskie, poskręcane maszyny z drzew jujuby z gnijącego mięsa.** Opis manif zamieszkujących las pochodzi z dzieła martynikańskiego poety i teoretyka Négritude Aimé Césaire, pod tytułem *Cahier d'un retour au pays natal* (Notatki z powrotu do rodzinnego kraju), opublikowanego po raz pierwszy w 1939 roku, a później w wersji rozszerzonej, z entuzjastycznym wstępem Bretona, w 1947 roku. W oryginalnej wersji Césaire nie tylko opisuje, ale wręcz wywołuje duchy nawiedzające Nowy Paryż: „Powstańcie, widma, chemiczno-niebieskie, z lasu nawiedzanego przez bestie z pokręcanych machin z drzew jujuby z gnijącego mięsa z koszy ostryg z oczu z koronek rzęs odciętych z pięknej agawy z ludzkiej skóry”. ←

41) **Pierzasta kula wielkości pięści.** Pierzaste stworzenie karmiące się widokiem Sam i Thibauta to manif obrazu *Obiekt-widmo* z 1937 roku autorstwa niezwyklej czeskiej artystki znanej jako Toyen (po odrzuceniu nazwiska Marie Čerminová). Prace Toyen najwyraźniej miały pewien wyraźny wpływ na topografię i wygląd mieszkańców Nowego Paryża. ←

42) **Skrzydłata małpka z sowimi oczami.** W zwierzęciu na parapecie można od razu rozpoznać stworzenie przyczajone u stóp półnagiej kobiety w drzwiach na obrazie Dorothei Tanning pt. *Birthday* z 1942 roku. ←

43) **Stoi jak człowiek niosący wielki ciężar... Krzakowy szyk.** Surrealiści z całą pewnością nie wynaleźli gry w „Konsekwencje”, ale we wczesnych latach dwudziestych lub nawet wcześniej, przy rue du Château 54 z całą pewnością ją udoskonalili, nadając jej też nazwę „wyrafinowany trup”. Można nawet powiedzieć, że dali jej centralne miejsce we wszystkich swych metodologiach. Simone Kahn opisuje technikę gry i jej ważną rolę następująco: „jednej z tych beczynnych, męczących nocy, które we wczesnych dniach surrealizmu zdarzały się dość często... wynaleziony został

Wyrafinowany Trup... Technika przekazywania narodziła się szybko: kartkę należało zagiąć po narysowaniu pierwszego elementu, pozostawiając widoczne tylko trzy lub cztery kreski. Kolejny gracz zaczynał od przedłużenia tych linii, nadania im własnego kształtu, nie oglądając oryginalnego. Potem następowało delirium". „Mieliśmy do dyspozycji metodę, pozwalającą uwolnić się od krytycznego intelektu i w pełni zanurzyć w metamorficznej zdolności naszych umysłów”, napisał Breton.

W archiwach przechowywane są niezliczone, przepiękne egzemplarze takich dzieł. Niektóre są wykonane tuszem na białym papierze, inne starannie pokolorowane, a jeszcze inne zawierają nawet skomplikowane kolaże. Groteska, figlarna, straszna, łącząca ikonografię polityki, elementy bestiariusza, przemysłowej maszynerii i gramatyki słów. Autorami tych zbiorowych dzieł są między innymi: Oscar Dominguez, Yves Tanguy, Pierre Naville, Jeannette Tanguy, Gerardo Lizárraga, Greta Knutson, Valentine Hugo, Breton, Max Morise, André Masson, Nusch Éluard, Picasso, Man Ray, Duchamp.

Wyrafinowany trup, który staje się nieoczekiwanym towarzyszem Thibauta i Sam to manif kolażu stworzonego w 1938 roku przez André Bretona, Yvesa Tanguy i Jacqueline Lambę. Stoi na stosie mechanicznych części, wyglądając spod swojego kapelusza z gąsienicy z twarzą zastygłą w wyrazie proroczej melancholii. ←

44) **Czują się, jakby stali na mezaninie schodów nakrapianych w węzowe cętki.** Thibaut bardzo dokładnie opisał panikę, jaką poczuł w tamtej chwili, co przypomniało mi obraz olejny Pierre'a Roya z 1927 lub 1928 roku zatytułowany *Niebezpieczeństwo na schodach*, przedstawiający wielkiego węża pełzającego po schodach w stronę patrzącego. ←

45) **Siedzą w gruzowisku pełnym ptasich klatek... dziecinna buzia wielkości pokoju.** Strzelnica jest manifestacją różnych obrazów Toyen, od

1929 do 1940 roku przedstawiających płaskie, niepokojące, ponure krajobrazy. Wszystkie elementy tej okolicy pasują: na przykład wielka, dziecięca głowa pochodzi z obrazu *Tir IV / Strzelnica*. ↵

46) **Burza ptaków.** Ptaki stanowią powtarzający się motyw w surrealistycznej ikonografii, a ten kolektywny ptak i tańcząca postać, które Thibaut widział na niebie, mogą pochodzić z dzieła Loplopa i Maksa Ernsta *Najdoskonalszy ptak*. ↵

47) **Chabrun, Léo, Malet, Tita.** Ci i inni zagorzali zwolennicy *Main à plume*, tajnej grupy surrealistów, w Nowym Paryżu odegrali znacznie bardziej dramatyczną rolę (choć i w naszym świecie nie obyło się bez pewnych incydentów). ↵

48) **Thibaut raz walczył z Carlingue, wraz z Laurence Iché.** Wielokrotnie próbowałem namówić Thibauta, by opowiedział coś więcej o swych towarzyszach z *Main à plume*, ale odmawiał, jakby z szacunku, którego powodu nie potrafił wyjaśnić. Ich śmierć musiała mu niezwykle ciążyć, zwłaszcza w przypadku Iché. W naszej rzeczywistości Iché przeżyła wojnę i zmarła dopiero w 2007 roku. Sam nie wiem, dlaczego mu o tym nie wspomniałem.

Manify, które pomagały im w walce, przywołane przez Iché, pochodzą z jej wiersza *I Prefer Your Uneasiness Like a Dark Lantern*, w naszym świecie wydany w tomie *Au fil du vent*, w 1952 roku. Opisuje tam „gąsienicę z głową orła”, „orła o włosach wiatru” i „wannę tłuczonych luster”.

Iché kilkakrotnie pozowała dla innych artystów, w tym swojego ojca, René Iché, członka ruchu oporu współpracującego z *Groupe du musée de l'Homme*. W 1940 roku posłużyła jako modelka dla rzeźby *La Déchirée* (*Rozdarta*), przedstawiającej półnagą, ślepą kobietą sięgającą nieba. Ta historyczna alegoria okupowanej Francji została przeszmugłowana do Londynu, gdzie sprezentowano ją de Gaulle'owi. Trzymał ją na biurku, przez

co stała się symbolem ruchu oporu. W naszej rzeczywistości posąg później zaginął (Thibaut nigdy o niej nie słyszał, więc nie wiem, jaki los spotkał ją w tamtym świecie). Nie odbyło się to z wielką szkodą dla sztuki. ←

49) **Sacré-Cœur**. To Breton, pośród swoich „irracjonalnych upiększeń, zasugerował, że kościół Sacré-Cœur należy zmienić w zajezdnię dla tramwajów i pomalować na czarno. Proponował także, by przenieść go na północ Francji do Beauce. Co najwyraźniej się nie stało. ←

50) **Po drabinie żyłastych, umięśnionych rąk**. Drabina z rąk trzymających się nawzajem, wynurzających się z ziemi i trzymających się w łokciach, to manif rysunku wykonanego tuszem przez Titę, *Les Bâtisseurs de ruines*, wydrukowanego w „Transfusion du verbe” w 1941 roku. Inne aspekty Nowego Paryża opisane w tym rozdziale przez Thibauta także mogą pochodzić z tamtego numeru — kamienie przypominające szpony modliszki, ręce z oknami wyrastające z ziemi to manify ilustracji Aline Gagnaire z tego samego wydania. ←

51) **Wielką kobietę pozbawioną rysów, poprzecinaną szufladami... Stos lalek Bellmera, pełznących jak kraby**. Bezgłowa kobieta z szufladami pochodzi z obrazu Dalego *Płonąca żyrafa* z 1937 roku. Owa słynna żyrafa podobno nieraz galopowała uliczkami Nowego Paryża, ciągnąc za sobą smugę dymu, ale to wielkie kobiety z szufladami w nogach i piersiach, z liśćmi padającymi z gałęzi w miejscu, gdzie powinny znajdować głowy, budziły znacznie większą grozę. Ich szuflady otwierały i zamykały się z głośnym trzaskiem.

Lalki są manifiem niesławnych i groteskowych rzeźb Hansa Bellmera, przedstawiających części ciała młodych kobiet, zrekonfigurowane w lubieżne i przerażające formacje. ←

52) Tłumaczenie: K. Chodorowska.

„Moja piżama, mój balsam, mój młotek, ścieg szyty w lazurze”.

Simone Yoyotte, z której wiersza powstała pizama Thibauta, pochodziła z Martyniki. Była współpracowniczką Paryskiej Grupy Surrealistów aż do śmierci w 1933 roku. Co ważniejsze, wraz ze swym bratem Pierre'em należeli do grupy *Légitime Défense* (Samoobrona). Wiersz ukazał się w ich periodyku wydawanym pod tym samym tytułem w 1932 roku. Grupa zawiązała się przy rue Tournon w 1932 roku, stworzyli ją martynikańscy poeci i filozofowie: Étienne Léro, Jules Monnerat, René Menil i pięcioro innych, w tym Yoyotte. Żadne z nich nie miało więcej niż dwadzieścia pięć lat. Niezwykły, buntowniczy tytuł, pełen bezkompromisowych, antykolonialnych, marksistowskich i surrealistycznych treści został później opisany przez Léon-Gontrana Damasa, jednego z tzw. ojców *Négritude*, jako „najbardziej buntowniczy powstańczy dokument kiedykolwiek podpisany przez niebiałych ludzi”. ←

53) **Uwięzieni na marsylskiej prowincji... surrealiści rysowali nowe talie, nowe symbole były wyrazem kartograficznego buntu.** Historia „marsylskiej talii”, stworzonej przez więzionych surrealistów, jest identyczna w obu rzeczywistościach. Pełen skład talii i artystów, którzy ją stworzyli, wygląda następująco:

Czarne gwiazdy — symbolizują marzenia:

As — Oscar Dominguez

Geniusz — Lautréamont, autor ukochanej przez surrealistów *Pieśni Maldorora*; Wilfredo Lam

Syrena — Alicja Lewisa Carrolla; Wilfredo Lam

Mag — Freud; Oscar Dominguez

Czerwone płomienie — symbolizują miłość i pożądanie:

As — Max Ernst

Geniusz — Baudelaire; Jacqueline Lamba

Syrena — portugalska zakonnica, rzekoma autorka namiętnych listów

z XVII wieku (obecnie uważana za postać fikcyjną); André Masson

Mag — poeta i filozof Novalis; André Masson

Czarne klucze — symbolizują wiedzę:

As — André Breton

Geniusz — Hegel; Victor Brauner

Syrena — Héléne Smith, XIX-wieczna francuska jasnowidzka i medium;

Victor Brauner

Mag — Paracelsus; André Breton

Czerwone koła — symbolizują rewolucję:

As — Jacqueline Lamba

Geniusz — Markiz de Sade; Jacques Hérold

Syrena — Lamiel (bohaterka powieści Stendhala pod tym samym tytułem); Jacques Hérold

Mag — Pancho Villa; Max Ernst

Dzokery przedstawiały Père Ubu, potwornego, klnącego clowna-tyrana ze sztuk Alfreda Jarry'ego, szanowanego prekursora surrealizmu. Użyto wizerunku wybranego przez samego artystę.

W naszej rzeczywistości wizerunki kart zostały opublikowane w dzienniku surrealistów „VVV” w 1943 roku w Nowym Jorku, z niewielkimi zmianami. Najczęściej chodziło tylko o wyczyszczenie obrazu, ale czasem zdarzały się istotniejsze zmiany. Na przykład as rewolucji przedstawiał teraz młyńskie koło stojące na fontannie krwi, nie — jak w oryginalnym rysunku Lamby — koło wytłaczające krew. Radykalna melancholia i ponura wizja krwi jako substancji napędzającej zmiany została zatem wymazana i uładzona.

W rzeczywistości Nowego Paryża karty nigdy nie zostały opublikowane, chociaż pojawiły się w mieście i to w postaci kart jako niezwykle potężne artefakty, potrafiące przywoływać swoich geniuszy, syreny i magów. Thibaut twierdził nawet, że w Paryżu można było spotkać nie tylko figury, ale też asy

i blotki. Jednak jak się manifestowały, tego już nie wiedział. ←

54) **Jak homar z drucikami.** Byłoby to dość zaskakujące, gdyby absurdalny, ikoniczny *Homar-telefon* Salvadora Dalego nie pojawił się w zrekonfigurowanym świecie Thibauta. ←

55) **Kreskowe postacie wydrapane kluczami.** W 1930 roku Brassai sfotografował rysunki prymitywnie wydrapane na murach Paryża. W Nowym Paryżu kreskowe twarze (bo zwykle były to twarze), które obsesyjnie dokumentował w czerni i bieli, są ruchome i pełne życia. Thibaut twierdził, że jeśli przyłoży się ucho do ściany, kreskowe oblicza poruszają wydrapanymi ustami i szepczą w języku, jakiego nie zrozumie żaden człowiek. ←

56) **Wielki pysk rekina, szczerząc zęby w uśmiechu jak zidiociały anioł.** Ten manif pochodzi z tekstu Alice Rahon z 1942 roku, w którym opisuje pojawiający się na horyzoncie „wielki pysk rekina z uśmiechem zidiociałego anioła”. ←

57) **To piaskoszałek.** Piaskoszałek to dziwaczna bestia, manifestacja dzieła *Sandbumptious* autorstwa niezwyklej malarki Grace Pailthorpe, obecnie zapomnianej, w 1936 roku opisywanej przez Bretona jako „najlepsza i najprawdziwsza z brytyjskich surrealistów” (co może zostać odczytane jako rodzaj obelgi). Podczas I wojny światowej służyła we Francji jako chirurg wojskowy, a następnie została pionierką brytyjskiej psychoanalizy. Urodzona w 1883 roku, w stronę malarstwa zwróciła się dość późno, w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, gdy poznała innego artystę, Reubena Mednikoffa, który później został jej partnerem (miało tu miejsce kolejne przecięcie się światów okultyzmu i surrealizmu, ponieważ poznali się na przyjęciu u Wiktora Neuberga, satanisty i jednego z kochanków Crowleya). Pailthorpe i Mednikoff zostali wyrzuceni z Londyńskiej Grupy Surrealistów w 1940 roku podczas epizodu toksycznych walk wewnętrznych (Conroy Maddox

nazwał wtedy Pailthorpe „ogrzycą”), ale jej prace najwyraźniej były na tyle przesiąknięte duchem surrealizmu, że zmanifestowały się na ulicach Nowego Paryża po S-plozji. ↵

58) **Lew Belfortu.** Lew z Belfort to jeden z zabytków poddawanych „irracjonalnym upiększeniom” w artykule z 1933 roku, ale żadna z sugestii zawartych w artykule nie odpowiada opisowi Thibauta. Tłum kamiennych figur, przez które przeszedł Thibaut, przypominają raczej uchodźców z sekcji *Lew z Belfort* w kolażowej powieści Maksa Ernsta *Une semaine de bonté*. ↵

59) **Statua Wolności.** Na wpół żywy odpowiednik — prawdziwej — statuy stojący w Ogrodzie Luksemburskim to manif groteskowego kolażu przedstawiającego Statuę Wolności autorstwa czeskiego surrealisty Jindřicha Štyrskyego. ↵

60) **Gdzie kiedyś był Pałac Sprawiedliwości... w stronę chmury trocin bijącej z okien i drzwi Sainte-Chapelle.** Forma przybrana przez Pałac Sprawiedliwości w Nowym Paryżu to połączenie propozycji „irracjonalnego upiększenia” autorstwa Benjamin Péreta, który chciał ją przerobić na basen, i André Bretona, który wolał ją zamienić na wielki napis widoczny z samolotu. To Tristan Tzara proponował, aby wypełnić Sainte-Chapelle trocinami. ↵

61) **Przysadziste kwadratowe wieże po obu stronach centralnego okna z witrażową rozetą.** Dwie wieże katedry Notre-Dame zostały irracjonalnie upiększone zgodnie z sugestiami Bretona, który chciał je zastąpić szklanymi pojemnikami pełnymi krwi i spermy. Dlaczego krew ma domieszkę octu, a wieże są silosami, a nie butelkami, jak proponował artysta, tego już Thibaut nie wiedział. ↵

62) **Wielkie, kiczowate, marmurowe figury Arno Brekera.** Josef Thorak i Arno Breker, oficjalni nazistowscy „artyści”, byli rzeźbiarzami specjalizującymi się w tworzeniu imponujących „aryjskich” dzieł, mających

stanowić przeciwwagę dla tradycyjnej „zdegenerowanej”, a zwłaszcza „żydowskiej” sztuki. ←

63) **Hélène Smith... glosolaliczną posłankę wymagowanego Marsa.** Surrealiści opisywali Hélène Smith (pseudonim Catherine-Elise Muller), manię, której karta została zagrana przez Thibauta, jako „muzę” automatycznego pisania. W transie zapisywała całe strony niemożliwym do odczytania pismem, które określała jako marsjańskie. Opisywała także życie pozaziemskich istot (Marsjan i UltraMarsjan), których niezwykle manify Thibaut także oglądał na Île de la Cité. ←

64) **Zwiadowca z Société de Gévaudan, legendarnego ośrodka ruchu oporu w sanatorium w Lozère.** Miałem nadzieję, że usłyszę od Thibauta coś więcej o Société de Gévaudan, ale nie wiedział o nim wiele i nie wydawał się szczególnie zainteresowany. Ze źródeł w naszej rzeczywistości dowiedziałem się, że ta niezwykła społeczność mieściła się w szpitalu psychiatrycznym Saint-Alban w regionie Lozère w południowo-wschodniej Francji. Pod przywództwem Luciena Bonaffé i François Tosquellesa, w obliczu bezlitosnej eugeniki panującej we Francji pod rządami Vichy, w szpitalu utworzona została grupa ruchu oporu złożona z postępowych psychiatrów (co później zainspirowało ruch „antypsychiatryczny”), filozofów (z których kilku, jak na przykład Paul Éluard, miało bliskie związki z surrealizmem), a także samych pacjentów. Prowadzili tam tajne wydawnictwo, współpracowali z innymi grupami, organizowali transporty broni, jednocześnie zgłębiając tajniki „psychoterapii instytucjonalnej” i „geopsychiatrii”, terapeutycznej integracji pacjentów z miejscową społecznością. Wszystkie te fakty są tak niezwykle, że prawie niewiarygodne, nawet w naszej rzeczywistości. Ze wszystkich opowieści z Nowego Paryża najbardziej pragnąłbym posłuchać właśnie o tym stowarzyszeniu. ←

65) **Mężczyzna w płaszczu spogląda przez szachownicę.** Człowiek

z szachownicą zamiast twarzy jest prawdopodobnie manifem fotografii Magritte'a zrobionej przez Paula Nougé w 1937 roku. W dniach poprzedzających owo sfilmowane morderstwo, postać podobno przechadzała się ulicami Nowego Paryża w obszernym płaszczu, aranżując zugzwangi i gambity, zmieniając sytuacje w ustawienia szachowe. ←

66) **To bezimienny żołnierz.** *Bezimienny żołnierz — der Soldat ohne Namen* — to manifestacja antynazistowskiego niemieckiego oficera, za którego przyzwoleniem Claude Cahun i jej partnerka Suzanne Malherbe zorganizowały happening w Jersey. Dwie artystki zorganizowały niezwykle kampanię propagandową pośród stacjonujących tam Niemców, rozdając ulotki i pieniądze wymalowane w antyhitlerowskie hasła, wciskając je żołnierzom do kieszeni i przez okna samochodów. Manif żołnierza podobno rzucał takimi monetami w każdego, kto go zobaczył, przynosząc, a może utwierdzając ducha buntu i oporu, zwłaszcza pośród niemieckich żołnierzy. Nic dziwnego, że stał się jednym z pierwszych celów dochodzenia. ←

67) **Maleńkie wyrafinowane trupy rozdarte na komponenty.** Sądząc z opisów wyrafinowanych trupów, na których dokonywano eksperymentów, naziści z Drancy zdołali schwytać okazy manif, pochodzących z prac zbiorowych Mana Raya, Miró, Yvesa Tanguy, Maksa Morise'a, Picassa, Cécile'a, Paula Éluarda i innych. ←

68) **Celebes.** Obraz Maksa Ernsta zwany *Celebes* lub *Słoń Celebes* to jedna z najbardziej znanych i cenionych prac w surrealistycznym kanonie. Jej manifestacja — dziwny, przerażający, na wpół mechaniczny słoń, kształtem przypominający widziany kiedyś przez Ernsta sudański spichlerz na kukurydzę — stał się jednym z najbardziej charakterystycznych elementów Nowego Paryża. Wędrując, pozostawiał za sobą ślad w postaci lepkich, żółtych kałuż smaru. ←

69) **Autoportret Adolfa Hitlera.** W dzisiejszych czasach nie jesteśmy

w stanie spojrzeć nawet na prace dwudziestoletniego Adolfa Hitlera, nie widząc przy tym jego cienia. Nie możemy i nie powinniśmy. Uczucie trwogi, które ogarnia widza spoglądającego na amatorskie akwarele przyszłego Führera, jest nieuniknione. „Dzieło Hitlera”, czytamy w dolnym prawym rogu obrazu. „1910”. Dzieło Hitlera, w rzeczy samej.

W naszej rzeczywistości obraz, z którego pochodzi ten manif, został odnaleziony przez starszego sierżanta Williego McKennę podróżującego wraz z towarzyszami do Essen w 1945 roku. Zdaniem Thibauta, był on nieznany w Nowym Paryżu. Bohaterowie tej opowieści zdołali rozpoznać osobę na obrazie, ale nie stało się to dzięki popularności tego dzieła. Raczej, jak sądzę, z powodu tego, jak trafny jest to portret.

Kamienny mostek przerzucony nad strumieniem. Woda nakreślona jest kolorem bladej czerwieni. Może miało to oznaczać wschód lub zachód słońca, ale teraz trudno o tym myśleć inaczej niż o rzece krwi. W najdalszym punkcie mostu, w niezgrabnej pozie dziecka, siedzi postać w brązowym garniturze.

Artysta nakreślił nad nią krzyżyk i — gorączkowo, żałośnie — dopisał A.H. To wszystko. Widać znajomy przedziałek we włosach, a poniżej linii włosów — nic. Nie licząc delikatnej kreski w miejscu brwi, twarz jest pozbawiona wszelkich rysów.

Akwarela młodego Hitlera wykonana przez młodego Hitlera nie ma żadnych cech charakterystycznych. Jest całkiem nijaka. Niekompetencja uczyniła z niej sen zrodzony z popędu śmierci o sobie samym i obleczony w bladą skórę. ←